

Tom Sharpe urodził się w 1925 roku w Wielkiej Brytanii. Studiował w Cambridge. Dziesięć lat przebywał w RPA, gdzie między innymi pracował dla Departamentu Spraw Pozaeuropejskich. Po powrocie do Anglii, zanim poświęcił się wyłącznie pisaniu, wykładał historię w Cambridge College of Arts Technology.

Jest autorem niezwykle popularnych powieści satyrycznych, w których wykpiwa wszystko i wszystkich. Najlepszymi pozycjami w jego dorobku są oprócz *Wilta* dwie inne powieści, których bohaterem jest Henry Wilt, wykładowca w college'u, mąż pantoflarz i wieczny pechowiec. Trzy spośród powieści Toma Sharpe'a doczekały się ekranizacji, w tym *Wilt*.

Tom Sharpe

WILT

Tłumaczyła Zuzanna Naczyńska



ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Tytuł oryginału WILT

Copyright © 1976 by Tom Sharpe

All rights reserved

Copyright © 1998 for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.c., Poznań

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki Lucyna T alejko-Kwiatkowska

Fotografia na okładce Piotr Chojnacki

Redaktor serii Tadeusz Zysk

Redaktor Maria Bosacka

Wydanie I ISBN 83-7150-450-0

Zysk i S-ka Wydawnictwo

ul. Wielka 10, 61-774 Poznań

tel. (0-61) 853 27 51, 853 27 67, fax 852 63 26

Dział handlowy, ul. Zgoda 54, 60-122 Poznań

tel. (0-61)864 14 03, 864 14 04

e-mail: sklep@zysk.com.pl nasza strona: www.zysk.com.pl

Druk i oprawa: FINIDR, Xx s.r.o., Český Těšín

1.

Ilekcję Henry Wilt zabierał psa na spacer, a właściwie, gdy pies zabierał na spacer jego, a dokładnie, gdy pani Wilt mówiła im obu, żeby zabrali się z domu, bo chce poćwiczyć jogę, wybierał tę samą trasę. To znaczy, wybierał ją pies, a Wilt szedł za psem. Mijali pocztę, przecinali plac zabaw, przechodzili pod wiaduktem kolejowym i podążali milę ścieżką wzdłuż rzeki, po czym znów przechodzili pod wiaduktem i wracali ulicami, przy których rosły duże drzewa, stały domy większe od bliźniaka Wilta, a wszystkie samochody były roverami i mercedesami. Dopiero tam Clem, rodowodowy labrador, najwyraźniej czując się jak u siebie, podlewał latarnię, podczas gdy Wilt rozglądał się niepewnie dookoła, świadom, że nie pasuje do tej dzielnicy, i żałując tego. Był to bodaj jedyny moment podczas ich spaceru, kiedy w ogóle zwracał uwagę na otoczenie. Przez resztę drogi wędrował w myślach, trasą nie mającą nic wspólnego z wyglądem okolicy i jego własnym. Była to podróż śladem pobożnych życzeń, pielgrzymka szlakami nikłych możliwości w rodzaju definitywnego zniknięcia pani Wilt, nagłego zdobycia majątku i władzy czy też zostania ministrem edukacji albo, jeszcze lepiej, premierem. Składała się po części z obmyślania desperackich planów, a po części z niemego dialogu, jeśli więc ktoś zauważył Wilta (większość ludzi go nie zauważała), mógł dostrzec, jak porusza wargami lub wykrzywia je w uśmiechu, który naiwnie uważał za sardoniczny, odpowiadając na pytania lub odpierając jakiś argument miażdżącą ripostą. Właśnie podczas jednego z takich spacerów, odbytego w deszczu po wyjątkowo męczącym dniu w college'u, Wilt po raz pierwszy doszedł do wniosku, że będzie mógł rozwinąć swe ukryte talenty i stać się panem siebie, tylko jeśli jakieś nie do końca przypadkowe nieszczęście uwolni go od żony.

Jak do wszystkiego innego, Henry Wilt dochodził do tego wniosku powoli. Nie był człowiekiem energicznym. Świadczyło o tym dziesięć lat pracy na stanowisku asystenta (stopnia drugiego) w Fenlandzkim College'u Nauk Humanistycznych i Technicznych. Od dziesięciu lat tkwił w Sekcji Przedmiotów Ogólnokształcących, ucząc monterów, tynkarzy, murarzy i hydraulików. A raczej pilnując, żeby siedzieli cicho. Przez dziesięć długich lat chodził codziennie od sali do sali z dwoma tuzinami egzemplarzy *Synów i kochanków*, *Kandyda*, *Władcy Much* albo *Esejów* Orwella i starał się, bez większego powodzenia, rozbudzić wrażliwość słuchaczy kursów dokształcających.

Pan Morris, kierownik sekcji, nazywał te zajęcia „Kontaktem z kulturą”, ale według Wilta zachodził tu raczej kontakt jego samego z prymitywizmem, i to doświadczenie mocno podkopało ideały i złudzenia, jakie żywił za młodu. To doświadczenie i dwanaście lat małżeństwa z Evą.

O ile monterzy potrafili iść przez życie całkowicie nieczuli na emocjonalne znaczenie związków interpersonalnych przedstawionych w *Synach i kochankach* oraz wulgarnie rozbawieni głębokim wglądem D.H. Lawrence'a w seksualny aspekt ludzkiej natury, Eva Wilt nie była zdolna do takiej obojętności. Oddawała się rozrywkom kulturalnym i samodoskonaleniu z entuzjazmem, który Wilta przerażał. Co gorsza, jej pojęcie kultury zmieniało się z tygodnia na tydzień: czasem obejmowało Barbarę Cartland i Anyę Seton, czasem Uspienskiego, czasem Kennetha Clarka*, ale najczęściej instruktora z kursu garncarstwa we wtorki lub nauczyciela medytacji transcendentnej w czwartki, toteż Wilt nigdy nie wiedział, co go czeka po powrocie do domu, oprócz pospiesznie przygotowanej kolacji, dosadnie wyrażonych opinii na temat jego braku ambicji i poronionego intelektualnego eklektyzmu, który wprawiał go w oszołomienie.

Aby odpędzić wspomnienie monterów jako rzekomych istot ludzkich oraz Ewy w pozycji lotosu, Wilt szedł wzdłuż rzeki, snując mroczne rozważania, które stawały się jeszcze mroczniejsze wskutek świadomości, że piąty rok z rzędu jego prośba o awans na starszego asystenta prawie na pewno zostanie odrzucona, i że jeśli czegoś szybko nie zrobi, będzie skazany na trzecią monerską i drugą tynkarską — i na Evę — do końca życia. Nie była to radosna perspektywa. Musiał zacząć działać energicznie. Nad jego głową przejechał z hałasem pociąg. Wilt przystanął i patrząc na jego znikające w dali światła, pomyślał o wypadkach na przejazdach kolejowych bez zapór.

* Kenneth Clark (1903-1983) — angielski historyk sztuki, autor cyklu popularyzatorskich programów telewizyjnych. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.)

— Jest ostatnio jakiś dziwny — powiedziała Eva Wilt. — Nie mogę go zrozumieć.

— Ja już nawet nie próbuję zrozumieć Patricka — odparła Mavis Mottram, spoglądając krytycznie na wazon Ewy. — Chyba przesunę ten łubin ułamek cała w lewo. Podkreśli wtedy oratoryjne walory róży. A irys pójdzie tutaj. Chodzi o to, żeby osiągnąć niemal s ł y s z a l n y kontrast kolorów. Efekt kontrapunktowy, można by rzec.

Eva skinęła głową i westchnęła.

— Dawniej był taki energiczny, a teraz tylko by siedział przed telewizorem. Ledwo mi się udaje go wypchnąć na spacer z psem.

— Pewnie tęskni za dziećmi — stwierdziła Mavis. — Wiem, że Patrick ma z tym problem.

— Bo ma dzieci, za którymi może tęsknić — odrzekła Eva z goryczą w głosie. — Henry nie potrafi nawet wykrzesać z siebie dość energii, żeby się o nie postarać.

— Bardzo mi przykro, Evo. Zapomniałam — powiedziała Mavis, poprawiając łubin, aby bardziej wymownie kontrastował z geranium.

— Nie musi być ci przykro — odparła Eva, która nie lubiła użalać się nad sobą. — Właściwie powinnam się cieszyć. A jeśli byłyby podobne do Henry'ego? On jest tak mało kreatywny. Poza tym dzieci są bardzo męczące. Pochłaniają całą twoją energię twórczą.

Mavis Mottram odeszła, aby pomóc komuś innemu osiągnąć efekt kontrapunktowy z nasturcjami i malwami w misce koloru wiśniowego. Eva bawiła się swoją różą. Mavis miała szczęście. Patrick Mottram był takim energicznym mężczyzną. Eva, mimo swych rozmiarów, przywiązywała wielką wagę do energii, do energii i kreatywności, toteż osoby rozsądne, nie ulegające zbyt łatwo wpływowi, czuły się wyczerpane już po dziesięciu minutach spędzonych w jej towarzystwie. Emanowała energią nawet w pozycji lotosu na zajęciach z jogi, a w trakcie medytacji transcendentalnej przypominała czajnik na gazie. Energii twórczej towarzyszył entuzjazm, gorączkowy entuzjazm nie spełnionej kobiety, dla której każda nowa idea zwiastuje świt nowego dnia i *vice versa*. Jako że idee, do których się garnęła, były albo bzdurne, albo niezbyt dla niej zrozumiałe, jej zainteresowanie nimi trwało krótko i nie wypełniało luki wynikającej z niewywiązywania się przez Wilta z obowiązków małżeńskich. I podczas gdy on prowadził burzliwe życie w wyobraźni, Eva, całkowicie wyobraźni pozbawiona, prowadziła je w rzeczywistości. Rzucała się w sprawy, sytuacje, nowe znajomości, grupy i zdarzenia z wigorem, który rekompensował brak wytrwałości. Teraz, cofnąwszy się od swego wazonu, wpadła na stojącą z tyłu osobę.

— Bardzo przepraszam — powiedziała i odwróciwszy się, zobaczyła jakąś ciemnooką kobietę.

— Nie ma za co — odparła kobieta z amerykańskim akcentem.

Była szczupła i ubrana z niedbałą elegancją, która przekraczała skromne możliwości finansowe Ewy.

— Nazywam się Eva Wilt — powiedziała Eva, która chodziła kiedyś na kurs *savoir vivre'u*. — Mój mąż wykłada w college'u i mieszkamy przy Parkview Avenue 34.

— Sally Pringsheim — odrzekła kobieta z uśmiechem. — Mieszkamy na Rossiter Grove. Przyjechaliśmy na urlop naukowy. Gaskell jest biochemikiem.

Eva odnotowała te wyróżniki i pogratulowała sobie w duchu, że włożyła dzinsy i sweter. Ludzie, którzy mieszkali na Rossiter Grove, stali szczebel wyżej od mieszkańców Parkview Avenue, a mężowie, którzy byli biochemikami na urloпах naukowych, pracowali na uniwersytecie. Świat Ewy Wilt składał się z takich niuansów.

— Wiesz, nie jestem pewna, czy mogłabym żyć z oratoryjną różą — powiedziała Sally Pringsheim. — Lubię symfonie w salach koncertowych, ale nie potrzebuję ich w wazonach.

Eva wytrzeszczyła na nią oczy z mieszaniną zdumienia i podziwu. Na Parkview Avenue jawna krytyka kompozycji kwiatowych Mavis Mottram była bluźnierstwem.

— Wiesz, zawsze chciałam to powiedzieć — oznajmiła, czując, że oblewa ją gorąco — ale nie miałam odwagi.

Sally Pringsheim uśmiechnęła się.

— Moim zdaniem należy zawsze mówić, co się myśli. Szczerość jest podstawą każdego prawdziwie znaczącego związku. Ja zawsze mówię Gasowi, co myślę.

— Jakiemu gazowi? — spytała Eva.

— Gaskellowi — wyjaśniła Sally. — To mój mąż, ale nie *sensu stricto*. Żyjemy ze sobą w układzie otwartym. Oczywiście mamy papierek i tak dalej, ale to ważne, żeby nie zamykać sobie horyzontów seksualnych, prawda?

Kiedy Eva wróciła do domu, jej słownictwo było bogatsze o kilka nowych wyrażań. Zastała Wilta w łóżku, udającego, że śpi, więc go obudziła i opowiedziała mu o Sally Pringsheim. Wilt przewrócił się na drugi bok i spróbował ponownie zapaść w sen. Wiele by dał za to, żeby Eva trzymała się swoich kontrapunktowych kompozycji kwiatowych. Otwarte horyzonty seksualne były ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili pragnął, a znajomość z żoną biochemika, którego było stać na dom przy Rossiter Grove, nie wróżyła nic dobrego.

Bogactwo i status intelektualny robiły na Evie zbyt duże wrażenie, aby można jej było pozwolić na kontakty z kobietą, która uważa, że oralna stymulacja lechtaczki jest inherentną cechą każdego prawdziwie wyemancypowanego związku, i że uniseks się przyjmie. Wilt miał dość problemów ze swoją męskością i bez żądań Evy, by stymulował ją oralnie. Całą noc snuł mroczne rozważania o śmiertelnych wypadkach z udziałem pociągów pospiesznych i przejazdów kolejowych bez zapór lub ich forda escorta i pasa bezpieczeństwa Evy, wstał wcześniej i zrobił sobie śniadanie. Wychodził właśnie na zajęcia z trzecią mechaniczną, gdy Eva zeszła na dół z rozmarzoną miną.

— Przypomniało mi się, że chciałam cię wczoraj o coś spytać — powiedziała. — Co to jest „dywersyfikacja transseksualna”?

— Pisanie białych wierszy o pedałach — odparł pospiesznie Wilt i poszedł do samochodu.

Pojechał w dół Parkview Avenue i utknął w korku na rondzie. Siedząc w samochodzie, kłął pod nosem. Miał trzydzieści cztery lata i trwoniał swoje talenty na trzecią mechaniczną i żonę, która była ewidentnie opóźniona w rozwoju umysłowym. Co gorsza, nie mógł się nie zgodzić ze stale wysuwany przez Evę zarzutem, że nie jest prawdziwym mężczyzną. „Gdybyś był prawdziwym mężczyzną — mówiła — wykazywałbyś więcej inicjatywy. Musisz być asertywny”.

Wilt spróbował być asertywny na rondzie, wdał się w sprzeczkę z kierowcą mikrobusu i jak zwykle zajął drugie miejsce.

— Według mnie kłopot polega na tym, że Wilt nie ma ikry — stwierdził kierownik Filologii Angielskiej, mężczyzna całkowicie ikry pozbawiony.

Komisja ds. Awansów piąty rok z rzędu skinęła kolektywną głową.

— Może nie ma ikry, ale jest oddany — zauważył pan Morris, podejmując swą doroczną obronę Wilta.

— Oddany? — prychnęła kierowniczką Gastronomii. — Oddany czemu? Sprawie aborcji, marksizmowi czy rozpuście? Bo któreś z tych rzeczy na pewno. Nie spotkałam jeszcze wykładowcy Przedmiotów Ogólnokształcących, który nie byłby dziwakiem, zboczeńcem albo rewolucjonistą, albo wszystkim naraz.

— Brawo! — zawołał kierownik Techniki, na którego tokarkach jakiś obłąkany kursant wytoczył kiedyś kilkanaście rurek, które posłużyły mu do zrobienia bomb.

Pan Morris się zjeżył.

— Przyszaję, kilku wykładowców wykazywało pewną... hmm... nadgorliwość polityczną, ale wypraszam sobie insynuacje...

— Zostawmy te ogólniki i wróćmy do Wilta — wtrącił się wicedyrektor. — Powiedział pan, że jest oddany.

— Ale potrzebuje zachęty — podjął pan Morris. — Do diabła, facet pracuje u nas dziesięć lat i nadal jest tylko asystentem.

— To właśnie miałem na myśli, mówiąc o braku ikry — oświadczył kierownik Filologii. — Gdyby zasługiwał na awans, zostałby starszym asystentem już dawno.

— Ma pan zupełną rację — powiedział kierownik Geografii. — Człowiek, który przez dziesięć lat zadawała się uczeniem monterów i hydrauliczków, nie jest odpowiednim kandydatem na stanowisko administracyjne.

— Czy zawsze musimy przedstawiać do awansu z powodów administracyjnych? — spytał pan Morris ze znużeniem w głosie. — Wilt jest dobrym nauczycielem.

— Jeśli mogę zwrócić na coś uwagę — odezwał się doktor Mayfield, kierownik Socjologii — w obecnym momencie jest niezmiernie istotne, abyśmy pamiętali, że w świetle bliskiego wprowadzenia interdyscyplinarnego magisterium z socjologii miasta i poezji średniowiecznej, dla którego, o czym z przyjemnością informuję, Ministerstwo Edukacji wyraziło już wstępną aprobatę, powinniśmy rezerwować stanowiska starszych asystentów dla kandydatów posiadających specjalistyczną wiedzę z zakresu poszczególnych dyscyplin akademickich, a nie...

— Jeśli mogę panu przerwać, na moment obecny lub nieobecny — wtrącił się doktor Board, kierownik Języków Nowożytnych — czy chce pan powiedzieć, że mamy zatrudniać utytułowanych specjalistów, którzy nie potrafią uczyć, zamiast awansować asystentów bez doktoratów, którzy potrafią?

— Gdyby pozwolił mi pan kontynuować — odparł doktor Mayfield — zrozumiałby, co chcę powiedzieć.

— Wątpię — mruknął doktor Board. — Nie przy pańskiej składni.

I tak piąty rok z rzędu awans Wilta został odłożony ad acta. Fenlandzki College Nauk Humanistycznych i Technicznych wstąpił na drogę rozwoju. Mnożyły się nowe kursy magisterskie i na uczelnię napływało coraz więcej studentów o niższych kwalifikacjach, aby edukowało ich coraz więcej wykładowców o wyższych kwalifikacjach, aż pewnego dnia college przestanie być tylko college'em i awansuje, stając się politechniką. Marzyli o tym wszyscy kierownicy sekcji i ambicje Wilta oraz nadzieje Evy znów zostały pogrzebane.

Wilt dowiedział się o tym w stołówce, podczas lunchu.

— Przykro mi, Henry — powiedział pan Morris, gdy stanęli z tacami w kolejce. — To te nieszczęsne cięcia

budżetowe. Nawet Języki Nowożytnie musiały się ograniczyć. Przepchnęli tylko dwie kandydatury.

Wilt skinął głową. Spodziewał się tego. Tkwił w niewłaściwej sekcji, niewłaściwym małżeństwie i niewłaściwym życiu. Usiadł ze swoimi rybimi paluszkami przy stoliku w kącie i zjadł je w samotności. Wokół inni wykładowcy dyskutowali o wynikach egzaminów i składzie Rady Szkolnej w przyszłym semestrze. Uczyli matematyki, ekonomii lub angielskiego, w sekcjach, które się liczyły, i gdzie o awans było łatwo. Przedmioty Ogólnokształcące się nie liczyły i o awansie nie było co marzyć. Koniec i kropka. Po lunchu Wilt poszedł do biblioteki, żeby sprawdzić w spisie leków insulinę. Chodziło mu po głowie, że jest jedyną niewykrywalną trucizną.

Za pięć drugą, niczego się nie dowiedziawszy, poszedł do sali numer 752, aby rozbudzać wrażliwość piętnastu rzeźników-praktykantów, grupy nazwanej w planie zajęć pierwszą mięsną. Jak zwykle byli spóźnieni i pijani.

— Piliśmy zdrowie Billa — wyjaśnili mu, przywłókszy się dziesięć po drugiej.

— Tak? — powiedział Wilt, rozdając egzemplarze *Władcy Much*. — I jak się czuje?

— Okropnie — odparł wysoki chłopak w skórzanej kurtce z napisem „Chrzań się” na plecach. — Chyba wyrzyga sobie flaki. Ma dziś urodziny i wypił cztery wódki, szampitra dla dzieci...

— Doszliśmy do momentu, gdy Prosiaczek jest w dżungli — wtrącił Wilt, aby nie dopuścić do dyskusji o tym, co Bill wypił na swoje urodziny, po czym wziął gąbkę i starł z tablicy rysunek krążka dopochwowego.

— To znak firmowy pana Sedgwicka — powiedział jeden z rzeźników. — Ciągłe nawija o środkach antykoncepcyjnych. Ma na ich punkcie kota.

— Kota? — zdziwił się lojalnie Wilt.

— No wie pan, chodzi o kontrolę urodzin. Był kiedyś katolikiem, prawda? I teraz, jak już nie jest, nadrabia stracony czas — wyjaśnił niski, bladej chłopak, odwijając z papierka batonik mars.

— Ktoś powinien mu powiedzieć o pigułce — zauważył inny rzeźnik, podnosząc ospale głowę ze stolika. — W gumie nic się nie czuje. Z pigułką jest więcej frajdy.

— Zapewne — zgodził się Wilt. — Słyszałem jednak, że ma działanie uboczne.

— Zależy, na którym boku się to robi — powiedział chłopak z baczkami.

Wilt wrócił z ociąganiem do *Władcy Much*. Czytał go już ze dwieście razy.

— No więc Prosiaczek idzie do dżungli... — zaczął, ale przerwał mu jakiś rzeźnik, najwyraźniej również znudzony tarapatami Prosiaczka.

— Złe skutki wywołują tylko pigułki o wysokiej zawartości estrogenu.

— To bardzo ciekawe — powiedział Wilt. — Estrogen?

— Widzę, że dużo o tym wiesz.

— Jednej paniencie z naszej ulicy zrobił się skrzep w nodze.

— Dobrze, że nie gdzie indziej — mruknął Batonik Mars.

— Słuchajcie — wtrącił się Wilt. — Albo Peter opowie nam o działaniu pigułki, albo będziemy dalej czytać o Prosiaczku.

— Pieprzyć Prosiaczka — powiedział Baczek.

— No właśnie — przytaknął skwapliwie Wilt. — Więc bądźcie cicho.

— No więc — zaczął Peter — ta panienska, znaczy się, ona nie jest panienką, ma męża, no więc brała pigułki i zrobił jej się skrzep i lekarz powiedział mojej cioci, że to przez ten estrogen, i żeby lepiej brała inne pigułki, a ślubny panienski musiał się poddać wazektomii, żeby nie zrobił jej się następny skrzep.

— Prędzej mnie szlag trafi, niż zgodzę się na wazektomię — oświadczył Batonik Mars. — Chcę wiedzieć, że mam wszystko na miejscu.

— Wszyscy mamy jakieś ambicje — przyznał Wilt.

— Nikt nie będzie szatkował mi jaj cholernym nożem rzeźnickim — oburzył się Baczek.

— Nikt by nie chciał — powiedział ktoś inny.

— Oprócz tego gościa, któremu przeleciałeś żonę — zauważył Batonik Mars. — On chętnie by spróbował.

Wilt znów postraszył ich Prosiaczkiem i wrócili do wazektomii.

— Nie jest już nieodwracalna — powiedział Peter. — Instalują ci maleńki złoty kranik i jak chcesz zmajstrować bachora, możesz go odkręcić.

— Spadaj! To nieprawda.

— Państwowo ci tego nie zrobią, ale prywatnie tak. Czytałem o tym w jakimś piśmie. W Stanach były takie eksperymenty.

— A jak ten kranik się zepsuje? — spytał Batonik Mars.

— Pewnie wzywasz hydraulika.

Wilt siedział i słuchał, jak pierwsza mięsna rozprawia o wazektomii i spirali, i o tym, że Hindusi dostają na pociechę radia tranzystorowe, i o samolocie pełnym nielegalnych imigrantów, który wylądował w Audley End,

i co czyjś brat, który jest policjantem w Brixton, powiedział o Murzynach, i że Irlandczycy są tak samo paskudni, i o bombach, i znów o katolikach i kontroli urodzin, i kto chciałby mieszkać w Irlandii, gdzie nie można nawet kupić prezerwatyw, i znów o pigułce. A przez cały czas rozmyślał gorączkowo, jakimi sposobami i środkami mógłby się pozbyć Evy. Duża dawka pigułek antykoncepcyjnych o wysokiej zawartości estrogenu? Gdyby je sproszkował i wsypał do owałtyny, którą pijała przed snem, istniała szansa, że natychmiast porobią jej się skrzepy w całym ciele. Wilt odrzucił ten pomysł. Wizja Evy ze skrzepami przyprawiła go o mdłości, a poza tym estrogen mógł nie zadziałać. Nie, musi to być coś szybkiego, pewnego i bezbolesnego. Najlepiej jakiś wypadek.

Po zajęciach Wilt zebrał książki i skierował się do pokoju nauczycielskiego. Miał okienko. Po drodze musiał przejść obok terenu budowy nowego gmachu administracji. Robotnicy wierceili już otwory pod pale fundamentowe. Wilt zatrzymał się, by popatrzeć, jak świder wchodzi powoli w ziemię. Wyglądało na to, że będą to duże otwory. Bardzo duże otwory. W sam raz na zwłoki.

— Jak głęboko wierciecie? — zapytał jednego z robotników.

— Na trzydzieści stóp.

— Trzydzieści stóp? — powtórzył Wilt. — Kiedy będziecie betonować?

— Jak dobrze pójdzie, w poniedziałek — odparł robotnik.

Wilt poszedł dalej. Właśnie zaświtał mu nowy i straszliwy pomysł.

2.

Był to jeden z lepszych dni Evy Wilt. Miewała dni dobre, lepsze i nie najlepsze. Dobre dni były dniami, gdy wszystko szło dobrze: Eva zmywała naczynia, odkurzała dywan w pokoju od frontu, myła okna, słała łóżka, czyściła wannę vimem, pryskała muszlę klozetową harpickiem, szła do klubu osiedlowego „Jedność”, gdzie pomagała kserować ulotki, sortować stare ubrania na kiermasz albo robić coś innego, co akurat było do zrobienia, wpadała do domu na lunch, szła do biblioteki, jadła podwieczorek z Mavis, Susan albo Jean i rozmawiała o życiu, o tym, jak rzadko Henry się z nią ostatnio kocha, nawet na chybcika, i że zmarnowała swoją szansę, dając kosza urzędnikowi bankowemu, który jest teraz kierownikiem działu, wracała do domu, szykowała Henry'emu kolację, wychodziła na kurs jogi, układania kwiatów, medytacji albo garmcarstwa i na koniec kładła się spać z poczuciem, że czegoś dokonała.

W dni nie najlepsze wszystko szło źle. Wykonywała te same czynności, ale każdą zatruwała jej jakaś drobna katastrofa w rodzaju zepsucia się odkurzacza albo zapchania zlewu kawałkiem marchewki, toteż kiedy Henry wracał do domu, witała go grobowa cisza albo niczym nie uzasadnione wyliczenie wszystkich jego wad i braków. W nie najlepsze dni Wilt zabierał psa na długi spacer z przystankiem w pubie „Przy Promie”, a potem w nocy ciągle wstawał do ubikacji, przez co niweczył odkażające działanie harpicku, którym Eva spryskała muszlę, i dostarczał jej pretekstu do ponownego wytknięcia mu wszystkich wad rano.

— Co, do diabła, mam robić? — spytał po jednej z takich nocy. — Kiedy spuszczam wodę, narzekasz, że cię budzę, a kiedy nie spuszczam, mówisz, że rano paskudnie to wygląda.

— Bo wygląda, a poza tym nie musisz splukiwać harpicku ze ścianek. I nie mów, że tego nie robisz. Podejrzałam cię. Celujesz dookoła muszli, tak że cały spływa. Robisz to specjalnie.

— Gdybym spuszczał wodę i tak by spływał, a na dodatek bym cię budził — odparł Wilt, świadom, że rzeczywiście ma zwyczaj celować w harpick. Strasznie paskudztwa nie lubił.

— Nie możesz po prostu poczekać do rana? A zresztą — ciągnęła, uprzedzając jego odpowiedź — dobrze ci tak, skoro tyle pijesz. Masz wyprowadzać Clema na spacer, a nie żłopać piwko w tym okropnym pubie.

— Lać albo nie lać, oto jest pytanie — powiedział Wilt, nakładając sobie płatków śniadaniowych. — Czego ode mnie chcesz? Mam zawiązać sobie małego na supeł?

— Nie zrobiliby mi to żadnej różnicy — odparła Eva z goryczą.

— Ale mnie zrobiliby cholerną różnicę, serdeczne dzięki.

— Miałam na myśli nasze życie seksualne i dobrze o tym wiesz.

— A, to — westchnął Wilt.

Ale tak bywało w nie najlepsze dni.

W lepsze dni zdarzało się coś niespodziewanego, co nadawało codziennemu kieratowi nowy sens i budziło drzemiące w Evie nadzieje, że jakimś cudem wszystko nagle zmieni się na lepsze i już takie pozostanie. Na tych właśnie nadziejach opierała się jej wiara w życie. Były duchowym ekwiwalentem banalnych czynności, które jej wypełniały czas. W lepsze dni weselej świeciło słońce, weselej błyszczła podłoga w korytarzu, sama Eva Wilt była weselsza i odkurzając dywan na schodach, nuciła *Kiedys przyjedzie mój książę*. W lepsze dni Eva wychodziła światu naprzeciw z rozbrajającą życzliwością i zarażała swymi nadziejami innych. W lepsze dni Wilt musiał sam robić sobie kolację i, jeśli był mądry, znikał na cały wieczór z domu. Nadzieje Evy Wilt domagały się czegoś

bardziej ożywczego niż widok Henry'ego Wilta po dniu pracy w college'u. Właśnie w wieczory lepszych dni Wilt był najbliższy decyzji, że ją zamorduje, i do diabła z konsekwencjami.

Tego dnia idąc do klubu osiedlowego, wpadła na Sally Pringsheim. Było to całkowicie przypadkowe spotkanie, wynikało stąd, że Eva poszła pieszo zamiast pojechać rowerem i, nadkładając pół mili, zahaczyła o Rossiter Grove zamiast skierować się prosto w dół Parkview Avenue. Sally wyjeżdżała właśnie z bramy mercedesem o rejestracji kończącej się na P, co oznaczało, że samochód jest zupełnie nowy. Eva odnotowała ten fakt i przybrała stosowny uśmiech.

— Zabawne, że tak na ciebie wpadłam — powiedziała wesoło, gdy Sally zatrzymała samochód i otworzyła drzwiczki.

— Podwieź cię gdzieś? Jadę do centrum, aby kupić jakiś swobodny ciuch na dzisiejszy wieczór. Do Gaskella przyjeżdża z Heidelbergu pewien szwedzki profesor i zabieramy go do Ma Tante.

Eva skwapliwie skorzystała z zaproszenia, oceniając w myślach wartość mercedesa i domu, znaczenie ubierania się swobodnie do Ma Tante (gdzie, jak słyszała, przystawki w rodzaju koktajlu z krewetek kosztowały 95 pensów) oraz fakt, że doktor Pringsheim podejmuje szwedzkich profesorów, gdy przyjeżdżają do Ipsford.

— Miałam zamiar przejść się do centrum — skłamała. — Henry wziął samochód, a dzień jest taki piękny.

— Gaskell kupił sobie rower. Mówi, że jest szybszy i pomaga mu utrzymać formę — powiedziała Sally, bezwiednie skazując Wilta na nową torturę. Eva zanotowała w pamięci, że ma dopilnować, aby kupił sobie rower z policyjnego demobilu i pedałował do pracy czy deszcz, czy śnieg. — Chcę obejrzeć poncza z jedwabnej surówki w Felicity Fashions. Jeszcze tam nie byłam, ale podobno to dobry sklep. Żona profesora Granta mówi, że mają najlepszy wybór.

— Z pewnością — odparła Eva, która oglądała asortyment Felicity Fashions wyłącznie na wystawie, zastanawiając się, kogo, u licha, stać na sukienki po czterdzieści funtów. Teraz już wiedziała. Pojechały do centrum i zostawiły samochód na wielopiętrowym parkingu. Przez ten czas Eva zgromadziła więcej wiadomości o Pringsheimach. Przyjechali z Kalifornii. Sally poznała Gaskella, podróżując autostopem przez Arizonę. Studiowała na uniwersytecie stanowym w Kansas, ale rzuciła uczelnię i zamieszkała w komunie. W jej życiu byli inni mężczyźni. Gaskell nienawidził kotów. Miał alergię na ich sierść. Ruch wyzwolenia kobiet oznaczał coś więcej niż palenie staników, a mianowicie bezwarunkową akceptację idei wyższości kobiet nad mężczyznami. Miłość to wspaniała rzecz, ale nie można się za bardzo angażować. Kompost wszedł w modę, a telewizja z niej wyszła. Ojciec Gaskella miał sieć sklepów, co było żenujące. Pieniądze były przydatne, a Rossiter Grove nudne. A przede wszystkim, pieprzenie musiało, po prostu musiało być dobrą zabawą, jakkolwiek by na to spojrzeć.

Ta ostatnia informacja była dla Evy wstrząsem. W jej środowisku „pieprzony” znaczyło „cholerny”, a ona sama wypowiadała to słowo wyłącznie w zaciszu łazienki, smętnym tonem, który odbierał mu wulgarność. Tak więc „dobre pieprzenie” było dla niej pojęciem czysto abstrakcyjnym, nie mającym nic wspólnego z rzadkimi porannymi manipulacjami Wilta. Zwłaszcza że forma odczasownikowa sugerowała, iż chodzi o czynność powtarzalną, o zjawisko, które jest jednocześnie zwyczajne i satysfakcjonujące, i nadaje życiu nowy wymiar. Eva Wilt wygramoliła się z samochodu i poszła za Sally do Felicity Fashions w stanie szoku.

Jeśli pieprzenie było dobrą zabawą, zakupy z Sally Pringsheim były objawieniem. Cechowała je stanowczość, która zapierała dech w piersi. Eva namyślałaby się w nieskończoność, a Sally wybierała i wybrawszy, szła dalej, rzucała rzeczy, które jej się nie podobały, gdzie popadło, łapała następne, spoglądała na nie i mówiła, że „ujdą” z rezygnacją, która była zaraźliwa, i wyszła ze sklepu ze stosem pudełek zawierających jedwabne poncza, letnie płaszcze, apaszki i bluzki o łącznej wartości dwustu funtów. Eva wydała siedemdziesiąt funtów na żółtą piżamę plażową i męski prochowiec, który Sally nazwała czystym Gatsbym.

— Brakuje ci tylko kapelusza — powiedziała, gdy pakowały pudełka do samochodu.

Kupiły filcowy kapelusz i poszły na kawę do kawiarni Mombasa, gdzie Sally nachyliła się do Evy, paliła długie, cienkie cygaro i mówiła o kontaktach fizycznych, tak głośno, że kobiety przy sąsiednich stolikach przestały rozmawiać i słuchały jej z dezaprobatą.

— Jak widzę sutki Gaskella, dostaje szału — powiedziała Sally. — A on dostaje szału, gdy je ssę.

Eva piła kawę, zastanawiając się, co zrobiłby Henry, gdyby przyszło jej do głowy posać mu sutki. Prawdopodobnie dostałby szału w innym sensie. Zaczynała żałować, że wydała siedemdziesiąt funtów. Jak się o tym dowie, dostanie szału na pewno. Henry nie pochwalał kart kredytowych. Za dobrze się jednak bawiła, aby takie myśli miały popsuć jej humor.

— Moim zdaniem cycki są bardzo ważne — ciągnęła Sally.

Dwie kobiety siedzące przy stoliku obok zapłaciły rachunek i wyszły.

— Może i są — odparła Eva z zakłopotaniem. — Ja nie mam z nich wielkiego pożytku.

— Nie? — zdziwiła się Sally. — Będziemy musiały coś z tym zrobić.

— Nie wiem, co można by z tym zrobić — powiedziała Eva. — Henry nigdy nie zdejmuje piżamy, no

i przeszkadza nam moja koszula nocna.

— Nie mów mi, że sypiasz w rzeczach. Moje biedactwo. I to w koszuli nocnej. Boże, jakie to upokarzające! Zróznicowanie ubioru jest typową cechą społeczeństwa zdominowanego przez mężczyzn. Musisz odczuwać niedosyt dotyku. Gaskell mówi, że jest to równie szkodliwe jak niedobór witamin.

— Henry zawsze wraca do domu zmęczony — wyjaśniła Eva. — A ja często wychodzę.

— To mnie nie dziwi — odparła Sally. — Gaskell mówi, że męskie zmęczenie jest objawem kompleksów na punkcie członka. Henry ma dużego czy małego?

— To zależy — wykrztusiła Eva. — Czasem jest duży, a czasem mały.

— Ja wolę mężczyzn z małymi — stwierdziła Sally. — Bardziej się starają.

Dopiły kawę i poszły do samochodu, rozmawiając o członku Gaskella oraz jego teorii, że w społeczeństwie uniseksualnym stymulacja sutków będzie miała istotne znaczenie dla rozbudzania poczucia hermafrodytyzmu u mężów.

— Napisał o tym artykuł — powiedziała Sally, gdy wyjechały z parkingu. — Nosił tytuł *Mężczyzna jako matka* i ukazał się w zeszłym roku w „Fussie”.

— W fusie? — spytała Eva.

— To miesięcznik wydawany przez Fundację Uniseksualnych Studiów Społecznych w Kansas. Gas badał dla nich zachowania zwierząt. Zrobił doktorat z podziału ról u szczurów.

— Brzmi to bardzo interesująco — wtrąciła niepewnie Eva. Nie wiedziała, o jakie role chodzi, ale artykuły Henry'ego o kursach dokształcających i literaturze drukowane czasem w „Kwartalniku Humanistycznym” z pewnością nie dorównywały monografiom doktora Pringsheima.

— Czy ja wiem? To przecież oczywiste. Jeśli dwa szczury samce posiedzą razem w klatce przez dostatecznie długi czas, po prostu musi dojść do tego, że jeden przyjmie postawę czynną, a drugi bierną — odparła Sally ze znużeniem w głosie. — Ale Gaskell był wściekły. Uważał, że powinny się zamieniać. To cały Gas. Próbowałam mu wytłumaczyć, że jest śmieszny. Powiedziałam: „Gas, kochanie, szczury są uniseksualne. Jak możesz oczekiwać, że będą dokonywały wyborów egzystencjalnych?” I wiesz, co on na to? Powiedział: „Dzióbasku z cipką, szczury są paradygmatem. Pamiętaj o tym, a nie popełnisz błędu. Szczury są paradygmatem”. Co ty o tym sądzisz?

— Sądzę, że szczury są okropne — odparła bez namysłu Eva.

Sally wybuchnęła śmiechem i położyła dłoń na jej kolanie.

— Och, Evo, skarbie — wyszeptala — jesteś tak uroczo prostolinijna. Nie, nie odwiozę cię do domu. Pojedziesz do mnie na drinka i lunch. Wprost umieram z ciekawości, jak będziesz wyglądała w tej cytrynowej piżamie. Skręciły w Rossiter Grove.

Jeśli szczury były paradygmatem dla doktora Pringsheima, dla Henry'ego Wilta była nim trzecia drukarska. Drukarze wśród kursantów wiedli prym pod względem głupoty, braku wrażliwości i oślego uporu, a na domiar złego dranie uważali, że są wykształceni, bo umieją czytać, i że Wolter był idiotą, bo zsyłał na Kandyda same niepowodzenia. Kiedy Wilt musiał iść do nich na zastępstwo, wyzwalał w nim najgorsze instynkty. Najwyraźniej wyzwalał je również w Cecilu Williamsie, który powinien mieć z nimi zajęcia.

— Zachorował już drugi raz w tym tygodniu — powiedzieli Wiltowi.

— Nie jestem tym zaskoczony — odparł Wilt. — Można się rozchorować na sam wasz widok.

— Jeden nasz nauczyciel nawet się zagazował. Nazywał się Pinkerton. Uczył nas przez jeden semestr i kazał nam czytać *Judę nieznanego*. Piekielnie przygnębiająca książka. Cała o tym kretyńce Judzie.

— Jak wskazuje tytuł — zauważył Wilt.

— Po feriach stary Pinky nie wrócił na zajęcia. Pojechał nad rzekę, wsadził kawałek węża w rurę wydechową i zagazował się na śmierć.

— Wcale mu się dziwię — powiedział Wilt.

— Dobre sobie. Jako nauczyciel powinien dawać nam przykład.

Wilt spojrział ponuro na klasę.

— Jestem pewien, że to właśnie miał na myśli, kiedy się gazował. A teraz bądźcie łaskawi czytać po cichu, jeść po cichu i palić tak, żeby nie widział was nikt z budynku administracji. Muszę popracować.

— Popracować? Tacy jak pan nie wiedzą, co to praca. Cały dzień siedzicie za biurkiem i czytacie. To ma być praca? Na pewno nie dla mnie. Nie mam pojęcia, za co wam płacą.

— Zamknij się — powiedział Wilt z zaskakującą gwałtownością. — Zamknij tę głupią jadaczkę.

— Kto mnie zmusi? — zapytał drukarz.

Wilt usiłował się opanować, ale tym razem nie mógł. W trzeciej drukarskiej było coś niewiarygodnie aroganckiego.

— Ja! — krzyknął.

— Pan i kto jeszcze? Nie zamknąłby pan jadaczki myszy, nawet gdyby pan próbował cały dzień.

Wilt wstał.

— Ty cholerny gówniarzu! — wrzasnął. — Ty wstrętny, zasmarkany...

— Muszę przyznać, Henry, że uważałem cię za człowieka bardziej opanowanego — powiedział kierownik Przedmiotów Ogólnokształcących godzinę później, gdy nos Wilta przestał już krwawić i pielęgniarka zakleiła mu łuk brwiowy plastrem.

— To nie była moja grupa i wkurzyli mnie kpinami z samobójstwa Pinkertona. Gdyby Williams nie był chory, nie doszłoby do tego — wyjaśnił Wilt. — On zawsze jest chory, kiedy ma mieć zajęcia z trzecią drukarską.

Pan Morris ze znużeniem pokręcił głową.

— Wszystko jedno, czyja to grupa. Nie możesz napadać na studentów...

— Napadać? Nie tknąłem tego Allisona palcem.

— Ale mu naubliżałeś. Bob Fenwick był w sąsiedniej sali i słyszał, jak nazywasz go cholernym gówniarzem i złośliwym kretyńcem. Czy nie miał prawa cię uderzyć?

— Chyba miał — odparł Wilt. — Powinienem być się opanować. Przykro mi.

— Tym razem zapomniy o całej sprawie — powiedział pan Morris. — Ale pamiętaj, jeżeli mam ci załatwić awans, nie możesz paprać sobie opinii, bijąc się ze studentami.

— Nie biłem się z nim — zaprotestował Wilt. — To on pobił mnie.

— Miejmy nadzieję, że nie pójdzie na policję i nie oskarży cię o napaść. Naprawdę nie potrzebujemy takiej reklamy.

— Niech mnie pan tylko nie posyła do trzeciej drukarskiej — poprosił Wilt. — Mam bydlaków dość do końca życia.

Wilt poszedł do pokoju nauczycielskiego po płaszcz i teczkę. Nos miał chyba dwa razy większy niż normalnie, a łuk brwiowy okropnie go bolał. W drodze na parking minął kilku innych wykładowców, ale żaden się nie zatrzymał, żeby spytać, co mu się stało. Henry Wilt opuścił teren college'u nie zauważony i wszedł do samochodu. Zamknawszy drzwiczki, przyglądał się kilka minut wiertnicom na placu budowy. Do góry, na dół, do góry, na dół. Jak wbijanie gwoździ do trumny. Pewnego dnia on sam spocznie w trumnie, nadal nie zauważony, nadal asystent (stopnia drugiego), zapomniany przez wszystkich oprócz jakiegoś chama z trzeciej drukarskiej, który do końca życia będzie pamiętał, jak przyłożył wykładowcy Przedmiotów Ogólnokształcących i uszło mu to na sucho. Pewnie będzie opowiadał o tym wnukom.

Wilt włączył silnik i wyjechał na główną drogę pełen nienawiści do trzeciej drukarskiej, college'u, życia w ogólności i siebie samego w szczególności. Rozumiał teraz, dlaczego terroryści są gotowi umrzeć dla dobra sprawy. Gdyby miał bombę i sprawę, z radością posłałby siebie i kilku niewinnych gapiów na tamten świat, byle tylko poczuć przez krótką wprawdzie, ale wspaniałą chwilę, że coś od niego zależy. Nie miał jednak ani bomby, ani sprawy. W zamian pojechał na Parkview Avenue jak pirat drogowy, zaparkował samochód pod domem, otworzył frontowe drzwi i wszedł do środka.

W korytarzu unosił się dziwny zapach, jakby perfum, piżmowych i słodkich. Wilt postawił teczkę i zajrzał do pokoju. Najwyraźniej Evy nie było w domu. Poszedł do kuchni, wstawił czajnik, pomacał nos i postanowił obejrzeć go w lustrze w łazience. Doszedł do połowy schodów i wniosku, że zapach jest zdecydowanie duszący, gdy nagle odkrył jego źródło. W drzwiach sypialni stała Eva Wilt w przeraźliwie żółtej piżamie z niesamowicie szerokimi nogawkami. Wyglądała ohydnie, zwłaszcza że miała jaskrawoczerwone usta i paliła długiego cienkiego papierosa w długiej cienkiej fifce.

— Dzióbasku z penisem — wyszeptała ochryple i zatoczyła się. — Chodź tutaj. Będę ssać ci sutki, aż zaspokoisz mnie oralnie.

Wilt odwrócił się i zbiegł na dół. Suka była pijana. Miała lepszy dzień. Nie zatrzymując się, żeby zgasić czajnik, Wilt wypadł z domu i wskoczył do samochodu. Nie zamierzał pozwolić, aby ssano mu sutki. Miał dosyć wrażeń jak na jeden dzień.

3.

Eva zeszła na dół i zaczęła szukać dzióbaska z penisem, choć bez większego entuzjazmu. Po pierwsze, nie chciała go znaleźć, po drugie, nie miała ochoty ssać mu sutków, a po trzecie wiedziała, że nie powinna była wydać siedemdziesięciu funtów na prochowiec i piżamę plażową, które w Blowdens mogłaby kupić za trzydzieści. Nie potrzebowała ich i nie wyobrażała sobie siebie maszerującej Parkview Avenue w charakterze Wielkiego Gatsby'ego. Poza tym trochę ją mndliło.

Henry zostawił jednak czajnik na gazie, więc musiał gdzieś być. To do niego niepodobne, żeby wyjść i zostawić czajnik. Zajrzała do pokoju dziennego, który był bawialnią, póki Sally nie nazwała swojej bawialni pokojem dziennym. Zajrzała do jadalni, obecnie stołowego, a nawet do ogrodu, ale Henry zniknął, zabierając ze sobą samochód oraz jej nadzieję, że ssanie sutków nada ich małżeństwu nowy sens i zaspokoi jej niedosyt dotyku. W końcu zaprzestała poszukiwań, zrobiła sobie herbatę i usiadła w kuchni, zastanawiając się, co ją, u licha, podkusiło, żeby wyjść za taką męską szowinistyczną świnię jak Henry Wilt, który nie poznałby się na dobrym pieprzeniu, nawet gdyby podano mu je na tacy, i dla którego elegancki wieczór oznaczał kurczaka *curry* w restauracji New Delhi i przedstawienie *Króla Lira* w ratuszu. Dlaczego nie wyszła za kogoś takiego jak Gaskell Pringsheim, który podejmował szwedzkich profesorów w Ma Tante i rozumiał znaczenie stymulacji łechtaczki jako warunku sine-coşam prawdziwie satysfakcjonującej penetracji interpersonalnej? Inni ludzie nadal uważali ją za atrakcyjną. Podobała się Patrickowi Mottramowi i Johnowi Frostowi, nauczycielowi garncarstwa, a Sally powiedziała, że jest śliczna. Eva siedziała, wpatrując się w przestrzeń, przestrzeń między suszarką do naczyń i mikserem Kenwooda, który Henry dał jej na Gwiazdkę, i myślała o Sally, o tym, jak Sally dziwnie na nią patrzyła, gdy przebierała się w swoją cytrynową piżamę. Stała w drzwiach sypialni, paląc cygaro i przyglądając się jej tak zachłannie, że Eva spłonęła rumieńcem.

— Kochanie, masz takie śliczne ciało — powiedziała, gdy Eva odwróciła się i pospiesznie wciągnęła spodnie, żeby Sally nie zauważyła dziury w jej majtkach. — Nie możesz pozwolić, żeby się marnowało.

— Naprawdę uważasz, że mi w niej dobrze?

Ale Sally wpatrywała się w jej biust.

— Dzióbasku z buforami — wyszeptła.

Eva Wilt miała duże piersi i Henry, w jednym ze swych licznych momentów rozkojarzenia, powiedział kiedyś coś o rozkołysanych dyniach piekła bijących dla was, lecz nie dla mnie. Sally oceniła je wyżej i uparła się, żeby Eva zdjęła biustonosz i spaliła go. Zeszły do kuchni, napiły się tequili i położyły biustonosz na półmisku z wymalowaną gałązką ostrokrzewu, po czym Sally połała go brandy i podpaliła. Musiały wynieść półmiskę do ogrodu, bo stanik okropnie śmierdzał i dymił i położyły go na trawniku, zaśmiewając się do łez. Wspominając teraz ten epizod, Eva żałowała swojej decyzji. Był to dobry biustonosz z usztywnionymi miseczkami, które, jak głosiły reklamy w telewizji, zapewniały poczucie bezpieczeństwa tam, gdzie kobieta go potrzebuje. Sally powiedziała jednak, że jest to jej obowiązkiem wobec siebie samej jako wolnej kobiety, a po dwóch drinkach Eva nie była w stanie się z nią spierać.

— Musisz czuć się wolna — oświadczyła Sally. — Wolna, żeby być.

— Żeby być czym? — spytała Eva.

— Sobą, kochanie — wyszeptła Sally — swoim sekretnym ja. I dotknęła jej czule w miejscu, którego trzeźwa i mniej podekscytowana Eva z pewnością nie uznałaby za siedzibę swego ja. Wróciły do domu na lunch złożony z większej ilości tequili, sałatki, otrębów i twarożku. Eva, której apetyt dorównywał entuzjazmowi dla nowych doświadczeń, niezbyt się najadła i napomknęła o tym Sally, ale ta wyśmiała ideę trzech solidnych posiłków dziennie.

— Wysokie spożycie skrobi nie jest korzystne w aspekcie kalorycznym — powiedziała. — A poza tym liczy się nie to, ile jesz, tylko co. Z jedzeniem jest tak samo jak z pieprzeniem. Lepiej mało, a dobrze.

Nalała Evie kolejną tequilę, zmusiła ją, żeby przed wychyleniem kieliszka wyssała cząstkę cytryny, a potem poszły na górę, do wielkiej sypialni z wielkim łóżkiem i wielkim lustrem na suficie.

— Czas na TD — oznajmiła Sally, opuszczając żaluzje.

— Dziennik telewizyjny — wybełkotała Eva. — Przecież jeszcze nie ma wieczoru.

— Terapia dotykowa, kochanie — sprostowała Sally i pchnęła ją delikatnie na łóżko.

Eva spojrzała na swoje odbicie w lustrze: duża kobieta, dwie duże kobiety w żółtych piżamach leżące na dużym łóżku, na dużym purpurowym łóżku; dwie duże kobiety bez żółtych piżam na dużym purpurowym łóżku; cztery nagie kobiety na dużym purpurowym łóżku.

— Och, Sally, nie...

— Kochanie — powiedziała Sally i stłumiła jej protesty oralnie.

Było to dla Evy wstrząsająco nowe doświadczenie, aczkolwiek zapamiętała je tylko częściowo. Usnęła, zanim terapia dotykowa wyszła poza fazę wstępną, i obudzwszy się po godzinie, zobaczyła Sally już ubraną, stojącą przy łóżku z filiżanką czarnej kawy w ręku.

— Czuję się naprawdę okropnie — powiedziała Eva, mając na myśli zarówno samopoczucie fizyczne, jak i moralne.

— Wypij to, a poczujesz się lepiej.

Eva wypila kawę i ubrała się, a Sally wyjaśniła jej, że u początkujących pozabiegowa reakcja depresyjna jest rzeczą zupełnie naturalną.

— To kwestia kilku pierwszych sesji. Możesz się nawet załamać, płakać i krzyczeć, ale potem będziesz się czuła niesamowicie odprężona i wyzwolona.

— Tak sądzisz? Nie jestem pewna.

Sally odwiozła ją do domu.

— Musicie przyjść do nas z Henrym na grilla w czwartek wieczorem — powiedziała. — Gas na pewno będzie chciał was poznać. Polubisz go. Jest cyckomanem. Oszałeje na twoim punkcie.

— Mówię ci, była wstawiona — powiedział Wilt, siedzący w kuchni Braintreech, podczas gdy Peter Braintree otwierał dla niego piwo. — Była wstawiona, miała na sobie jakąś ohydą żółtą pizamę i paliła papierosa w cholernie długiej fifce.

— Co powiedziała?

— Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, powiedziała: „Chodź tutaj...” Nie, tego już za wiele. Miałem absolutnie parszywy dzień w college'u. Morris mówi mi, że nie dostanę awansu. Williams znowu jest chory, więc muszę go zastąpić. Jakiś cham z trzeciej drukarskiej daje mi twarz, a w domu pijana żona nazywa mnie dzióbaskiem z penisem.

— Jak cię nazwała? — zapytał Braintree, wytrzeszczając na niego oczy.

— Słyszałeś.

— Eva nazwała cię dzióbaskiem z penisem? Nie wierzę.

— Idź tam i sprawdź, jak nazwie cię — odparł kwaśno Wilt. — Tylko nie miej do mnie pretensji, jeśli przy okazji odessie ci oralnie sutki.

— Dobry Boże. Zagroziła, że to zrobi?

— To i jeszcze więcej — mruknął Wilt.

— Nie sądziłem, że Eva mogłaby tak powiedzieć.

— Nie sądziłbyś też, kurwa, że mogłaby tak wyglądać. Odstrzeliła się w żółtą pizamę plażową. Szkoda, że nie widziałeś tego koloru. Jaskier wyglądałby przy nim szaro. Usta miała wysmarowane jakąś upiornie krwistą szminką i paliła... Nie pali od sześciu lat. A potem ten dzióbasek z penisem i ssanie sutków. W dodatku oralnie.

Peter Braintree pokręcił głową.

— To obrzydliwe słowo.

— I absolutnie obrzydliwa czynność, jeśli chcesz znać moje zdanie — powiedział Wilt.

— Przyznam, że brzmi to dość osobliwie — zgodził się Braintree. — Nie wiem, co bym zrobił, gdyby Betty zaczęła się upierać, że possie mi sutki.

— W razie czego, zrób to, co ja zrobiłem. Zwiej z domu — odparł Wilt. — Zresztą nie chodzi tylko o sutki. Do diabła, jesteście małżeństwem dwanaście długich lat. Trochę już za późno na chrzanie o seksie oralnym. Rzecz w tym, że odbiło jej na punkcie wyzwolenia seksualnego. Wróciła wczoraj z kursu układania kwiatów, trajkocząc o stymulacji łechtaczki i otwartych horyzontach seksualnych.

— Otwartym czym?

— Horyzontach seksualnych. Mogłem coś pokręcić. W każdym razie horyzonty seksualne gdzieś w to wchodziły. Przysypiałem, kiedy mi o tym mówiła.

— Skąd, do diabła, to wszystko wzięła? — zapytał Braintree.

— Od jakiejś cholernej jankeski, Sally Pringsheim — wyjaśnił Wilt. — Wiesz, jaka jest Eva. Wyczuwa intelektualne brednie na milę i ciągnie do nich jak cholerny żuk gnojnik do kompostu. Nie masz pojęcia, ile nedorzeczných „najnowszych idei” próbowała mi już sprzedać. Z większością mogę jakoś żyć. Pozwalam jej się wygłupiać i po cichu robię swoje. Ale nie piszę się na partycypowanie oralne, kiedy ona plecie o wyzwoleniu kobiet.

— Nie rozumiem, dlaczego warunkiem rewolucji seksualnej i wyzwolenia kobiet jest powrót do przedszkola — powiedział Braintree. — Lansuje się ten obłąkany pogląd, że trzeba być cały czas namiętnie zakochanym.

— To małpy — oświadczył ponuro Wilt.

— Małpy? Co mają do tego małpy?

— Jest teraz moda na model zwierzęcy. Ludzie mają robić to, co czworonogi. Imperatyw terytorialny i Naga Małpa. Stawiasz wszystko na głowie i zamiast iść do przodu, cofasz się o milion lat. Podczepiasz się do orangutana. Egalitaryzm najniższego wspólnego mianownika.

— Nie bardzo rozumiem, co to ma wspólnego z seksem — powiedział Braintree.

— Ja też — odrzekł Wilt.

Poszli do „Kota w Worku” i upili się. Wilt wrócił do domu po północy, gdy Eva już spała. Wszedł ostrożnie do łóżka i leżał w ciemności, rozmyślając o wysokich zawartościach estrogenu.

Tymczasem Pringsheimowie wrócili z Ma Tante zmęczeni i znudzeni.

— Szwedzi to dno — powiedziała Sally, rozbierając się.

Gaskell usiadł i zdjął buty.

— Ungstrom jest w porządku. Niedawno rzuciła go żona. Odeszła z fizykiem od niskich temperatur z Cambridge. Normalnie nie bywa taki przygnębiony.

— Myślałby kto. A skoro mówimy o żonach, poznałam najbardziej nie wyzwoloną kobietę, jaką kiedykolwiek widziałeś. Nazywa się Eva Wilt i ma bufory jak melony.

— Przestań — poprosił doktor Pringsheim. — Nie wyzwolone żony z melonami są ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili potrzebuję.

Położył się do łóżka i zdjął okulary.

— Wzięłam ją tu dzisiaj.

— Wzięłaś ją?

Sally uśmiechnęła się.

— Gaskell, skarbie, masz plugawy umysł.

Gaskell Pringsheim posłał uśmiech swojemu odbiciu w lustrze na suficie. Był dumny ze swego umysłu.

— Po prostu cię znam, kochaneczko — powiedział. — Znam twoje zabawne małe zwyczaje. A skoro jesteśmy przy zwyczajach, co to za pudła leżą w pokoju gościnnym? Nie mów, że znów wydawałaś pieniądze.

Wiesz, jaki mamy w tym miesiącu budżet.

Sally rzuciła się na łóżko.

— Budżet srudżet — prychnęła. — Jutro je wszystkie odeślę.

— Wszystkie?

— Może nie wszystkie, ale większość. Musiałam jakoś zaimponować dzióbaskowi z buforami.

— Nie musiałaś wykupić połowy sklepu, żeby...

— Gaskell, skarbie, pozwól mi skończyć — przerwała mu Sally. — Ona jest maniaczką, uroczą, piękną maniaczką porządku. Nie może usiedzieć pół minuty, żeby nie sprzątać, czyścić, pastować albo zmywać.

— Tylko tego mi brakowało, dwie maniaczki w domu.

— Dwie? Ja nie jestem maniaczką.

— Dla mnie wystarczającą — odparł Gaskell.

— Ale ta ma bufory, złotko, bufory. Zresztą już zaprosiłam ją i jej męża na czwartkowego grilla.

— Po jaką cholere?

— Skoro nie chcesz mi kupić zmywarki do naczyń, o co cię prosiłam sto razy, załatwię ją sobie sama. Miłą maniakalną zmywarkę z buforami.

— Chryste — westchnął Gaskell — jesteś suką.

*

— Henry Wilt, jesteś draniem — powiedziała Eva następnego ranka.

Wilt usiadł na łóżku. Czuł się okropnie. Nos bolał go jeszcze bardziej niż poprzedniego dnia, pękała mu głowa, a poza tym spędził dużą część nocy na splukiwaniu harpicku z muszli klozetowej. Nie życzył sobie, aby na dzień dobry mówiono mu, że jest draniem. Spojrzył na zegar. Była ósma, a o dziewiątej miał zajęcia z drugą murarską. Wstał i skierował się do łazienki.

— Słyszałaś, co powiedziałam? — spytała Eva, również wstając z łóżka.

— Słyszałem — odparł Wilt i zobaczył, że jest naga. Eva Wilt nago o ósmej rano przedstawiała widok równie wstrząsający, jak Eva Wilt ubrana w cytrynową piżamę, pijana i paląca papierosa o szóstej wieczorem. I jeszcze mniej ponętny. — Co się, do diabła, stało z twoją koszulą nocną?

— A co się stało z twoim nosem? Pewnie się upiłeś i upadłeś. Wygląda na czerwony i spuchnięty.

— Jest czerwony i spuchnięty, i jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, nie upadłem. A teraz, na litość boską, zejdź mi z drogi. O dziewiątej mam wykład.

Przepchnął się obok niej, wszedł do łazienki i spojrzył w lustro. Nos wyglądał okropnie. Eva stanęła za Wiltem.

— Jeśli nie upadłeś, to co się stało? — zapytała.

Wilt psiknął piankę do golenia na dłoń i rozprowadził ją ostrożnie po podbródku.

— No? — ponagliła go Eva.

Wilt wziął brzytwę i zanurzył ją w gorącej wodzie.

— Wdałem się w sprzeczkę — burknął.

— Pewnie z latarnią. Wiem, że piłeś.

— Z drukarzem — wymamrotał Wilt i zaczął się golić.

— Z drukarzem?

— Ściśle biorąc, dostałem pięścią w twarz od wyjątkowo agresywnego drukarza-praktykanta.

Eva wytrzeszczyła na niego oczy w lustrze.

— Chcesz powiedzieć, że student uderzył cię w klasie?

Wilt skinął głową.

— Mam nadzieję, że mu oddałeś.

Wilt się zaciął.

— Nie, do cholery, nie oddałem — powiedział, ścierając krew palcem. — Patrz, co przez ciebie zrobiłem.

Eva zignorowała jego skargę.

— Powinieneś być. Nie jesteś prawdziwym mężczyzną. Powinieneś być mu oddać.

Wilt odłożył brzytwę.

— I dostać wymówienie. Oraz wezwanie do sądu na rozprawę o pobicie studenta. Doskonały pomysł.

Wziął gąbkę i wytarł sobie twarz.

Eva wycofała się do sypialni zadowolona. Nie będzie już mowy o jej żółtej piżamie. Odwróciła uwagę Henry'ego od własnej małej ekstrawagancji i zadała cios jego męskiej dumie. Zanim się ubrała, Wilt zdążył zjeść miskę płatków śniadaniowych, wypić pół kubka kawy i utknąć w korku na rondzie. Eva zeszła na dół, zjadła śniadanie i rozpoczęła codzienną rundę zmywania, odkurzania, czyszczenia wanny...

— Integracja — powiedział doktor Mayfield — jest zasadniczym elementem...

Komisja Łączona ds. Dalszego Rozwoju Przedmiotów Ogólnokształcących rozpoczęła obrady. Wilt wiercił się na krześle, marząc o tym, by jak najszybciej je zakończyła. Referat doktora Mayfielda zatytułowany „Treści intelektualne w programie nieakademickim” zupełnie go nie interesował, a w dodatku autor mówił tak zawile i tak monotonnym głosem, że Wilta zaczynał morzyć sen. Spojrzył przez okno na maszyny wierzące otwory pod fundamenty nowego gmachu administracji. Realność prac budowlanych ostro kontrastowała z niepraktycznością teorii rozwijanych przez doktora Mayfielda. Jeśli facet naprawdę sądził, że można wpoić treści intelektualne, czymkolwiek by były, trzeciej moneterskiej, to chyba oszalał. Co gorsza, jego cholerny referat z pewnością wywoła kłótnię, gdy przyjdzie czas na zadawanie pytań. Wilt rozejrzał się po sali. Wszystkie frakcje były na swoim miejscu: nowa lewica, lewica, stara lewica, neutralne centrum, prawica kulturalna i prawica reakcyjna.

Wilt plasował się wśród neutralnych. W poprzednich latach należał politycznie do lewicy, a kulturalnie do prawicy. Innymi słowy, potępiał bombę atomową, popierał aborcję oraz likwidację szkolnictwa prywatnego i był przeciwnikiem kary śmierci, czym zyskał sobie opinię radykała, a jednocześnie opowiadał się za powrotem do kołodziejstwa, kowalstwa i tkactwa ręcznego, co mieszało szyki wykładowcom przedmiotów technicznych, którzy starali się zaszczepić studentom podziw dla możliwości, jakie stwarza nowoczesna technologia. Czas i niereformowalne prostactwo tynkarzy zrobiły jednak swoje. Ideały Wilta wyparło przekonanie, że człowiek, który powiedział, iż pióro jest skuteczniejsze niż miecz, powinien być poczytać *Młyn nad Flossą* trzeciej mechanicznej, zanim otworzył gębę. Zdaniem Wilta w tym przypadku wiele przemawiało za mieczem.

Przez całą perorę doktora Mayfielda i późniejszą nieuniknioną dyskusję ideologiczną Wilt przyglądał się wykopowi na placu budowy. Idealnie nadawałby się do pochowania zwłok, a świadomość, że Eva, która za życia była nie do zniesienia, po śmierci wspiera ciężar wielopiętrowego budynku z betonu, sprawiłaby mu ogromną satysfakcję. Poza tym odkrycie ciała byłoby bardzo mało prawdopodobne, a jego rozpoznanie całkiem niemożliwe. Nawet Eva, która szczyciła się silną konstytucją i jeszcze silniejszym charakterem, nie mogłaby zachować tożsamości na dnie wykopu. Problem tkwił w tym, jak ją do niego wpakować. Użycie proszków nasennych odpadało, bo Eva sypiała dobrze i nie wierzyła w żadne proszki. „Ciekawe dlaczego — pomyślał ponuro Wilt — skoro wierzy we wszystko inne”.

Jego rojenia przerwał pan Morris, który zamykał zebranie.

— Zanim się rozejdziemy — powiedział — chciałbym poruszyć jeszcze jedną kwestię. Kierownik Sekcji Mechaniki poprosił nas o wygłoszenie cyklu godzinnych prelekcji dla adeptów pożarnictwa. W tym roku tematem będą „Problemy współczesnego społeczeństwa”. Przygotowałem listę zagadnień.

Pan Morris rozdał zagadnienia na chybił trafił. Major Millfield dostał „Środki masowego przekazu a uczestnictwo w demokracji”, o czym wiedział niewiele i co obchodziło go jeszcze mniej. Peterowi Braintreemu przypadł „Nowy brutalizm w architekturze, jego geneza i atrybuty społeczne”, a Wilt wylosował „Przemoc i upadek życia rodzinnego”. Uznał, że w sumie trafił całkiem nieźle. Temat pasował do jego obecnych zainteresowań. Pan Morris uważał podobnie.

— Pomyślałem, że po tym wczorajszym małym incydencie z drukarzami przypadnie ci to do gustu — powiedział, gdy wychodzili z sali.

Wilt uśmiechnął się blade i poszedł na zajęcia z drugą ślusarsko-tokarską. Dał im do czytania *Jeźdźca znikąd* i przez godzinę robił notatki do wykładu. Z oddali dobiegał go monotony warkot wiertnic. Wyobraził sobie Evę w cytrynowej piżamie leżącą na dnie wykopu, gdy robotnicy zalewają go betonem. Była to przyjemna i inspirująca wizja. Zapisał punkt „Zbrodnie w rodzinie”, podpunkt a) „Zabójstwa współmałżonków, spadek liczebny od czasu wprowadzenia rozwodów”.

Tak, może o tym powiedzieć adeptom pożarnictwa.

4.

— Nienawidzę przyjęć — powiedział Wilt w czwartek wieczorem. — Zwłaszcza przyjęć uniwersyteckich. A przyjęcia, na które trzeba przychodzić z własnym alkoholem, są najgorsze ze wszystkich. Przynosisz butelkę przyzwoitego burgunda, a musisz pić czyjeś wino marki wino.

— To nie jest przyjęcie — odparła Eva — to grill.

— Tu jest napisane „Przyjdź, dotknij i dojdź z Sally i Gaskellem, dziewiąta, czwartek. Przynies własną ambrosję albo spuść się na poncz Pringsheimów”. Jeśli ambrozja nie oznacza algierskiego sikacza, to chciałbym wiedzieć co.

— Myślałam, że to ten środek, który ludzie biorą, żeby się podrajcować — powiedziała Eva.

Wilt popatrzył na nią z obrzydzeniem.

— Pięknie się wyrażasz, odkąd poznałeś tych cholernych Pringsheimów. Podrajcować. Nie wiem, co w ciebie wstąpiło.

— Nie ty, to pewne — odparła Eva i poszła do łazienki.

Wilt usiadł na łóżku i przyjrzał się zaproszeniu. Draństwo miało kształt... Czego, do diabła? W każdym razie było różowe, otwierało się, a w środku był ten zagadkowy tekst. „Przyjdź, dotknij i dojdź”. Jak ktoś go dotknie, dostanie w ucho. I nie zamierza się na nic spuszczać. Będzie tam tłum snobistycznych docentów i doktorów palących skręty, dyskutujących o systemach manipulowania danymi w teorii zbiorów, znaczeniu prepopperowskiego heglizmu we współczesnej dialektyce albo czymś równie niezrozumiałym, i rzucających kurwami, aby pokazać, że nadal są ludźmi.

— A czym ty się zajmujesz? — będą go pytać.

— Ja? Uczę w college'u.

— W college'u? To szalenie ciekawe — uznają, patrząc ponad jego ramieniem ku bardziej stymulującym horyzontom, i w końcu wyląduje w towarzystwie jakiejś upiornej baby, twierdzącej, że rola college'ów jest bardzo cenna, zdobycze intelektualne nie są wcale takie istotne i młodzież należy przede wszystkim kształcić na użytecznych członków społeczeństwa, a to właśnie robią college'e, prawda? Wilt wiedział, co robią college'e. Płacą takim jak on trzy i pół tysiąca funtów rocznie, żeby przez godzinę uciszali monterów.

— W co, do diabła, mam się ubrać? — zapytał.

— Na przykład w tę meksykańską koszulę, którą kupiłeś w zeszłym roku na Costa del Sol! — zawołała Eva z łazienki. — Nie miałeś jeszcze okazji jej włożyć.

— I nie zamierzam wkładać jej teraz — mruknął Wilt, przetrząsając szufladę w poszukiwaniu czegoś skromnego, w czym mógłby zademonstrować swą niezależność. W końcu ubrał się w koszulę w paski i w dzinsy.

— Chyba nie pójdziesz w tym stroju? — powiedziała Eva, wyłaniając się półnago z łazienki.

Miała karminowe usta i grubą warstwę białego pudru na twarzy.

— Chryste — jęknął Wilt. — Klaun ze złośliwą anemią.

Eva przepchnęła się obok niego.

— Nie klaun, tylko Wielki Gatsby — oznajmiła. — A gdybyś miał odrobinę wyobraźni, wymyśliłbyś coś lepszego niż koszula od garnituru do dzinsów.

— Wielki Gatsby był mężczyzną — zauważył Wilt.

— Tym gorzej dla niego — odparła Eva i włożyła cytrynową piżamę.

Wilt zamknął oczy i zdjął koszulę. Ostatecznie wyszedł z domu w czerwonej koszuli i w dzinsach, a Eva, choć wieczór był ciepły, włożyła swój nowy prochowiec i kapelusz.

— Możemy pójść pieszo — zaproponował Wilt.

Pojechali samochodem. Eva nie miała jeszcze odwagi pokazać się na Parkview Avenue w filcowym kapeluszu, prochowcu z paskiem i cytrynowej piżamie. Po drodze wstąpili do monopolowego, gdzie Wilt kupił butelkę czerwonego cypryjskiego wina.

— Nie myśl, że będę pił to świństwo — powiedział. — I lepiej od razu weź kluczyki. Jeśli będzie tak źle, jak się spodziewam, wrócę do domu wcześniej.

Było jeszcze gorzej. W czerwonej koszuli i w dzinsach Wilt odstawał od reszty gości.

— Evo, kochanie! — zawołała Sally, gdy wreszcie ją znaleźli, rozmawiającą z mężczyzną w przepasce biodrowej ze ściereczki do naczyń reklamującej irlandzkie sery. — Wyglądasz wspaniale! Pasują ci lata dwudzieste. A więc to jest Henry. —

Henry bynajmniej nie czuł się jak Henry. — Też w stroju retro. Henry, poznaj Raphaela.

Mężczyzna w przepasce przyjrzał się dzinsom Wilta.

— A więc wróciły lata pięćdziesiąte — powiedział ospałym tonem. — Zapewne było to nieuniknione.

Wilt popatrzył na cheddar z Connemara i spróbował się uśmiechnąć.

— Cześć cię, Henry — powiedziała Sally i zabrała Evę, aby ją przedstawić najbardziej, ale to najbardziej wyzwolonej kobiecie pod słońcem, która wprost umierała z chęci poznania dzióbaska z buforami.

Wilt wyszedł do ogrodu, postawił swoją butelkę na stole i rozejrzał się za korkociągiem. Nie znalazłszy go, zajrzał do dużego wiadra z łyżką wazową w środku. W purpurowej cieczy pływało pół pomarańczy i kawałki poobijanej brzoskwini. Nalał sobie trochę do papierowego kubeczka i spróbował. Jak się spodziewał, poncz miał smak jabłecznika z dodatkiem alkoholu metylowego i oranżady. Powiódł wzrokiem po ogrodzie. W jednym rogu jakiś mężczyzna w kucharskiej czapce i suspensorium smażył, a raczej palił parówki na grillu. W drugim kilkanaście osób leżało kołem na trawie i słuchało taśm Watergate. Było tam również kilka zatopionych w rozmowie par i kilkoro gości stojących samotnie z obojętnymi, wyniosłymi minami. Wilt zakwalifikował się do ich grona i wytypował najbrzydszą dziewczynę, wychodząc z założenia, że równie dobrze może się rzucić na głęboką wodę i mieć to z głowy. I tak skończy w jej towarzystwie.

— Hej — powiedział, uświadamiając sobie, że jak Eva zaczyna już przechodzić na amerykański.

Dziewczyna popatrzyła nań tępo i odeszła.

— Było mi bardzo miło — mruknął Wilt i dopił swój poncz.

Po dziesięciu minutach i dwóch następnych drinkach dyskutował o szybkim czytaniu z niskim, krępy męczyzną, który robił wrażenie głęboko zainteresowanego tematem.

Eva kroila w kuchni bagietkę, a Sally sączyła drinka, rozmawiając o Levi-Straussie z Etiopczykiem, który właśnie wrócił z Nowej Gwinei.

— Zawsze byłam zdania, że L-S myli się w kwestii kobiet — oświadczyła, spoglądając tęsknie na pośladki Evy. — Ignoruje zasadnicze podobieństwo... — Urwała i wyjrzała przez okno. — Przepraszam na chwilę — rzuciła i poszła uratować doktora Scheimachera ze szponów Henry'ego Wilta. — Ernie jest taki słodki — powiedziała po powrocie. — Nigdy byście nie zgadli, że dostał Nagrodę Nobla za prace z dziedziny spermatologii.

Wilt dopił samotnie trzeciego drinka, nalał sobie czwartego i poszedł posłuchać taśm Watergate. Zdażył na sam koniec.

— Kwadrofonia daje o wiele lepszy wgląd w charakter Sprytnego Ryśka — powiedział ktoś, gdy grupa się rozchodziła.

— Mając wybitnie uzdolnione dziecko, trzeba stosować specjalne metody wychowawcze. Roger i ja stwierdzamy, że Tonio najlepiej reaguje na podejście strukturalne.

— To stek bzdur. Weź, na przykład, co mówi o kwazarach...

— Naprawdę nie widzę w sodomii nic złego...

— Mam gdzieś, co Marcuse sądzi o tolerancji. Moim zdaniem...

— Przy minus dwustu pięćdziesięciu stopniach azot...

— Przyszaj, Bach ma swoje zalety, ale nie jest wszechstronny...

— Mamy willę w St. Tropez...

— Nadal uważam, że Kaldor* proponował dobre rozwiązanie...

Wilt dopił czwartego drinka i ruszył szukać Evy. Miał dość. Zatrzymał go okrzyk mężczyzny w kucharskiej czapce:

— Burgery gotowe! Chodź i weź sobie.

Wilt podszedł do niego chwiejnym krokiem i wziął sobie. Dwie parówki, przypalonego hamburgera i trochę sałatki cole sław na papierowym talerzyku. Noży ani widelców najwyraźniej nie było.

* Nicholas Kaldor (1908-1986) — brytyjski ekonomista.

— Biedny Henry wygląda na przygnębitego — stwierdziła Sally. — Pójdę go rozruszać.

Wyszła do ogrodu i wzięła Wilta pod ramię.

— Szczęściarz z ciebie, że masz Evę. Ona jest najbardziej dzióbaskowym dzióbaskiem.

— Ma trzydzieści pięć lat — wybelkotał Wilt. — Trzydzieści pięć jak w pysk strzelił.

— Cudownie jest spotkać człowieka, który mówi to, co myśli — powiedziała Sally, biorąc kawałek hamburgera z jego talerza. — Gaskell nigdy nie powie niczego otwarcie. Uwielbiam proslinijnych ludzi. — Usiadła na trawie i pociągnęła Wilta za sobą. — Według mnie to strasznie ważne, żeby dwie osoby mówiły sobie prawdę.

Odlamała następny kawałek hamburgera i włożyła go Wiltowi do ust, a potem leniwie oblizała palce i spojrzała mu głęboko w oczy. Wilt niepewnie przeżuł kęs i z trudem go połknął. Miał smak przypalonej wołowiny z *soupçon* Lancôme. Albo *bouquet*.

— Dlaczego dwie? — zapytał, przeżuując rzadkiego colesława.

— Dlaczego co dwie?

— Dlaczego dwie osoby — ciągnął Wilt. — Dlaczego to ważne, żeby dwie osoby mówiły sobie prawdę?

— No wiesz...

— Dlaczego nie trzy? Albo cztery? Albo sto?

— Sto osób nie może żyć ze sobą w związku — wyjaśniła Sally. — Nie w związku intymnym i znaczącym.

— Wiele par też nie może — odparł Wilt.

Sally wetknęła palec w jego colesława.

— Ale wy możecie. Ciebie i Evę łączy coś prawdziwego.

— Niezbyt często — mruknął Wilt.

Sally wybuchnęła śmiechem.

— Och, dzióbasku, jesteś szczerym dzióbaskiem — powiedziała, a potem wstała z trawy i przyniosła jeszcze dwa drinki.

Wilt zajrzał z wahaniem do swojego kubka. Zaczynał być bardzo pijany.

— Jeśli ja jestem szczerym dzióbaskiem, jakim dzióbaskiem jesteś ty, dzióbasku? — zapytał, starając się zaprawić ostatniego dzióbaska solidnym *souçon* pogardy.

Sally przytuliła się do niego i szepnęła mu do ucha:

— Ja jestem dzióbaskiem cielesnym.

— To widać — stwierdził Wilt. — Masz bardzo ładne ciało.

— To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałam — odrzekła Sally.

— W takim razie — powiedział Wilt, biorąc zwęgloną parówkę — nie zaznałaś chyba miłości w dzieciństwie.

— Rzeczywiście nie zaznałam — odparła Sally, wrywając mu parówkę z ręki. — I dlatego tak bardzo potrzebuję jej teraz.

Włożyła prawie całą parówkę do ust, wyjęła ją powolnym ruchem i odgryzła koniuszek. Wilt skończył colesława i splukał go ponczem Pringsheimów.

— Czyż oni nie są okropni? — spytała Sally, gdy z okolic grilla dobiegły ich krzyki i śmiechy.

Wilt podniósł głowę.

— Rzeczywiście są — przyznał. — Kim jest ten pajac w suspensorium?

— To Gaskell. Jest strasznie infantylny. Uwielbia się bawić. W Stanach jeździ na pomoście lokomotywy i chodzi na rodea, a w ostatnie Boże Narodzenie przebrał się za Świętego Mikołaja i pojechał do Watts, żeby rozdawać prezenty czarnym dzieciakom w sierocińcu. Oczywiście mu nie pozwolili.

— Jeśli włożył suspensorium, wcale im się nie dziwię — odparł Wilt.

Sally wybuchnęła śmiechem.

— Musisz być spod znaku Barana — powiedziała. — Walisz prosto z mostu. — Wstała i pociągnęła Wilta do góry. — Pokażę ci jego pokój zabaw. Jest naprawdę strasznie dziwny.

Wilt odłożył talerz i poszedł za nią do domu. W kuchni Eva obierała pomarańcze na sałatkę owocową, rozmawiając o rytuale obrzezania z Etiopczykiem, który kroił dla niej banany. W bawialni kilka par tańczyło bardzo energicznie przy piątej symfonii Beethovena puszczanej z prędkością siedemdziesięciu ośmiu obrotów na minutę.

— Chryste — jęknął Wilt.

Sally wzięła z barku butelkę wódki i poszli na górę, do małej sypialni wypełnionej zabawkami. Była tam kolejka elektryczna, worek treningowy, olbrzymi pluszowy miś, koń na biegunach, hełm strażacki i nadmuchiwana lalka naturalnej wielkości wyglądająca jak żywa kobieta.

— To Judy — powiedziała Sally. — Ma prawdziwą cipę. Gaskella rajcuje plastik. — Wilt się skrzywił. — A to są jego zabawki. Dzióbasek w okresie pokwitania.

Wilt rozejrzał się po pokoju i pokręcił głową.

— Nadrabia chyba stracone dzieciństwo.

— Och, Henry, masz świetny zmysł obserwacji — powiedziała Sally, otwierając butelkę z wódką.

— Nie mam. To cholernie oczywiste.

— Och, masz. Tylko jesteś strasznie skromny. Skromny, nieśmiały i męski.

Napiła się wódki i podała butelkę Wiltowi. Ten nieroztropnie pociągnął łyk i omal się nie udławił. Sally zamknęła drzwi na klucz i usiadła na łóżku, po czym wzięła Wilta za rękę i posadziła go obok siebie.

— Pieprz mnie, Henry — wyszeptła, zadzierając spódnicę. — Rznij mnie, dzióbasku, aż mi majtki spadną.

— To — powiedział Wilt — byłoby dość trudne.

— Tak? Dlaczego?

— Na przykład dlatego, że nie nosisz majtek, a poza tym, czemu miałbym to zrobić?

— Chcesz mieć powód? Powód, żeby się rznąć?

— Tak — odparł Wilt. — Chcę mieć powód.
— Powód srowód. Czuj się wolny. — Przyciągnęła go do siebie i pocałowała. Wilt bynajmniej nie czuł się wolny. — Nie wstydz się, skarbie.
— Myślisz, że się wstydzę? — zapytał Wilt, odsuwając się od niej.
— Jasne, że się wstydzisz. Bo masz małego. Eva mi powiedziała...
— Małego? Ja mam małego?! — wrzasnął z wściekłością Wilt.
Sally uśmiechnęła się do niego.
— To nie ma znaczenia. Nic nie ma znaczenia. Tylko ty i ja i...
— To ma cholerne znaczenie — warknął Wilt. — Moja żona opowiada, że mam małego. Już ja pokażę tej głupiej suce. Pokażę jej...
— Pokaż mi, dzióbasku, pokaż mi. Ja lubię małe. Zrób mi nim dobrze.
— Nie mam małego — wymamrotał Wilt.
— Dowiedz tego, kochanie — powiedziała Sally, wijąc się zmysłowo.
— Nie będę niczego dowodził — odparł Wilt i wstał.
Sally przestała się wic i utkwiała w nim wzrok.
— Po prostu się boisz — oświadczyła. — Boisz się być wolny.
— Wolny?! — krzyknął Wilt, próbując otworzyć drzwi. — Nazywasz wolnością bycie zamkniętym w pokoju z cudzą żoną? Chyba żartujesz.
Sally obciągnęła spódnicę i usiadła prosto.
— Nie chcesz?
— Nie chcę — odparł Wilt.
— Lubisz S & M, dzióbasku? Możesz mi powiedzieć, jestem przyzwyczajona. Gaskell to prawdziwy...
— Nie lubię — przerwał jej Wilt. — I nie obchodzi mnie, kim jest Gaskell.
— A może chcesz, żeby ci postawić pałkę?
Wstała z łóżka i ruszyła w jego stronę. Wilt spojrzał na nią z obłędem w oczach.
— Nie waż się mnie dotknąć! — krzyknął, widząc w myślach oddziały specjalne policji pałujące demonstrantów. — Nic od ciebie nie chcę.
Sally przystanąła, wpatrując się w niego. Już się nie uśmiechała.
— Bo masz małego?
Wilt oparł się drzwi.
— Nie mam małego.
— Bo nie masz odwagi pójść za głosem instynktu? Bo pozostałeś psychiczną dziewicą? Bo nie jesteś prawdziwym mężczyzną? Bo nie możesz znieść kobiety, która myśli?
— Myśli? — wrzasnął Wilt, dotknięty do żywego oskarżeniem, że nie jest prawdziwym mężczyzną. — Myśli? Ty myślisz? Wiesz co? Wolałbym się przespać z tą plastikową lalką niż z tobą. Ma więcej seksapilu w małym palcu niż ty w całym swoim zepsutym ciele. Jak mam ochotę na kurwę, to ją kupuję.
— Ty gnido — syknęła Sally i rzuciła się na niego.
Wilt zrobił unik i zderzył się z workiem treningowym. W następnej chwili nadepnął na model lokomotywy i przejechał na nim przez cały pokój. Kiedy osunął się po ścianie na podłogę, Sally wzięła lalkę i pochyliła się nad nim.

W kuchni Eva skończyła robić sałatkę owocową i zaparzyła kawę. Przyjęcie było cudowne. Pan Osewa opowiedział jej o swojej pracy urzędnika niższego szczebla w departamencie kultury UNESCO i o tym, jaką sprawia mu ona satysfakcję. Doktor Scheimacher dwa razy pocałował ją w kark, a mężczyzna w przepasce biodrowej przycisnął się do niej mocniej, niż było absolutnie konieczne, aby dosięgnąć ketchupu. A wszędzie dookoła bardzo mądrzy ludzie wypowiadali się tak otwarcie!

Wszystko to było takie eleganckie. Nalała sobie kolejnego drinka i rozejrzała się za Henrym. Nigdzie go nie było.

— Nie wiesz, gdzie jest Henry? — zapytała, gdy Sally weszła do kuchni z butelką wódki i wypiekami na twarzy.

— Kiedy go ostatni raz widziałam, siedział z jakąś cizią — odparła Sally i zjadła łyżkę sałatki owocowej. — Evo, dzióbasku, jesteś absolutną mistrzynią.

Eva splonęła rumieńcem.

— Mam nadzieję, że dobrze się bawi. Henry nie jest najlepszy na przyjęciach.

— Evo, dzióbasku, bądź uczciwa. Henry nie jest najlepszy, kropka.

— On tylko... — zaczęła Eva, ale Sally zamknęła jej usta pocałunkiem.

— Jesteś dla niego o wiele za dobra — stwierdziła. — Musimy ci znaleźć kogoś naprawdę pięknego.

Podczas gdy Eva sączyła drinka, Sally znalazła młodzieńca z opadającą na czoło grzywką. Leżał na kanapie obok jakiejś dziewczyny, paląc papierosa i gapiąc się w sufit.

— Christopher, skarbie — powiedziała — ukradnę cię na chwilę. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. Idź do kuchni i poczaruj buforzastą kobietę w okropnej żółtej pizamie.

— O Boże. Dlaczego ja?

— Mój słodki, przecież wiesz, że żadna ci się nie oprze. Jesteś taki seksowny. Zrób to dla mnie, dzióbasku.

Christopher wstał z kanapy i poszedł do kuchni, a Sally wyciągnęła się obok dziewczyny.

— Christopher to prawdziwy brylant — oświadczyła.

— To żigolak — odparła dziewczyna. — Męska prostytutka.

— Kochanie — powiedziała Sally — najwyższy czas, żebyśmy my, kobiety, je miały.

W kuchni Eva przerwała nalewanie kawy. Czuła się rozkosznie wstawiona.

— Przestań — powiedziała pospiesznie.

— Dlaczego?

— Jestem mężatką.

— To nic złego.

— Tak, ale...

— Żadnych ale, kochana.

— Och.

*

Tymczasem Wilt, dochodzący powoli do siebie po skomasowanym ataku ponczu Pringsheimów, wódki, gospodyni-nimfomanki i narożnika regału, na który poleciał, miał uczucie, że coś jest bardzo nie w porządku. Nie chodziło już nawet o to, że pokój wirował, a on sam miał guza z tyłu głowy i był nagi. Znacznie bardziej niepokoiło go wrażenie, że coś o mało atrakcyjnych cechach pułapki na myszy, imadła albo wygłodniałego mięczaka wczepiło się brutalnie w narząd, który uważał dotychczas za najbardziej intymną część swego ciała. Wilt otworzył oczy i zobaczył uśmiechniętą, aczkolwiek nieco obrzmiałą twarz. Zamknął oczy, pomodlił się, otworzył je ponownie, stwierdził, że twarz nie zniknęła, i spróbował usiąść.

Nie było to roztropne posunięcie. Judy, plastikowa lalka, nadmuchana ponad miarę, stawiała opór. Wilt pisnął i upadł z powrotem na podłogę, a Judy za nim. Jej nos dziobnął go w twarz, a piersi w pierś. Wilt zaklął, przekreślił się na bok i rozważył problem. Siadanie nie wchodziło w grę. Kastracja murowana. Musi spróbować czegoś innego. Przetoczył się na lalkę, ale stwierdził jedynie, że zwiększył nacisk na to, co zostało z jego członka, i że jeśli chce dostać gangreny, jest to świetna metoda. Pospiesznie przekreślił się na plecy i zaczął po omacku szukać korka. Na pewno gdzieś był, musiał go tylko znaleźć. Ale jeśli lalka miała korek, to dobrze ukryty, a sądząc z tego, co Wilt czuł, należało się pospieszyć. Obmacał podłogę wokół siebie w poszukiwaniu czegoś ostrego, czego mógłby użyć jako sztyletu, w końcu odłamał kawałek toru kolejki i wbił go napastniczo w plecy. Plastik zapiszczał, ale nabrzmiały uśmiech Judy nie zniknął, a jej niepożądane atencje ani trochę nie osłabły. Dźgnąwszy ją bezskutecznie jeszcze kilka razy, Wilt odrzucił zaimprovizowany sztylet i rozważył inne możliwości. Zaczynała go ogarniać desperacja, gdyż pojawiło się nowe zagrożenie. Mało, że był poddany działaniu wysokiego ciśnienia powietrza w łalce, rosło też ciśnienie w jego pęcherzu. Poncz Pringsheimów i wódka dawały o sobie znać. Z rozpaczliwą myślą, że jeśli się zaraz nie uwolni, to pęknie, Wilt chwycił głowę Judy, odgiał ją na bok i zatopił zęby w jej szyi. A raczej zatopiłby, gdyby pozwoliły mu jej funty na cal kwadratowy. Zamiast tego został odrzucony i przez następne dwie minuty szukał sztucznego zęba, który przemieścił mu się w ustach.

Kiedy wreszcie włożył go na miejsce, był już naprawdę przerażony. Musiał się uwolnić. Po prostu musiał. W łazience powinna być brzytwa albo nożyczki. Ale gdzie, do licha, jest łazienka? Nieważne, jakoś ją znajdzie. Ostrożnie, bardzo ostrożnie przetoczył lalkę na plecy i przekreślił się za nią, a potem powoli przesunął kolana do przodu i usiadł na Judy okrakiem. Musiał się jeszcze czegoś przytrzymać, żeby wstać. Wychylił się i chwycił brzeg krzesła jedną ręką, unosząc głowę Judy drugą. Chwilę później stał. Przytrzymując lalkę, pokuśtykał do drzwi, otworzył je i wyjrzał na korytarz. A jeśli ktoś go zobaczy? Do diabła z tym. Miał gdzieś, co ludzie o nim pomyślą. Ale gdzie jest łazienka? Wilt skręcił w prawo i, rozglądając się nerwowo ponad ramieniem Judy, poczłapał korytarzem.

Na dole Eva bawiła się cudownie. Najpierw Christopher, potem mężczyzna w przepasce biodrowej i wreszcie doktor Scheimacher, wszyscy trzej próbowali ją poderwać i wszyscy dostali odprawę. Była to miła odmiana po

obojętności Henry'ego. To dowodziło, że nadal może się podobać. Doktor Scheimacher powiedział, że jest ciekawym przykładem utajonej steatopygii, Christopher usiłował całować ją po biuście, a mężczyzna w przepasce robił jej bardzo niezwykle propozycje. I Eva wyszła z tego całkowicie bez skazy. Jej ogromna płochliwość, upieranie się przy tańcach, oraz, przede wszystkim, zwyczaj mówienia donośnym i nie całkiem wolnym od plebejskiego akcentu głosem: „Och, jesteś niemożliwy” w chwilach ich najgorętszego zapału, miały działanie wybitnie odstraszające. Teraz siedziała na podłodze w bawialni i słuchała, jak Sally, Gaskell oraz brodaty mężczyzna z Instytutu Badań Ekologicznych dyskutują o zamienności ról seksualnych w społeczeństwie o ograniczonym przyroście naturalnym. Czowała się dziwnie lekko. Parkview Avenue, Mavis Mottram i jej praca w klubie osiedlowym „Jedność” wydawały się należeć do innego świata. Zaakceptowali ją ludzie, dla których latanie do Kalifornii i Tokio na konferencje i sympozja było rzeczą tak normalną jak dla niej jazda autobusem do centrum. Doktor Scheimacher wspominał, że nazajutrz leci do Delhi, a Christopher, który był fotografem, wrócił właśnie z Trynidadu. A przede wszystkim, to, co ci ludzie robili, miało znaczenie, znaczenie i blask, którego praca Henry'ego w college'u była całkowicie pozbawiona. Gdyby tylko mogła go nakłonić, żeby zajął się czymś ciekawym i emocjonującym. Ale Henry był takim fajtłapą. Wychodząc za niego, popełniła błąd. Wielki błąd. Interesowały go wyłącznie książki, a życia nie można znaleźć w książkach. Jak powiedziała Sally, życie było po to, żeby żyć. Składało się z ludzi, doświadczeń i dobrej zabawy. Henry nigdy tego nie dostrzeże.

W łazience Wilt dostrzegał niewiele. Przede wszystkim, nie widział żadnego sposobu na uwolnienie się od tej przebrzydłej lalki. Próby poderżnięcia jej gardła brzytwą zawiodły, głównie dlatego, że nie była to brzytwa, tylko bezpieczna maszynka Wilkinsona. Potem spróbował użyć szamponu jako nawilżacza, ale wyprodukował jedynie większą ilość piany, co nawet w jego niechętnych oczach wyglądało tak, jakby doprowadził Judy do szczytu seksualnego podniecenia. W końcu wrócił do poszukiwań korka. Cholerstwo musiało gdzieś być, należało je tylko znaleźć. Spojrzał w lustro na drzwiczkach apteczki, ale było za małe. Nad umywalką wisiało większe. Wilt opuścił deskę i wspiął się na sedes. W ten sposób będzie mógł zobaczyć plecy lalki. Właśnie obracał się powolutku dookoła, gdy w korytarzu zastukały czyjeś kroki. Wilt znieruchomiał na sedesie. Ktoś nacisnął klamkę, stwierdził, że drzwi są zamknięte i odszedł. Wilt odetchnął z ulgą. Zaraz znajdzie ten piekielny korek.

I w tym momencie doszło do katastrofy. Wilt wdepnął lewą nogą w szampon, który spłynął na deskę, pośliznął się na nim i momentalnie znalazł się w powietrzu, razem z lalką i drzwiczkami apteczki, które próbował uchwycić. Kiedy wpadł do wanny, pociągając za sobą zasłonę prysznicową wraz z prętem, a wartość apteczki posypała się do umywalki, Wilt wydał z siebie ostatni rozpaczliwy krzyk. Rozległ się huk brzmiający jak wystrzał korka od szampana i Judy, reagując na nacisk Wiltowych siedemdziesięciu kilo, które runęły na nią z wysokości kilku stóp, wyrzuciła go w górę. Ale Wiltowi było już wszystko jedno. Stracił przytomność. Jak przez mgłę zarejestrował krzyki w korytarzu, to, że ktoś wyłamuje drzwi łazienki, pochylające się nad nim twarze i czyjś histeryczny śmiech. Kiedy się ocknął, leżał na łóżku w pokoju zabaw. Wstał, włożył ubranie, po cichu zszedł na dół i wymknął się z domu. Była trzecia nad ranem.

5.

Eva siedziała na brzegu łóżka i płakała.

— Jak on mógł? Jak mógł zrobić coś takiego? I to przy ludziach.

— Evo, dzióbasku, mężczyźni już tacy są. Wierz mi — odparła Sally.

— Ale z lalką?

— To odzwierciedla stosunek męskich szowinistycznych świń do kobiet. Jesteśmy dla nich wyłącznie rekwizytami do pieprzenia. Uprzedmiotowienie. Teraz wiesz, co Henry o tobie myśli.

— To okropne — powiedziała Eva.

— Pewnie, że okropne. Męska dominacja sprowadza nas do poziomu rzeczy.

— Ale Henry jeszcze nigdy czegoś takiego nie zrobił — jęknęła Eva.

— Zawsze musi być pierwszy raz.

— Nie wrócę do niego. Nie mogłabym. Narobił mi takiego wstydu.

— Zapomnij o tym, kochanie. Nie musisz nigdzie wracać. Sally się tobą zajmie. Połóż się teraz i śpij.

Eva położyła się, ale nie mogła usnąć. Wciąż miała przed oczami obraz Henry'ego leżącego nago w wannie na tej wstrętnej lalce. Musieli wyłamać drzwi i doktor Scheimacher skaleczył sobie dłoń o stłuczoną butelkę, próbując wyciągnąć Henry'ego z wanny... Och, to było zbyt okropne. Już nigdy nie będzie mogła spojrzeć ludziom w oczy. Wszyscy się o tym dowiedzą i będzie znana jako kobieta, której mąż... Wstrząśnięta nowym paroksyzmem wstydu, Eva ukryła twarz w poduszce i wybuchnęła płaczem.

— Z pewnością było to *clou* przyjęcia — stwierdził Gaskell. — Facet posuwa lalkę w łazience i wszyscy dostają kota. — Rozejrzył się po pobojowisku w salonie. — Jeśli ktoś myśli, że zacznę teraz sprzątać, to grubo się myli. Idę spać.

— Tylko nie obudź Ewy. Dostała hysterii — powiedziała Sally.

— Wspaniale. Teraz mamy w domu maniaczkę-histeryczkę.

— A jutro z nami płynie.

— Co?

— Słyszałeś. Płynie z nami.

— Chwileczkę...

— Nie poddaję tego pod dyskusję, Gas, tylko cię informuję. Eva płynie z nami.

— Na litość boską, dlaczego?

— Ponieważ nie pozwolę jej wrócić do tego obleśnego męża. Ponieważ nie chcesz przyjąć gosposi i ponieważ ją lubię.

— Ponieważ nie chcę przyjąć gosposi. Teraz wiem już wszystko.

— O nie, nie wiesz — odrzekła Sally. — Nie wiesz nawet połowy. Może tego nie zauważyłeś, ale ożeniłeś się z kobietą wyzwoloną. Żadna męska świnia nie będzie mi podskakiwać.

— Wcale ci nie podskakuję — zaprotestował Gaskell. — Mówię tylko, że nie mam ochoty...

— Nie chodzi mi o ciebie, tylko o tego kretyna Wilta. Myślisz, że sam wszedł w tę lalkę? Rusz głową, dzióbasku.

Gaskell usiadł na kanapie i wytrzeszczył na Sally oczy.

— Chyba ci odbiło. Po jakie lichy to zrobiłaś?

— Bo jak kogoś wyzwalam, to go wyzwalam. Na amen.

— Wyzwolić kogoś przez... — Pokręcił głową. — To nie ma sensu.

Sally nalala sobie drinka.

— Kłopot z tobą, Gas, polega na tym, że jesteś mocny tylko w gębie. „Moja żona jest kobietą wyzwoloną. Moja żona jest wolna”. Ładnie to brzmi, ale kiedy twoja wyzwolona żona postanawia przejść od słów do czynów, nie chcesz o tym wiedzieć.

— Tak? A kiedy już przejdziesz do tych cholernych czynów, kto ci ratuje tyłek? Ja. Kto cię wyciągnął z tej afery w Omaha? Kto dał w łapę glinom w Houston, kiedy...

— W porządku, ty. Więc dlaczego się ze mną ożeniłeś? No dlaczego?

Gaskell przetarł okulary rąbkiem kucharskiej czapki

— Nie wiem — powiedział. — Zabij mnie, nie wiem.

— Dla jaj, dzióbasku, dla jaj. Beze mnie umarłbyś z nudów. Ze mną masz emocje. Ze mną masz jaja.

— Raczej dostaję w jaja.

Gaskell podźwiął się z kanapy i ruszył w stronę schodów. W takich chwilach naprawdę się zastanawiał, dlaczego się ożenił.

Wilt wracał do domu, wijąc się z bólu, ale nie był to już ból fizyczny. Przechodził męki ponizienia, nienawiści i wstrętu do samego siebie. Wszedł na głupca, zbrojeńca i idiotę w oczach ludzi, którymi gardził. Pringsheimowie i ich klika reprezentowali nienawistny mu fałsz i pretensjonalność. Błażeństwa tych intelektualnych klaunów nie były nawet szczerze. Oni tylko parodiowali radość. Śmiali się, żeby usłyszeć własny śmiech, i szpanowali zmysłowością, która nie miała nic wspólnego z uczuciami ani nawet z instynktem, tylko brała się z ich płytkich wyobrażeń o żądzy. *Copulo ergo sum*. A ta suka Sally szydziła, że on nie ma odwagi pójść za głosem instynktu, jakby instynkt polegał na strzeleniu spermą w chemicznie wysterylizowane ciało kobiety, którą poznało się przed kwadrans. Wilt właśnie zareagował instynktownie, opierając się lubieżności, której źródłem była chęć dominacji, arogancja i niedopuszczalna pogarda dla niego samego, wynikająca z przekonania, że jest jedynie przedłużeniem swojego członka i że najpełniejszym wyrazem jego myśli, uczuć, nadziei i ambicji będzie znalezienie się między nogami zboczonej snobki. I to miało oznaczać wolność.

„Czuj się wolny” — powiedziała i uwięziła go w tej pieprzonej lalce. Wilt zazgrzytał zębami.

I co z Ewą? Jakie piekło mu teraz zgotuje? Jeśli życie z nią było trudne do zniesienia już przedtem, teraz będzie nieprzerwanym pasmem cierpień. Eva nie uwierzy, że nie posuwał tej lalki, że nie znalazł się w niej z własnej woli, że była to robota Sally. Nie uwierzy za żadne skarby. A nawet gdyby jakimś cudem przyjęła jego wersję wydarzeń, cholerną robi to różnicę.

„Co z ciebie za mężczyzna, jeśli pozwoliłeś, żeby kobieta tak cię załatwiła?” — zapyta. Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Jaki był z niego mężczyzna? Nie miał pojęcia. Nieważny mały człowieczek, któremu przytrafiają się różne rzeczy i którego życie jest pasmem upokorzeń. Drukarze dają mu w twarz i szef wini za to jego. Własna żona go tyranizuje, a cudze żony robią zeń pośmiewisko. Wilt wędrował osiedlowymi uliczkami,

obok małych domków i małych ogródków, czując, że wzbiera w nim determinacja. Miał dosyć bycia popychadłem losu. Od tej chwili różne rzeczy będą się przytrafiać innym. Z ofiary nieszczęść zmieni się w ich sprawcę. Niech no tylko Eva spróbuje mu podskoczyć. Stłucze sukę na kwaśne jabłko.

Wilt zatrzymał się. Łatwo powiedzieć. Baba była duża i silna. Stłucze ją, akurat. Prędzej ona stłukłaby Wilta, a w dodatku opowiedziała o jego przygodzie z lalką wszystkim znajomym i zanim by się obejrzał, dudniłby o tym cały college. W ciemnościach Parkview Avenue Wilt wzdrygnął się na tę myśl. Byłby to koniec jego kariery. Przeszedł przez furtkę numeru 34 i otworzył frontowe drzwi ze świadomością, że jeśli w najbliższej przyszłości nie podejmie jakichś drastycznych kroków, będzie po nim.

Godzinę później leżał w łóżku, nie śpiąc i zmagając się z problemem Evy, własnego charakteru oraz tego, jak zmienić go w coś, co mógłby szanować. A co szanował? Wilt zacisnął pięści pod koldrą.

„Zdecydowanie” — wymamrotał. „Zdolność do czynu. Odwaga”. Dziwna litania starożytnych cnót. Ale jak wyrobić je w sobie teraz? Jak z ludzi takich jak on robiono komandosów i zawodowych morderców podczas wojny? Szkoląc ich. Wilt leżał w ciemnościach i obmyślał szkolenie, które pozwoli mu stać się kimś, kim nie był ani trochę. Zanim usnął, postanowił spróbować niemożliwego.

O siódmej zadzwonił budzik. Wilt wstał, poszedł do łazienki i spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Był człowiekiem twardym i pozbawionym uczuć. Twardym, metodycznym, bezlitosnym i logicznie myślącym. Człowiekiem, który nie popełnia błędów. Zszedł na dół, zjadł swoje płatki śniadaniowe i wypił kubek kawy. Więc Eva została na noc u Pringsheimów. To było coś. To mu wiele ułatwiało. Pomijając fakt, że wciąż miała samochód. Nie zamierzał iść go odebrać. Poszedł na rondo i złapał autobus do college'u. Miał zajęcia z drugą murarską. Kiedy wszedł do sali, rozmawiali o biciu studentów.

— Był odpicowany jak kelner. I mówi do mnie: „Czy mógłbyś się odsunąć?” A ja tylko oglądałem książki na wystawie.

— Książki? — zdziwił się Wilt. — O jedenastej w nocy oglądałeś książki? Nie wierzę.

— Pisma i westerny — wyjaśnił murarz. — W sklepie ze starzyzną na Finch Street.

— Mają tam świerszczyki — dodał ktoś inny.

Wilt skinął głową. To brzmiało bardziej prawdopodobnie.

— Więc pytam: „Czy mógłbym co?” — ciągnął murarz. — A on powtarza: „Czy mógłbyś się odsunąć”. Jakby cholerna ulica należała do niego.

— I co odpowiedziałeś? — zapytał Wilt.

— Nic nie odpowiedziałem. Szkoda było dla niego słów.

— Więc co zrobiłeś?

— Dołożyłem gościowi w ryło i poprawiłem z fleka. Dałem mu niezły wycisk, nie ma dwóch zdań. A potem sobie poszłem. Przynajmniej jeden cholerny student nie będzie już mówił ludziom, żeby się odsunęli.

Grupa pokiwała głowami z aprobatą.

— Wszyscy ci dranie są tacy sami — powiedział inny murarz. — Myślą, że jak mają forszę i chodzą do college'u, to mogą się rządzić. Wszystkim przydałby się wycisk. Zaraz by im zmiękla rura.

Wilt rozważył zalety wycisku jako elementu edukacji intelektualnej. Po swoich przeżyciach z poprzedniego wieczoru był skłonny uznać, że sporo za nim przemawia. Chętnie dałby w ryło połowie osób na przyjęciu u Pringsheimów.

— Więc uważacie, że nie ma nic złego w pobiciu studenta, który wszedł wam w drogę? — zapytał.

— Złego? — powtórzyli chórem murarze. — Co może być złego w małej nawalance? Student to nie jakaś staruszka czy ktoś. Zawsze może oddać, nie?

Do końca zajęć dyskutowali o przemocy we współczesnym świecie. Ogólnie biorąc, murarze byli zdania, że to dobra rzecz.

— Po co mam iść w sobotę wieczorem do pubu i dać w gaz, jak nie mogę się ponaparzać? Muszę jakoś rozładować agresję — powiedział jeden wyjątkowo elokwentny murarz. — To naturalne, nie?

— Więc uważasz, że człowiek jest z natury istotą agresywną? — zapytał Wilt.

— No jasne. Wystarczy spojrzeć na historię, wszystkie te wojny i tak dalej. Tylko pedały nie lubią się bić.

Wilt zabrał ten pogląd do pokoju nauczycielskiego i kupił sobie w automacie kawę. Dołączył do niego Peter Braintree.

— Jak się udało przyjęcie? — zapytał Braintree.

— Nie udało się — odparł ponuro Wilt.

— Eva dobrze się bawiła?

— Nie wiem. Jak wychodziłem do pracy, jeszcze jej nie było.

— Nie wróciła do domu?

— Przecież mówię.

— Zadzwoń tam, żeby spytać, co się z nią stało?
— Nie — mruknął Wilt.
— Dlaczego?
— Bo wyszedłbym na durnia, gdybym zadzwonił i usłyszał, że leży w łóżku z abisyńskim ambasadorem.
— Był tam abisyński ambasador?
— Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Kiedy ją ostatni raz widziałem, przystawiał się do niej wielki, czarny Etiopczyk. Spec z ONZ czy skądś. Eva robiła sałatkę owocową, a on kroił dla niej banany.
— To chyba dość niewinna czynność — powiedział Braintree.
— Normalnie tak. Ale nie byłeś tam i nie wiesz, co to było za przyjęcie — odparł Wilt, dochodząc szybko do wniosku, że powinien ocenzurować swą opowieść o nocnych wydarzeniach. — Tłum snobów w średnim wieku zgrywających się na nastolatków.
— Brzmi to koszmarnie. I myślisz, że Eva...
— Myślę, że za dużo wypila, ktoś dał jej skręta i urwał jej się film — oświadczył Wilt. — Pewnie do tej pory śpi gdzieś w kiblu.
— To do niej niepodobne — stwierdził Braintree.
Wilt wypił łyk kawy, zastanawiając się, jaką obrać taktykę. Jeśli afera z lalką miała wyjść na jaw, może byłoby lepiej, gdyby najpierw przedstawił własną wersję wydarzeń. Z drugiej strony...
— Co robiłeś, kiedy to wszystko się działo? — zapytał Braintree.
— No cóż — zaczął Wilt — prawdę mówiąc... — Zawahał się. Z drugiej strony, lepiej nie wspominać o lalce. Jeśli Eva będzie trzymać gębę na kłódkę... — Sam się trochę wstawiłem.
— To brzmi bardziej prawdopodobnie — mruknął Braintree.
— I pewnie wystartowałeś do jakiejś kobiety.
— Jeśli musisz wiedzieć — odparł Wilt — jakaś kobieta wystartowała do mnie. Pani Pringsheim.
— Pani Pringsheim?
— Poszliśmy na górę obejrzeć zabawki jej męża...
— Zabawki? Mówiłeś chyba, że jest biochemikiem.
— Jest biochemikiem, ale lubi się bawić zabawkami. Kolejka elektryczna, pluszowe misie i tak dalej. Ona uważa, że zatrzymał się w rozwoju, o czym, jako lojalna żona, nie omieszkała mnie poinformować.
— I co się stało?
— Oprócz tego, że zamknęła drzwi na klucz, rzuciła się na łóżko, rozłożyła nogi, poprosiła, żebym ją zerznął i zagroziła mi postawieniem pałki, nic się nie stało — powiedział Wilt.
Peter Braintree popatrzył z niedowierzaniem.
— Nic? — powtórzył. — Nic? To co zrobiłeś?
— Udałem Greka — odparł Wilt.
— To jakieś nowe określenie — stwierdził Braintree. — Idziesz z panią Pringsheim na górę i udajesz Greka, kiedy ona leży na łóżku z rozłożonymi nogami, a potem się dziwisz, że Eva nie wróciła do domu? Pewnie jest teraz u adwokata i wnosi pozew o rozwód.
— Przecież ci mówię, że nie zerznąłem suki — jęknął Wilt.
— Powiedziałem jej, żeby przedmuchała sobie rurę gdzie indziej.
— I to nazywasz udawaniem Greka? Przedmuchała rurę? Kto cię, do licha, nauczył takich wyrażań?
— Pierwsza mięsna — odrzekł Wilt i poszedł po następną kawę.
Kiedy wrócił, miał już obmyślony dalszy ciąg swojej historii.
— Nie wiem, co było potem — odpowiedział na pytanie Braintree'ego. — Straciłem przytomność. Pewnie przez nadmiar wódki.
— Straciłeś przytomność zamknięty w pokoju z nagą kobietą? — indagował Braintree.
Sądząc z tonu, nie wierzył w ani jedno jego słowo.
— Dokładnie tak — potwierdził Wilt.
— I kiedy się ocknąłeś?
— Jak szedłem do domu — odparł Wilt. — Nie mam pojęcia, co się przedtem działo.
— Zapewne dowiemy się tego od Evy — mruknął Braintree. — Ona musi mieć pojęcie.
Braintree wstał i poszedł na zajęcia, a Wilt rozważył swój następny krok. Przede wszystkim musiał się upewnić, że Eva nic nikomu nie powiedziała. Poszedł do automatu na korytarzu i wykrcił swój domowy numer. Nikt nie podniósł słuchawki. Wilt powędrował do sali 187, gdzie spędził godzinę ze ślusarzami i tokarzami. Próbował się dodzwonić do domu jeszcze kilka razy, ale Eva nie odbierała telefonu.
„Pewnie siedzi u Mavis Mottram, płacze jej w mankiet i opowiada wszem i wobec, jaką jestem świnią” — pomyślał. „Wieczorem będzie na mnie czekać w domu”.
Ale Evy nie było w domu, a na kuchennym stole leżał list i jakaś paczka. Wilt otworzył kopertę.
„Wyjeżdżam z Sally i Gaskellem, żeby przemyśleć parę spraw. To, co zrobiłeś, było okropne. Nigdy ci nie

wybaczę. Nie zapomnij kupić jedzenia dla psa. Eva. PS. Sally mówi, że jak następnym razem będziesz chciał, żeby ci postawić pałkę, poproś o to Judy".

Wilt spjrzał na paczkę. Bez otwierania wiedział, co w niej jest. Ta piekielna lalka. W nagłym przypiływie wściekłości chwycił ją i cisnął przez kuchnię do zlewu. Dwa talerze i półmisek spadły z suszarki i rozbiły się na podłodze.

— Pieprzyć sukę — powiedział Wilt, mając na myśli Evę, Sally Pringsheim i Judy jednocześnie.

Potem usiadł przy stole i ponownie przeczytał list. „Wyjeżdżam, żeby przemyśleć parę spraw". Przemyśleć, akurat. Głupia krowa nie była zdolna do myślenia. Będzie dramatyzować i wyliczać jego wady, aż wpadnie w ekstazę współczucia dla samej siebie. Niemal słyszał, jak truje o tym przeklętym bankierze, którego mogła poślubić, zamiast brać sobie na kark faceta, który nie potrafi awansować w pracy i posuwa nadmuchiwaną lalkę w cudzych łazienkach. A ta obrzydliwa dziwka Sally Pringsheim jeszcze ją podjudza. Wilt spjrzał na postscriptum: „Sally mówi, że jak następnym razem będziesz chciał, żeby ci postawić pałkę..." Chryste. Jakby chciał tego ostatnim razem. Ale już przepadło, narodził się nowy mit, jak ta historia, że jest zakochany w Betty Crabtree, a on po prostu odwiózł ją do domu po wieczornych zajęciach. Życie rodzinne Wilta obfitowało w takie mity. Były one bronią, którą Eva wyciągała w potrzebie ze swego arsenału, aby wymachiwać mu nią nad głową. Teraz miała do dyspozycji istną bombę atomową: lalkę, Sally Pringsheim i stawianie pałki. Równowaga wzajemnych pretensji, która w ich małżeństwie stanowiła czynnik wiążący, została dramatycznie zachwiana. Będzie musiał wysilić całą swą pomysłowość, aby ją przywrócić.

„Nie zapomnij kupić jedzenia dla psa". Przynajmniej zostawiła mu samochód. Stał na podjeździe. Wilt pojechał do supermarketu i kupił trzy puszki psiej karmy, curry do gotowania w torebce oraz butelkę ginu. Zamierzał się upić. Po powrocie do domu wstawił curry i posiedział chwilę przy stole, przyglądając się, jak Clem wcina swoje Bonzo. Nalał sobie solidną porcję ginu, uzupełnił ją sokiem limonowym i zaczął spacerować po kuchni. Cały czas pamiętał, że paczka leży w zlewie i czeka, żeby ją otworzył. I w końcu to robi, z czystej ciekawości. Wiedział o tym, Eva i Sally o tym wiedziały, gdziekolwiek były, a gdy w niedzielę wieczorem Eva wróci do domu, pierwsze, co zrobi, to spyta o lalkę i o to, czy dobrze się z nią bawił. Wilt dolał sobie ginu i zaczął się zastanawiać, czy mógłby jakoś wykorzystać lalkę i pobić Evę jej własną bronią.

Zanim skończył drugi gin, w jego głowie zarysował się pewien plan obejmujący lalkę, wykop na budowie i rzetelny sprawdzian własnej siły charakteru. Snucie fantazji o zamordowaniu żony a wprowadzenie ich w czyn to dwie zupełnie różne rzeczy oddzielone szarą strefą niepewności. Po trzecim ginie Wilt postanowił zrealizować swój plan. Przynajmniej dowiedzie, że jest zdolny do popełnienia morderstwa.

Wstał i rozpakował lalkę. W urojonym dialogu Eva mówiła mu, co się stanie, kiedy Mavis Mottram usłyszy o jego obrzydliwym zachowaniu u Pringsheimów. „Będziesz pośmiewiskiem całej okolicy. Nie pozbierasz się do końca życia".

Nie? Wilt uśmiechnął się do siebie po pijacku i poszedł na górę. Tym razem Eva się przeliczy. Może i Henry Wilt nie pozbiera się do końca życia, ale pani Eva Wilt nie będzie miała z tego satysfakcji. Jej życie skończy się wcześniej.

Zaciągnął zasłony w sypialni, położył lalkę na łóżku i poszukał korka, który ukrywał się przed nim poprzedniego wieczoru. Znalazł go i przyniósł z garażu nożną pompkę. Pięć minut później Judy była nadmuchana. Leżała na łóżku i uśmiechała się do niego. Wilt zerknął na nią spod przymkniętych powiek. Musiał przyznać, cholera, że w półmroku wygląda jak żywa. Plastikowa Eva z plastikowymi zderzakami. Trzeba ją było tylko ubrać. Przetrzęsnał kilka szuflad w poszukiwaniu stanika i bluzki, zdecydował, że stanik nie jest potrzebny, i wybrał jakąś starą spódnicę i rajstopy. W kartonie w szafie znalazł jedną z peruk Evy. Przechodziła kiedyś fazę peruk. I wreszcie buty. Kiedy skończył, na łóżku leżała replika Evy Wilt uśmiechająca się niewzruszenie do sufitu.

— Grzeczna dziewczynka — mruknął Wilt i zszedł do kuchni sprawdzić, jak tam jego curry w torebce. Było spalonym curry w torebce. Wyłączył gaz, poszedł do ubikacji pod schodami i siedząc na sedesie, zaczął obmyślać następne posunięcia. Wykorzysta lalkę do przeprowadzenia kilku prób morderstwa, żeby kiedy, i o ile, nadejdzie krytyczny dzień, być obeznanym z całym procesem i móc działać jak automat. Zabójstwo w odruchu warunkowym. Zbrodnia z nawyku. No i musi wiedzieć, ile czasu będzie potrzebował. Wyjazd Evy z Pringsheimami też mu pomoże, dając początek schematowi nagłych zniknięć. Sprowokuje ją jakoś, żeby wyjechała jeszcze kilka razy. A potem pójdzie do lekarza.

„Cierpię na bezsenność, panie doktorze. Moja żona ciągle wyjeżdża i nie mogę przywyknąć do spania w pojedynkę". Recepta na proszki nasenne. I krytyczny wieczór. „Ja ci zrobię owałinę, kochanie. Wyglądasz na zmęczoną. Przyniosę ci ją do łóżka". Wdzięczność i po chwili chrapanie. Do samochodu... najlepiej dość wcześniej... koło wpół do jedenastej... do college'u i do wykopu. Może w plastikowym worku... Nie, lepiej nie. „Jak rozumiem, kupił pan ostatnio duży plastikowy worek. Czy byłby pan uprzejmy nam go pokazać?" Nie, po prostu zostawi ją w wykopie, który nazajutrz robotnicy zaleją betonem. I wreszcie zdezorientowany Wilt. Wpadnie do Pringsheimów. „Gdzie jest Eva? Właśnie, że wiecie". „Naprawdę nie wiemy". „Nie kłamcie. Zawsze

do was przychodzi". „Nie kłamiemy. Nie widzieliśmy jej od dwóch dni". I wtedy pójdzie na policję.

Bez motywu, bez śladu, nie do odkrycia. No i dowiedzie, że jest mężczyzną, który potrafi działać. Albo że nim nie jest. A jeśli nie wytrzyma napięcia i przyzna się do winy? To też będzie swego rodzaju dowodem. Tak czy inaczej dowie się, co z niego za mężczyzna, i będzie miał satysfakcję, że choć raz w życiu przeszedł od fantazji do czynów. A piętnaście lat więzienia nie powinno być gorsze od piętnastu lat użerania się z łobuzami, którzy nim gardzą, i mówienia o Prosiaczku i Władcy Much. Mógłby nawet argumentować na procesie, że ciągle analizowanie tej książki to okoliczność łagodząca.

— Wysoki Sądzie, panowie przysięgli, zechciejcie się, proszę, postawić na miejscu oskarżonego. Przez dziesięć lat stawiał czoło przerażającej konieczności czytania tej okropnej książki grupom znudzonej i wrogo nastawionej młodzieży. Musiał znosić męki monotonii i doznawał wręcz mdłości z obrzydzenia, jakie wzbudzał w nim nieznośnie romantyczny pogląd pana Goldinga na naturę ludzką. Ach, powiecie mi, że pan Golding nie jest romantykiem, że jego pogląd na naturę ludzką wyrażony w tym portrecie grupy młodych chłopców uwięzionych na bezludnej wyspie stanowi całkowite przeciwieństwo romantyzmu i że sentymentalizm, który mu zarzucam, i przez który mój klient znalazł się na tej sali, występuje nie we *Władcy Much*, tylko w innym, wcześniejszym utworze, *Koralowej wyspie*. Jednakowoż, Wysoki Sądzie, panowie przysięgli, istnieje coś takiego jak romantyzm odwrócony, romantyzm rozgoryczenia, pesymizmu i nihilizmu. Wyobraźmy sobie, że mój klient spędził dziesięć lat, czytając praktykantom nie dzieło pana Goldinga, lecz *Koralową wyspę*. Czy byłoby wówczas zasadnym przypuszczać, iż uciekłby się do tak desperackiego rozwiązania jak zabicie żony? Nie. Po stokroć nie. Książka pana Ballantyne'a dostarczyłaby mu inspiracji, nauczyłaby go dyscypliny wewnętrznej, optymizmu i natchnęła wiarą w zdolność człowieka do uratowania się z najbardziej rozpaczliwej sytuacji dzięki własnej prawości...

Ciągnięcie tej argumentacji może nie być najlepszym pomysłem. Oskarżony Wilt wykazał w końcu sporą inwencję w ratowaniu się z rozpaczliwej sytuacji. Niemniej były to przyjemne rozważania. Wilt skończył posiedzenie i sięgnął po papier toaletowy. Nie było go. Cholerna rolka się skończyła. Znalazł w kieszeni list od Evy i zrobił z niego dobry użytek, a żeby dobitniej wyrazić swą opinię o nim i o niej, po spuszczeniu wody opisał muszlę harpickiem. Potem wrócił do kuchni i znowu nalał sobie ginu.

Resztę wieczoru przesiedział przed telewizorem z kanapką z serem i puszką brzoskwiń, aż nadszedł czas, by przeprowadzić pierwszą próbę morderstwa. Wilt wyszedł przed dom i rozejrzał się po ulicy. Zapadł już zmrok i nikogo nie było widać. Poszedł na górę, przyniósł lalkę i włożył ją na tylne siedzenie samochodu. Musiał ją trochę ścisnąć i popchnąć, żeby weszła, ale w końcu drzwiczki się zamknęły. Wilt usiadł za kierownicą, wycofał samochód na Parkview Avenue i pojechał do ronda. Kiedy dotarł na parking na tyłach college'u, było dokładnie wpół do jedenastej. Zgasił silnik i jakiś czas siedział w samochodzie, rozglądając się dookoła. Żywego ducha i żadnych świateł. Oczywiście. College zamykano o dziewiątej.

6.

Sally wyciągnęła się nago na pokładzie jachtu. Jej małe, jędrne piersi celowały w niebo, a nogi w dwie strony świata. Eva leżała obok niej na brzuchu i patrzyła w dół rzeki.

— Czuję się bosko — wyszeptła Sally. — Mam takie głębokie coś na punkcie przyrody.

— Masz takie głębokie coś, kropka — powiedział Gaskell, sterując zygakiem w stronę śluzy. Był w kapitańskiej czapce i ciemnych okularach.

— Banalne, dzióbasku — odparła Sally.

— Zbliżamy się do śluzy — zauważyła z niepokojem Eva. — Są tam jacyś mężczyźni.

— Mężczyźni? Zapomnij o mężczyznach, kochanie. Jesteśmy tu tylko ty i ja, i Gas, a Gas nie jest mężczyzną, prawda, dzióbasku?

— Miewam swoje wzloty — odrzekł Gaskell.

— Ale rzadko, tak strasznie rzadko — powiedziała Sally. — Zresztą czy to ważne? Jest pocziwe, stare lato i płniemy sobie w dół rzeki. Pełna sielanka.

— Czy nie powinniśmy byli chociaż pozmywać naczyń? — spytała Eva.

— Sekret udanego przyjęcia to nie zmywać, tylko zmyć się samemu. Możemy to załatwić po powrocie.

Eva wstała i zeszła pod podkład. Byli już bardzo blisko śluzy i nie miała ochoty pokazywać się nago dwóm siedzącym na ławce starszym mężczyznom.

— Jezu, Sally, zrób coś z tą swoją psiapsiółką. Mam jej powyżej cyczków — powiedział Gaskell.

— Gas, dzióbasku, nieprawda. Gdyby tak było, zrobiłbyś kota z Cheshire.

— Co bym zrobił?

— Zniknął z uśmiechem, ptysiu, płodem do przodu. Ona jest wręcz gargantuicznie maciczna.

— Jest gargantuicznie nudna.
— Cierpliwości, kochaneczku. Trzeba wydobyć wyzwolone, wyeliminować negatywne i nie pieprzyć się z panem Wiltem.

— Nie pieprzyć się z panią Wilt. Słowo kluczowe „pani” — odparł Gaskell, zderzając łódź ze ścianą śluzy.

— Kiedy właśnie o to chodzi.

— O co? — zapytał Gaskell.

— Żeby mogła się pieprzyć z panią Wilt. A póki co Eva prowadzi gospodarstwo, dzióbbasek Gaskell bawi się w kapitana i pasie oczy melonami, a słodka Sally minotaurzy w jej labiryntowym umyśle.

— W umyśle? — mruknął Gaskell. — Tłuszcz nienasycony nie ma umysłu. A skoro mowa o kretynach, co z panem Wiltem?

— Może się pieprzyć z Judy. Pewnie ją teraz posuwa, a jutro wieczorem będą razem oglądać *Kojaka*. Kto wie, może nawet pośle ją do Mavis Kontrapunktowej Mottram na kurs układania kwiatów. Są dla siebie stworzeni. Przyznasz, że wczoraj nie mógł się od niej oderwać.

— Trafnie to ujęłaś — odparł Gaskell i zamknął bramę śluzy.

Gdy jacht spłynął w dół, dwaj siedzący na ławce starsi mężczyźni wytrzeszczyli oczy na Sally. Ta zdjęła ciemne okulary i spiorunowała ich wzrokiem.

— Bo wam prostaty pękną, dziadkowie — burknęła. — Nigdy nie widzieliście cipy?

— Do nas mówisz? — zapytał jeden z nich.

— Raczej nie mówiłabym do siebie.

— No to ci powiem — odparł mężczyzna — że widziałem już taką jak twoja. Raz.

— Raz ci wystarczy — stwierdziła Sally. — Gdzie?

— U starej krowy, co właśnie urodziła cielaka — powiedział mężczyzna i splunął w schludny klomb geranium.

Eva siedziała w kabinie, zastanawiając się, o czym rozmawiają. Słuchała chłupotu wody i warkotu silnika i myślała o Henrym. To do niego niepodobne, żeby zrobić coś takiego. Naprawdę. I to przy ludziach. Musiał być pijany. Tak ją upokorzył. Niech więc teraz cierpi. Sally powiedziała, że mężczyznom trzeba zadawać cierpienie. To część procesu wyzwalańia się od nich. Trzeba im pokazać, że nie są kobiecie potrzebni, a jedyną rzeczą, jaka trafia do męskiej psyche, jest brutalność. Właśnie dlatego Sally była taka surowa dla Gaskella. Mężczyźni są jak zwierzęta. Muszą wiedzieć, kto jest panem.

Eva poszła do kambuza i wypolerowała zlew z nierdzewnej stali. Kiedy Henry będzie musiał sam sobie sprzątać i gotować, zrozumie, jaka jest ważna, a po powrocie jeszcze go obsztorcuje za tę lalkę. To naprawdę nie było naturalne. Może powinien iść do psychiatry? Sally powiedziała, że jej także robił obrzydliwe propozycje. Co tylko dowodziło, że nie można nikomu ufać. Ale żeby Henry? Nigdy by nie sądziła, że jest zdolny do czegoś takiego. Na szczęście Sally była taka kochana i wyrozumiała. Wiedziała, co Eva czuje, i nawet nie gniewała się na Henry'ego.

— Po prostu jest dzióbaskiem zwieraczowym — wyjaśniła. — To symptomatyczne dla społeczeństwa zdominowanego przez męskie szowinistyczne świnię. Nie znam żadnego macho, który mówiłby „w dupę” i nie rozumiał tego dosłownie.

— Henry ciągle mówi „w dupę” — przyznała Eva. — W dupę to, w dupę tamto.

— No widzisz, dzióbasku? Mam rację. To semantyczna degradacja analna.

— To cholerna obrzydliwość — odparła Eva.

Polerowała i czyściła, póki nie wyszli ze śluzy i nie skierowali się w dół rzeki, ku otwartym wodom Rozlewisk Norfolkskich. Wtedy wyszła na pokład i usiadła, by popatrzeć, jak słońce zachodzi nad płaskim, pustym krajobrazem. Było to takie romantyczne i ekscytujące, takie inne od wszystkiego, co знаła dotąd. O takim życiu zawsze marzyła: bogatym, radosnym i pełnym satysfakcji. Eva Wilt westchnęła. Mimo wszystko była w zgodzie ze światem.

Na parkingu na tyłach college'u Henry Wilt nie był w zgodzie z niczym. Wręcz przeciwnie, toczył wojnę z repliką Ewy. Bardzo szybko zrozumiał, że nawet nadmuchiwane lalki stawiają opór, kiedy się je wyjmują z małych samochodów. Ręce i nogi Judy zaczepiały się o różne rzeczy. Jeśli Eva będzie się zachowywała podobnie, straci kupę czasu. Powinien ją jakoś zgrabnie związać. Tak, to dobry pomysł. Wreszcie wyciągnął lalkę, położył ją na ziemi i wsiadł do samochodu, żeby poszukać peruki. Leżała pod siedzeniem. Poprawił Judy spódnicę, żeby tyle nie odsłaniała, po czym włożył jej perukę na głowę. Rozejrzał się po parkingu, zerknął na baraki i główny budynek, ale nikogo nie było widać. Droga wolna. Wziął lalkę pod pachę i ruszył w stronę placu budowy. Po kilku krokach uświadomił sobie jednak, że nie robi tego prawidłowo. Śpiąca po proszkach Eva będzie o wiele za ciężka, żeby ją nieść pod pachą. Powinien zastosować chwyt strażacki. Przystanął, zarzucił sobie lalkę na plecy i ruszył dalej, mocno się zataczając, po pierwsze dlatego, że wypięszy tyle ginu, nic nie mógł

na to poradzić, a po drugie dodawało to przedsięwzięciu realizmu. Pod ciężarem Evy na pewno będzie się zataczał. Dotarł do parkanu i przerzucił lalkę na drugą stronę, przy czym znów spadła jej peruka. Cierpliwie podniósł ją z błota i podszedł do furtki. Była zamknięta. Oczywiście. Będzie musiał o tym pamiętać. Takie szczegóły są ważne. Spróbował przejść górą, ale mu się nie udało. Potrzebował jakiejś podpórki. Rower. Zwykle stało ich kilka w stojaku przy głównej bramie. Wepchnąwszy perukę do kieszeni, Wilt okrążył baraki, minął stołówkę i właśnie przecinał trawnik pod laboratorium językowym, gdy z ciemności wyłoniła się jakaś postać i błysnęła mu w twarz latarką. Był to dozorca.

— A ty dokąd? — zapytał.

Wilt przystanął.

— Ja... Ja tylko chcę zabrać notatki z pokoju nauczycielskiego.

— A, to pan, panie Wilt — mruknął dozorca. — Powinien pan wiedzieć, że o tej porze nie wejdzie pan do środka. Zamykamy o dziewiątej trzydzieści.

— Przepraszam, zapomniałem — odparł Wilt.

Dozorca westchnął.

— No dobrze, skoro to pan, ale tylko ten raz... — Otworzył drzwi budynku Studiów Ogólnych. — Musi pan wejść na górę schodami. O tej porze windy nie działają. Zaczekam na pana tutaj.

Wilt wdrapał się powoli na piąte piętro do pokoju nauczycielskiego i wyjął ze swojej szafki plik papierów oraz egzemplarz *Domu na pustkowiu*, który zamierzał zabrać od miesiąca. Wpychając notatki do kieszeni, trafił na perukę. Skoro już tu jest, mógłby poszukać jakichś gumek, żeby przymocować ją Judy do głowy. Znalazł je w pudełku w szafie z przyborami piśmiennymi, włożył notatki do drugiej kieszeni i zszedł na dół.

— Bardzo dziękuję — powiedział do dozorca. — Przykro mi, że pana fatygowałem.

I poczłapał za róg do stojaków z rowerami.

— Naprany jak autobus — mruknął dozorca i wrócił do swojej stróżówki.

Wilt popatrzył, jak dozorca zapala fajkę, i skierował uwagę na rowery. Cholerstwa były pospinaane łańcuchami. Będzie po prostu musiał któryś przenieść. Włożył *Dom na pustkowiu* do koszyka, dźwignął rower do góry i zaniósł go pod parkan. Kiedy przelażł na drugą stronę, po omacku poszukał w ciemnościach lalki. Znalazłszy ją, spędził pięć minut na mocowaniu peruki gumką.

— Przynajmniej tego jednego problemu nie będę miał z Evą — mruknął pod nosem, gdy wreszcie mu się udało.

Upewniwszy się, że peruka nie spadnie, ruszył ostrożnie naprzód. Omijając kopce żwiru, maszyny, worki z cementem i pręty zbrojeniowe, uświadomił sobie, że sam naraża się na ryzyko wpadnięcia do wykopu. Odłożył lalkę, wyciągnął z kieszeni latarkę i oświetlił teren. Kilka jardów dalej leżała duża płyta z grubej sklejk. Wilt podszedł i podniósł ją. Pod spodem był dół, ładny, duży dół. Odpowiednich rozmiarów. Judy zmieści się w nim idealnie. Poświecił do niego latarką. Ze trzydzieści stóp głębokości. Odsunął sklejkę na bok i wrócił po lalkę. Znów spadła jej peruka.

— Kurwa — zaklął Wilt, sięgając do kieszeni po następną gumkę.

Pięć minut później peruka siedziała na swoim miejscu, przytwierdzona czterema gumkami. To powinno wystarczyć. Pozostało mu już tylko sprawdzić, czy lalka na pewno zmieści się w wykopie. W tym momencie Wilt się zawahał. Zaczynał powątpiewać w sensowność całego planu. Jak na jego gust pojawiło się zbyt wiele nie przewidzianych komplikacji. Z drugiej strony, było coś ekscytującego w przebywaniu samemu w środku nocy na placu budowy. Może będzie lepiej, jeśli wróci do domu. Nie, musi doprowadzić rzecz do końca. Włożył lalkę do wykopu i upewnił się, że pasuje. Potem spuścił z niej powietrze i pojedzie do domu i będzie powtarzał te próby, póki nie nauczy się zabijać jak automat. Będzie trzymał lalkę w bagażniku samochodu. Eva nigdy tam nie zagłąda. I w przyszłości będzie ją nadmuchiwał dopiero na parkingu. Dzięki temu Eva nie zorientuje się, co jest grane. Na pewno nie. Wilt uśmiechnął się do siebie z zadowoleniem. Potem wziął Judy i wsunął ją do wykopu nogami do przodu. Weszła gładko. Wilt pochylił się nieco. Idealnie. I w tym momencie pośliznął się na błocie. Z rozpaczliwym wysiłkiem, który spowodował puszczenie lalki, rzucił się w bok i chwycił sklejkę. Podniósł się ostrożnie i zaklął. Miał ubłocone spodnie i trzęsły mu się ręce.

— Do diabła, omal sam nie wpadłem — wymamrotał i rozejrzał się za Judy.

Ale Judy zniknęła. Wilt wziął latarkę i oświetlił wykop. Lalka utknęła w połowie jego wysokości, o dziwo nie gubiąc peruki. Wilt gapił się na nią z rozpaczą, zachodząc w głowę, co, u licha, ma zrobić. Cholera musiała być co najmniej dwadzieścia stóp niżej. No może piętnaście. W każdym razie na pewno za głęboko, żeby mógł jej dosięgnąć, ale wystarczająco płytko, żeby rano zobaczyli ją robotnicy. Wilt zgasił latarkę i zasłonił wykop sklejką. Nie miał ochoty dołączyć do lalki. Wyprostował się i zaczął się zastanawiać, jak ją wyciągnąć.

Lina zakończona hakiem? Nie miał ani liny, ani haka. Może udałoby mu się znaleźć linę, ale haki to zupełnie inna sprawa. Znaleźć linę, przywiązać ją do czegoś i spuścić się po lalkę? Wykluczone. Wystarczająco trudno byłoby zejść na dół, mając obie ręce wolne. Spróbować wspiąć się do góry na jednej ręce, trzymając lalkę w drugiej, to czyste szaleństwo. W ten sposób sam wylądowałby na dnie, a jeśli coś było dlań jasne, to to, że nie

chce zostać znaleziony w poniedziałek rano w wykopie głębokości trzydzieści stóp w objęciach plastikowej lalki z cipą ubranej w ciuchy jego żony. To by była katastrofa. Wilt wyobraził sobie, jak tłumaczy się dyrektorowi, skąd się tam wziął... A poza tym mogą go nie zobaczyć i nie usłyszeć jego krzyków. Betoniarci robią piekielny hałas i nie zamierza się narażać na zostanie zalany... Cholera. Kto pod kim dołki kopie... Nie, jedyne wyjście to zepchnąć tę pieprzoną lalkę na samo dno i modlić się, żeby nikt jej nie zauważył, zanim zabetonują wykop. Przynajmniej się dowie, czy jest to skuteczna metoda pozbycia się Evy. Nie ma tego złego...

Wilt rozejrzył się za czymś, czym mógłby zepchnąć Judy na dno. Rzucił na nią garść żwiru, ale tylko lekko się zachybotała. Potrzebował czegoś cięższego. Podszedł do sterty piachu, nabrał go trochę do plastikowego worka i wsypał do wykopu, ale osiągnął tylko tyle, że peruka pani Wilt sprawiała teraz jeszcze bardziej makabryczne wrażenie. Może gdyby zrzucił cegłę, lalka by pękła. Poszukał w okolicy cegły i znalazł dużą bryłę gliny. Będzie musiała wystarczyć. Wrzucił ją do wykopu. Rozległ się trzask, chrzęst żwiru i drugi trzask. Wilt oświetlił wykop latarką. Judy osiadła na dnie w groteskowej pozycji: miała podkurczone nogi i wyciągała ku niemu jedną rękę w błagalnym geście. Cisnął do wykopu drugą bryłę gliny. Tym razem trafił w głowę i peruka zsunęła się na bok. Wilt dał za wygraną. Nie mógł zrobić nic więcej. Zasłonił wykop sklejką i wrócił pod parkan.

Wtedy pojawiła się kolejna trudność. Rower stał za ogrodzeniem. Wilt przyniósł deskę, oparł ją o parkan i przelazł na drugą stronę. Teraz trzeba odnieść rower na miejsce. Och, pieprzyć rower. Może zostać, gdzie jest. Miał całej tej historii po dziurki w nosie. Nie potrafił się pozbyć nawet plastikowej lalki. Było niedorzecznością sądzić, że da radę zaplanować i popełnić prawdziwe morderstwo. Chyba na mózg mu padło. Wszystko przez ten cholerny gin.

— Akurat, przez gin — mruknął do siebie Wilt, człapiąc z powrotem na parking. — Myślałeś o tym od miesiący.

Wsiadł do samochodu i zaczął się zastanawiać, co go, u licha, napadło, żeby fantazjować o zabiciu Evy. Był to idiotyzm, kompletny idiotyzm. Jak mógł sobie wyobrażać, że potrafi się wyszkolić na bezlitosnego mordercę? Skąd ten pomysł? O co w tym wszystkim chodziło? To prawda, Eva była głupią krową, zatruwała mu życie zrządzeniem i uprawianiem wschodniego mistycyzmu z frenetycznym entuzjazmem, który mógł doprowadzić do obłędu nawet najbardziej zrównoważonego męża, ale skąd ta obsesja na punkcie morderstwa? Skąd potrzeba dowiedzenia męskości poprzez akt przemocy? Skąd mu się to wzięło? Henry Wilt nagle wytrzeźwiał i uświadomił sobie z całą jasnością, jak głęboki wpływ wywarło na niego dziesięć lat nauczania przedmiotów ogólnokształcących. Przez dziesięć długich lat druga tynkarska i pierwsza mięsna miały kontakt z kulturą w postaci Wilta i *Władcy much* i przez tyleż lat Wilt miał kontakt z prymitywizmem i pozbawioną zahamowań brutalnością drugiej tynkarskiej i pierwszej mięsnej. To było przyczyną wszystkiego. To i nierealność literatury, którą musiał sobie przyswajać. Przez dziesięć lat Wilt był kanałem dla twórców wyobraźni, Nostromo, Jacka i Prosiaczka, Jeźdźca znikąd, twórców, które działały i których działania przynosiły skutki. I cały czas widział w nich swoje odbicie jak w lustrze, biernego nieudacznika i popychadło losu. Wilt potrząsnął głową. Właśnie z tego wszystkiego i z ciężkich przeżyć minionych dwóch dni narodził się ten *acte gratuit*, ta parazbrodnia, symboliczne zabójstwo Evy Wilt.

Włączył silnik i wyjechał z parkingu. Wpadnie do Braintreech. Na pewno jeszcze nie śpią i ucieszą się z jego wizyty, a zresztą musi z kimś pogadać. Tymczasem na placu budowy jego notatki do wykładu o „Przemocy i upadku życia rodzinnego” fruwały na wietrze i lądowały w błocie.

7.

— Przyroda jest taka zmysłowa — powiedziała Sally, świecąc latarką na widoczne przez bulaj trzciny. — Na przykład pałki wodne. Są archetypowo falliczne. Nie sądzisz, Gas?

— Pałki? — powtórzył Gaskell, wpatrując się bezradnie w locję. — Nie znam się na pałkach.

— Na mapach najwyraźniej też.

— To locja, kochanie, locja.

— Jakie znaczenia ma nazwa?

— W tej chwili spore. Nie wiem, czy jesteśmy w Żabim Zakolu czy na Żurawim Zalewie.

— Głosuję za Żurawim Zalewem. Uwielbiam się zalewać. Evo, skarbie, możesz jeszcze zaparzyć kawy? Zamierzam nie spać całą noc i zobaczyć, jak nad pałkami wstaje świt.

— Ja nie — odparł Gaskell. — Miałem dość emocji wczoraj. Ten maniak z lalką w wannie i pokaleczony Schei. To mi na razie wystarczy. Idę do łóżka.

— Na pokład — sprostowała Sally. — Idziesz na pokład. W kabinie śpię ja z Evą. Troje to tłum.

— Troje? Razem z buforami jest nas co najmniej pięcioro. Dobrze, mogę spać na pokładzie. Jeśli mamy się wygrzebać z tej cholernej łachy, musimy wcześniej wstać.

— Kapitan Pringsheim osadził nas na mieliźnie?
— To te locje. Gdyby podawały dokładną głębokość...
— Gdybyś wiedział, gdzie jesteśmy, pewnie by się okazało, że podają. Co ci po informacji, że Żabie Zakole ma trzy stopy...
— Sążnie, złotko, sążnie.
— ...że Żabie Zakole ma trzy sążnie głębokości, jeśli jesteśmy na Żurawim Zalewie.
— Gdziekolwiek jesteśmy, lepiej zacznij się modlić o przyływ, który nas stąd zmyje — powiedział Gaskell.
— A jak nie będzie przyływu?
— Wymyślmy coś innego. Może ktoś będzie tędy przepływał i weźmie nas na hol.
— Boże, Gas, jakiś ty sprytny — prychnęła Sally. — Mogliśmy się po prostu trzymać środka rzeki. Ale nie, musiałeś szurnać pełną parą w tę zatoczkę i wpakować się na mieliżnę, i to dlaczego? Bo zobaczyłeś pieprzone kaczkę.
— Brodźce, dzióbasku, brodźce. To nie były kaczkę.
— Niech ci będzie, brodźce. Zachciało ci się je sfotografować i teraz tkwimy w miejscu, do którego żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie przyplynie łodzią. Kto według ciebie się tu zjawi? Mała Syrenka?

W kambuzie Eva parzyła kawę. Miała na sobie jaskrawoczerwone plastikowe bikini, które pożyczyła od Sally. Było na nią zdecydowanie za małe i wszystko jej wystawało, ale wolała to niż chodzenie nago, chociaż Sally powiedziała, że tak robią ludzie wyzwoleni, i dała jej za przykład amazońskich Indian. Zabrałaby własne rzeczy, ale Sally ją poganiała, i teraz miała tylko cytrynową piżamę i bikini. Szczerze mówiąc, Sally była strasznie apody... apodycośtam... No dobrze, lubiła się rządzić.

— To bikini jest podwójnie funkcjonalne — powiedziała. — Może ci służyć za fartuch, a Gas ma fiolę na punkcie plastiku, prawda, Gas?

— Biodegradowalnego.

— Bio jakiego? — spytała Eva, z nadzieją, że zostanie wprowadzona w nowy aspekt wyzwolenia kobiet.

— Plastikowe butelki, które się rozkładają, zamiast leżeć w ziemi i tworzyć ekologiczne bagno — wyjaśniła Sally, otwierając bulaj, aby wyrzucić za burtę pudełko po cygarach. — To życiowa misja Gasa. To i recykliczacja. Nieskończona recykliczacja.

— Tak jest — potwierdził Gaskell. — Produkujemy rzeczy w założeniu nietrwałe i szybko wychodzące z mody. Następnym krokiem po dezaktualizacji powinna być dezintegracja.

Eva słuchała bez zrozumienia, ale z uczuciem, że uczestniczy w dyskusji mającej o wiele większy ładunek intelektualny niż nudne rozmowy Henry'ego i jego kolegów o nowych kursach i studentach.

— Mamy w ogrodzie pryzmę kompostu — powiedziała, gdy wreszcie dotarło do niej, o czym mówią. — Wyrzucam tam obierki i różne resztki.

Gaskell podniósł oczy na sufit. Poprawka. Na dach kabiny.

— *A propos* plastiku — wtrąciła Sally, gładząc czule pośladki Ewy — ciekawe, jak Henry'emu układa się z Judy.

Ewę przeszył niemiły dreszcz. Wspomnienie Henry'ego leżącego z tą lalką w wannie wciąż nie dawało jej spokoju.

— Nie mam pojęcia, co w niego wstąpiło — odparła i spojrzała z dezaprobatą na Gaskella, który zachichotał. — Nigdy mnie nie zdradził ani nic takiego. A wielu mężów zdradza żony. Patrick Mottram ciągle romansuje z innymi kobietami, ale Henry zawsze był pod tym względem bardzo w porządku. To prawda, jest cichy i niezbyt energiczny, ale nikt nie mógłby go nazwać flirciarzem.

— Jasne — mruknął Gaskell. — Bo ma kompleksy seksualne. Szczerze mu współczuję.

— Nie rozumiem, dlaczego to, że jest mi wierny, ma oznaczać, że coś jest z nim nie tak — oświadczyła Eva.

— Gas miał na myśli coś innego, prawda, Gas? — włączyła się Sally. — Chciał powiedzieć, że w małżeństwie musi panować całkowita wolność. Żadnej dominacji, zazdrości, zaborczości. Zgadza się, Gas?

— Zgadza się — przytaknął Gaskell.

— Sprawdzian miłości to móc patrzeć, jak twój partner lub partnerka robią to z kimś innym i nadal ich kochać — ciągnęła Sally.

— Nie mogłabym patrzeć, jak Henry... Za nic.

— Więc go nie kochasz. Nie czujesz się bezpieczna. Nie ufasz mu.

— Jak mogłabym mu ufać, gdyby poszedł do łóżka z inną kobietą? — spytała Eva. — Jeśli chce tak robić, to po co się ze mną ożenił?

— To — powiedział Gaskell — jest pytanie za milion dolarów.

Wziął śpiwór i wyszedł na pokład, a Eva zaczęła płakać.

— No, no — szepnęła Sally, obejmując ją ramieniem. — Gas tylko żartował. Nie miał na myśli nic złego.

— Nie o to chodzi — odparła Eva. — Po prostu nic już nie rozumiem. Wszystko jest takie skomplikowane.

— Chryste, jak ty wyglądasz — powiedział Peter Braintree, gdy otworzył Wiltowi drzwi.

— Tak, jak się czuję — odparł Wilt. — Wszystko przez ten gin.

— Rozumiem, że Eva nie wróciła? — zapytał Braintree, prowadząc go do kuchni.

— Kiedy przyszedłem z pracy, już jej nie było. Zostawiła list, że wyjeżdża z Pringsheimami, żeby przemyśleć sprawę.

— Przemyśleć? Eva? Jakie sprawy?

— No, wiesz... — zaczął Wilt, ale zaraz się zreflektował. — Pewnie ten numer z Sally. Napisała, że nigdy mi nie wybaczy.

— Przecież między tobą i Sally nic nie zaszło. Tak mi powiedziałaś.

— Wiem. Właśnie w tym rzecz. Gdybym zrobił to, czego chciała ta nimfomanka, nie byłoby całego tego zamieszania.

— Gdybyś zrobił to, czego chciała pani Pringsheim, Eva miałaby powód, żeby się wściec. Nie rozumiem, czemu się wścieka, skoro tego nie zrobiłaś.

— Sally musiała jej powiedzieć, że coś zrobiłem — odparł Wilt, zdecydowany nie wspominać o incydencie z lalką.

— Chodzi ci o postawienie pałki?

— Nie wiem. A co to w ogóle jest?

Peter Braintree popatrzył nań niepewnie.

— Nie mam pojęcia — odparł — ale najwyraźniej coś, czego mężowie nie powinni robić. Chociaż gdybym przyszedł do domu i oznajmił Betty, że postawiłem komuś pałkę, pomyślałaby, że chodzi o stopień z kolokwium.

— To nie ja miałem postawić pałkę jej, tylko ona mnie — sprostował Wilt.

— Może chodzi o obciążanie laski — zasugerował Braintree, stawiając czajnik na gazie. — Moim zdaniem tak to brzmi.

— Moim zdaniem brzmiało to zupełnie inaczej — odparł Wilt, wzdrygając się. — W ustach tej suki brzmiało to tak, jakby chodziło o pałowanie. Szkoda, że nie widziałeś wyrazu jej twarzy.

Klapnął ciężko na kuchenne krzesło. Braintree przyjrzał mu się z zaciekawieniem.

— Naprawdę nie wyglądasz najlepiej — powiedział.

Wilt zerknął na swoje spodnie. Miały zaszargane nogawki, a w okolicy kolan były oblepione błotem.

— Tak... No, wiesz... Po drodze złapałem gumę — wyjaśnił bez przekonania. — Widocznie ukląknę, jak zmieniałem koło. Byłem trochę wstawiony.

Peter Braintree chrząknął powątpiewająco. Nie brzmiało to zbyt wiarygodnie. Biedny Henry był w kiepskiej formie. Wkrótce do kuchni przyszła Betty Braintree.

— Niechcący usłyszałam, co mówiłeś o Evie — powiedziała. — Bardzo mi przykro, Henry. Ale nie martw się, na pewno wróci.

— Nie byłbym tego taki pewien — odparł ponuro Wilt — a poza tym nie wiem, czy chcę, żeby wróciła.

— Och, Eva nie jest zła — stwierdziła Betty. — Miewa te nagłe impulsy i napady entuzjazmu, ale nigdy nie trwa to długo. Taki już ma charakter. Łatwo przyszło, łatwo poszło.

— Myślę, że to właśnie martwi Henry'ego — zauważył Braintree. — Ta łatwość.

— Na pewno nie. Eva nie jest z tych.

Wilt siedział przy kuchennym stole i sączył kawę.

— Obraca się teraz w takim towarzystwie, że wszystko jest możliwe — wymamrotał żałośnie. — Pamiętacie, co się działo, kiedy przechodziła fazę diety makrobiotycznej? Doktor Mannix powiedział, że od czasu budowy kolei birmańskiej nie widział człowieka tak zagrożonego skorbutem jak ja. A potem była ta historia z trampoliną. Eva zapisała się na gimnastykę w Bulham Village College i kupiła sobie pieprzoną trampolinę. Wiecie, że z jej pomocą posłała starą panią Portway do szpitala.

— Słyszałam, że zdarzył się wypadek, ale Eva nigdy mi nie powiedziała, co się właściwie stało — odparła Betty.

— Nie było się czym chwalić — mruknął Wilt. — To cholerny cud, że pani Portway nie podała nas do sądu. Wyleciała przez dach szklarni, a i przedtem nie była najzdrowszą kobietą.

— Czy to ta staruszka, która ma zapalenie stawów?

Wilt skinął posępnie głową.

— I blizny na twarzy, jako pamiątkę z naszej szklarni.

— Przyznaję, istnieją lepsze miejsca na umieszczenie trampoliny — powiedział Braintree. — To chyba nie była duża szklarnia?

— Na szczęście nie była to też duża trampolina — odparł Wilt. — W przeciwnym razie pani Portway

znalazłaby się na orbicie.

— Spójrz na to z innej strony — odezwała się Betty. — Eva ma zwariowane pomysły, ale szybko jej przechodzi.

Wilt nie dał się pocieszyć.

— Pani Portway nie przeszło. Spędziła w szpitalu sześć tygodni i jej organizm odrzucił przeszczepę. Od tamtej pory omija nasz dom szerokim łukiem.

— Zobaczysz, jeszcze tydzień czy dwa i Pringsheimowie znudzą się Evie. To tylko kolejny bzik.

— Bzik z licznymi przewagami — odrzekł Wilt. — Jak pieniądze, pozycja i rozwiązłość seksualna. Wszystko, czego ja nie mogłem jej dać, ubrane w intelektualny bełkot o wyzwoleniu kobiet, przemocy, nietolerancji tolerancji, rewolucji płci i ambiseksualizmie jako warunku osiągnięcia pełnej dojrzałości. Bzdury, od których robi się niedobrze i na które Eva nieodmiennie się nabiera. Kupiłaby zgniłe śledzie, gdyby jakiś pajac z wyższego szczebla drabiny społecznej powiedział jej, że są eleganckim daniem. To chodząca łatwowierność!

— Problem w tym, że Eva ma za dużo energii — stwierdziła Betty. — Powinieneś ją namówić, żeby poszła do jakiejś pracy na cały etat.

— Na etat? — powtórzył Wilt. — Miała więcej etatów, niż ja zjadłem gorących kolacji. Chociaż nie jest to w tej chwili najlepsze porównanie. Na ogół zostawia mi parę kanapek i kartkę, że wyszła na garncarstwo, medytację transcendentálną albo coś równie poronionego. Poza tym Eva rozumie pracę jako kręcenie całym interesem. Pamiętacie Potters, ten zakład przemysłowy, który splajtował parę lat temu? Moim zdaniem była to wina Ewy. Pracowała w firmie doradczej prowadzącej badania efektywności, posłali ją do tej fabryki i zanim ktokolwiek się obejrzał, wybuchł tam strajk...

Rozmawiali jeszcze przez godzinę, aż Braintree'owie zaproponowali, żeby u nich przenocował. Ale Wilt nie chciał.

— Muszę jeszcze coś zrobić.

— Co takiego?

— Nakarmić psa.

— Nakarmisz go rano. Przez noc Clem nie umrze z głodu.

Wilt był jednak w zbyt cierpiętnym nastroju, aby dać się przekonać, a poza tym nadal denerwował się lalką. Może nazajutrz spróbuje ją jeszcze wyciągnąć z tego wykopu. Pojechał do domu i rzucił się w skotłowaną pościel nie posłanego od rana łóżka.

— Biedny Henry — westchnęła Betty, gdy poszli z Peterem do sypialni. — Naprawdę okropnie wyglądał.

— Powiedział, że złapał gumę i musiał zmienić koło.

— Nie chodziło mi o jego ubranie, tylko o wyraz twarzy. Nie sądzisz, że jest na skraju załamania nerwowego?

Peter Braintree potrząsnął głową.

— Też byś miała taki wyraz twarzy, gdybyś codziennie od dziesięciu lat uczyła trzecią monterską i drugą tynkarską, i w dodatku została porzucona przez żonę.

— Dlaczego nie dadzą mu jakichś lepszych zajęć?

— Dlaczego? Bo dyrekcja chce, żeby college stał się politechniką, więc otwieramy nowe kursy magisterskie i zatrudniamy ludzi z doktoratami, żeby je prowadzili, a potem studenci się nie zapisują i mamy na karku specjalistów w rodzaju doktora Fitzpatricka, który wie wszystko, co można wiedzieć, o pracy dzieci w czterech przędzalniach bawełny w Manchesterze w 1837 roku, ale nie ma pojęcia o niczym innym. Gdyby go postawić przed grupą praktykantów z kursów dokształcających, rozpętałoby się piekło. I tak muszę wchodzić na jego zajęcia i uciszać studentów. Z drugiej strony, Henry, chociaż wygląda na potulnego, umie sobie radzić z rozrabiakami. Jest za dobry w tym, co robi, oto cały problem. A poza tym nie jest wazeliniarzem, a w college'u to pocałunek śmierci. Jak ktoś nie włazi dyrekcji do dupy, daleko nie zajędzie.

— Wiesz — powiedziała Betty — ta praca ma fatalny wpływ na twój język.

— Mniejsza o mój język, ta praca ma fatalny wpływ na mój pogląd na życie — odparł Braintree. — Ciesz się, że jeszcze nie popijam.

— Henry najwyraźniej już tak. Jechało od niego ginem.

— Pozbiera się jakoś.

Ale Wilt się nie pozbierał. Obudził się rano z uczuciem, że coś jest nie tak i że nie chodzi tylko o nieobecność Ewy. Ta cholerna lalka w wykopie. Leżał w łóżku, rozmyślając, jak ją z niego wyciągnąć, zanim w poniedziałek rano na placu budowy zjawią się robotnicy, ale nie przychodził mu do głowy żaden pomysł oprócz wiania do wykopu kanistra benzyny i podpalenia jej, co uznał po zastanowieniu za najlepszy sposób, by zwrócić uwagę na fakt, że wrzucił tam plastikową lalkę ubraną w rzeczy swojej żony. Będzie po prostu musiał zdać się na los szczęścia.

Kiedy przyszły niedzielne gazety, wstał z łóżka i zszedł do kuchni, żeby przeczytać je przy śniadaniu. Potem nakarmił psa, posnuł się po domu w piżamie, poszedł na lunch do pubu „Przy Promie”, uciął sobie popołudniową

drzemkę i cały wieczór oglądał telewizję. W końcu położył się do łóżka i pół nocy przewracał się z boku na bok, zachodząc w głowę, gdzie Eva jest, co robi, i dlaczego, skoro spędził tyle godzin kombinując, jak się jej pozbyć, martwi się, gdy opuściła go z własnej woli.

„Jeśli nie chciałem, żeby tak się stało, dlaczego szukałem sposobu, żeby ją zabić?” — pomyślał o drugiej w nocy. „Normalni ludzie nie układają planów zamordowania swoich żon, w dodatku podczas spacerów z labradorem, tylko po prostu się z żonami rozwodzą”. Musiały się za tym kryć jakieś paskudne przyczyny psychologiczne. Wilt mógł podać ich dużo, za dużo, aby zdecydować, która jest najbardziej prawdopodobna. Poza tym wyjaśnienie psychologiczne wymagało choć minimalnej znajomości własnego ja, a Wilt nie był nawet pewien, czy ma jakieś ja do poznawania. Po dziesięciu latach drugiej tynkarskiej i kontaktu z prymitywizmem wiedział jednak, że istnieje odpowiedź na każde pytanie i że nie ma wielkiego znaczenia, jakiej odpowiedzi się udzieli, byle tylko była przekonująca. W XIV wieku uznano by, że opętał go diabeł, teraz, w świecie pofreudowskim, musiał to być jakiś kompleks albo, rozumując naprawdę nowocześnie, brak równowagi chemicznej w organizmie, a gdyby żył sto lat później, znaleziono by jeszcze inne wytłumaczenie. Z pocieszającą refleksją, że prawdy jednej epoki są absurdami drugiej i że nie jest takie ważne, o czym się myśli, jeśli tylko postępuje się właściwie, a uważał, że tak postępuje, Wilt wreszcie usnął.

O siódmej obudził go budzik, a o wpół do ósmej wysiadł z samochodu na parkingu za college'em. Minął plac budowy, gdzie wrzała już praca, poszedł do pokoju nauczycielskiego i wyjrzał przez okno. Wykop był nadal przykryty sklejką, ale wiertnica gdzieś zniknęła. Widocznie już z nią skończyli.

Za pięć dziesiątą wyjął z szafy dwadzieścia pięć egzemplarzy *Jeźdźca znikąd* i poszedł do budynku Techniki na zajęcia z trzecią mechaniczną. *Jeździec* był idealnym środkiem nasennym. Spacyfikuje nim bydłaków i będzie mógł obserwować, co się dzieje na zewnątrz. Z sali 593 miał widok jak z trybuny. Wilt sprawdził listę, rozdał książki i, tonem niezwykle energicznym jak na poniedziałkowy ranek, kazał grupie czytać. Mechanicy zajęli się ciężkim losem amerykańskich farmerów, a Wilt spojrzął w okno pochłonięty bliższym mu dramatem.

Na plac budowy wtoczyła się betoniarka, podjechała powoli tyłem nad przykryty sklejką wykop i stanęła. Wilt zamarł w napięciu, ale kierowca wysiadł z kabiny i zapalił papierosa. Jakiś mężczyzna, najwyraźniej majster, wyłonił się z baraku i podczłapał do betoniarki. Wkrótce wokół wykopu zebrała się grupka robotników. Wilt wstał zza biurka i podszedł do okna. Na co, do diabła, czekają? Wreszcie kierowca wszedł do kabiny i dwaj mężczyźni usunęli sklejkę. Majster dał znak kierowcy. Rynna do spustu betonu zawisła pod otworem bębna. Kolejny znak. Bęben zakręcił się w przeciwną stronę, beton zaczął spływać do rynny i w tym samym momencie majster zajrzał do wykopu. Jeden z robotników również. W następnej chwili rozpętało się piekło. Majster zaczął krzyczeć i gwałtownie machać rękami, ale beton wciąż się lał. Wilt zamknął oczy i zadrżał. Znaleźli tę pieprzoną lalkę.

Na placu budowy panowało totalne zamieszanie.

— Co jest? Leję najszybciej, jak mogę! — krzyknął kierowca, mylnie interpretując rozpaczliwe gesty majstra, i przesunął dźwignię, aby przyspieszyć wylew betonu.

W następnej chwili uświadomił sobie, że popełnił jakiś błąd. Majster szarpał drzwi kabiny i wrzeszczał jak opętany.

— Przestań, na litość boską! W wykopie jest kobieta!

— Że co? — zapytał kierowca i zgasił silnik.

— W wykopie jest kobieta i zobacz, co, kurwa, zrobiłeś. Kazałem ci, kurwa, przestać. Kazałem ci przestać lać, ale ty nie przestałeś. Wylałeś na nią dwadzieścia ton betonu.

Kierowca wysiadł z kabiny i podszedł do rynny, którą spływały leniwie ostatnie struzki betonu.

— Kobieta?—powtórzył. — Jak to? W wykopie? Co tam robi?

Majster spiorunował go wzrokiem.

— Co robi?! — ryknął. — A jak myślisz? Co ty byś robił, gdyby ktoś wylał na ciebie dwadzieścia ton płynnego betonu? Tonie, kurwa!

Kierowca podrapał się w głowę.

— Nie wiedziałem, że tam jest. Skąd miałem wiedzieć? Mógł mnie pan ostrzec.

— Ostrzec?! — zagrzmiał majster. — Ostrzegłem cię. Kazałem ci przestać. Ale ty nie posłuchałeś.

— Myślałem, że mam lać szybciej. Nie słyszałem, co pan mówi.

— Wszyscy inni jakoś słyszeli! — wrzasnął majster.

Wilt w sali 593 istotnie słyszał, a teraz przyglądał się tej scenie z obłędem w oczach. Mechanicy, straciwszy zainteresowanie *Jeźdźcem znikąd*, również rzucili się do okien.

— Jest pan pewien? — zapytał kierowca.

— Oczywiście, że jestem pewien! — ryknął majster. — Spytaj Barneya.

Stojący obok robotnik skinął głową.

— Leżała tam na bank. Daję za to głowę. Była cała skręcona. Trzymała jedną rękę w powietrzu, a nogi miała...

— Chryste — jęknął kierowca, wyraźnie poruszony. — I co my teraz zrobimy?

Wilt domyślał się, co zrobiją. Zawiadomią policję. Majster potwierdził to przypuszczenie.

— Wezwijcie gliny. Wezwijcie pogotowie. Wezwijcie straż pożarną i ściągnijcie tu pompę. Na litość boską, ściągnijcie pompę.

— To bez sensu — stwierdził kierowca. — Nie wypompujemy tego betonu za skarby świata. Zresztą nic by to nie dało. Ona już nie żyje. Zmiażdżyło ją. W dwudziestu tonach nie można się utopić. Ale dlaczego nie krzyczała?

— A co by to zmieniło? — warknął majster. — I tak lałbyś dalej.

— Jak się tam w ogóle znalazła? — spytał kierowca, chcąc zmienić temat.

— Skąd mam, kurwa, wiedzieć? Pewnie wpadła.

— I przykryła wykop sklejką? — zdziwił się Barney, który miał niewątpliwie bardziej logiczny umysł. — Ktoś ją, do diabła, zamordował.

— Nie ktoś, tylko Chris — burknął majster. — Kazałem mu przestać lać. Sam słyszałeś. Słyszeli mnie wszyscy ludzie w promieniu pół mili, z wyjątkiem Chrisa. O nie, on musiał..

— Ktoś ją zamordował, a potem wrzucił do wykopu — przerwał majstrowi Barney. — Gdyby wpadła do niego sama, nie byłby przykryty.

Majster wytarł twarz chusteczką i spojrzał na arkusz sklejk.

— Zgadza się — wymamrotał. — Nikt nie może nam zarzucić, że nie zastosowaliśmy należytych środków bezpieczeństwa. Masz rację. Musiała zostać zamordowana. Mój Boże!

— Na pewno jakiś zboczeniec — powiedział Barney. — Zgwałcił ją i udusił. Albo własny mąż. Zapamiętajcie moje słowa. Była cała skręcona i ta ręka... Nie zapomnę tej ręki, nawet gdybym miał dożyć setki.

Majster posłał mu wściekle spojrzenie. Najwyraźniej nie był w stanie zwerbalizować swoich uczuć. Wilt również. Usiadł za biurkiem i ukrył twarz w dłoniach, podczas gdy mechanicy nadal wyglądali przez okno, starając się nie uronić ani słowa z rozmowy na dole. Wkrótce rozległo się wycie syren. Na parking zjechał samochód policyjny, cztery wozy strażackie i karetka pogotowia. W miarę jak wokół tego, co było kiedyś dziurą w ziemi, zbierało się coraz więcej umundurowanych mężczyzn, stawało się coraz bardziej jasne, że o wiele łatwiej było wpakować lalkę do wykopu, niż ją z niego wydobyć.

— Ten beton zaczyna wiązać po dwudziestu minutach — wyjaśnił kierowca, gdy po raz łącho wie który zasugerowano, aby użyć pompy.

Inspektor policji i szef straży pożarnej zajrzeli do wykopu.

— Jest pan pewien, że widział pan tam ciało kobiety? — zapytał inspektor. — Absolutnie pewien?

— Czy jestem pewien? — pisał majster. — Oczywiście, że jestem pewien. Nie sądzi pan chyba... Powiedz im, Barney. On też ją widział.

Opowiadając o wszystkim inspektorowi, Barney przedstawiał to jeszcze bardziej obrazowo niż przedtem.

— Miała włosy i wyciągniętą rękę, jakby prosiła o pomoc, i jej palce... Mówię panu, to było straszne. Nie wyglądało naturalnie.

— Z pewnością — przyznał inspektor. — I mówi pan, że kiedy przyszlście tu rano, wykop był zakryty?

Majster zamachał rękami i Barney pokazał im arkusz sklejk.

— W pewnym momencie na nim stałem — powiedział. — Był tu na bank, jak Boga kocham.

— Problem w tym, jak ją stamtąd wyciągnąć — zauważył szef straży pożarnej.

Zadano to pytanie kierownikowi budowy, który właśnie się zjawiał.

— Bóg jeden wie — odparł. — Tego betonu nie da się łatwo usunąć. Musielibyśmy użyć wiertnic.

Pod koniec Wiltowych zajęć nie byli ani trochę bliżsi rozwiązania problemu. Kiedy mechanicy z żalem oderwali się od fascynującego spektaklu za oknem, aby iść na rysunek techniczny, Wilt zebrał nie przeczytane egzemplarze *Jeźdźca nikąd* i poszedł do pokoju nauczycielskiego w stanie szoku. Pocieszał się tylko myślą, że upłyną co najmniej dwa albo trzy dni, zanim dokopią się do dna i odkryją, że to, co wyglądało jak zwłoki zamordowanej kobiety, jest w rzeczywistości nadmuchiwaną lalką. A raczej nią było. Wilt wątpił, aby Judy nadal była nadmuchana. Z płynnym betonem nikt jeszcze nie wygrał.

8.

Trudno też było wygrać z mielizną, na której osiadł jacht, zwłaszcza mając popsuty silnik. Gaskell powiedział, że pękł korbówód.

— To coś poważnego? — zapytała Sally.

- To znaczy, że ktoś musi nas odholować do przystani.
- Kto?
- Zapewne przepływający obok jacht — odparł Gaskell.
- Sally popatrzyła na porastające łachę pałki.
- Jaki jacht? — zapytała. — Spędziliśmy tu całą noc i pół ranka i nikt jeszcze tędy nie przepływał, a gdyby nawet, przez te pieprzone pałki w ogóle by nas nie zauważył.
- Myślałem, że lubisz pałki.
- To było wczoraj — warknęła Sally. — Dzisiaj znaczą tylko tyle, że jesteśmy kompletnie niewidoczni. A teraz jeszcze rozpieprzyłeś silnik. Mówiłam ci, żebyś tak nie zwiększał obrotów.
- Skąd mogłem wiedzieć, że od tego pójdzie korbówód? — bronił się Gaskell. — Próbowałem nas ściągnąć z tej łachy. Powiedz, jak miałem to zrobić, nie zwiększając cholernych obrotów?
- Mogłeś wysiąść i popchać.
- Gaskell wyrżał za burtę.
- Mogłem wysiąść i utonąć — mruknął.
- Wtedy łódź byłaby lżejsza — stwierdziła Sally. — Wszyscy musimy ponosić ofiary. Poza tym powiedziałeś, że zmyje nas przypływ.
- Pomyliłem się. Ta woda jest słodka, co oznacza, że przypływ tu nie sięga.
- Teraz mi to mówisz? Najpierw jakiś Żurawinowy Zalew...
- Żurawi — poprawił ją Gaskell.
- Jeden diabeł. A potem Żabie Zakole. To gdzie my w końcu jesteśmy?
- Na mieliznie — odparł Gaskell.

Eva krzątała się w kabinie. Nie miała wprawdzie dużo miejsca do krzątania, ale robiła, co mogła. Posłała koje, włożyła pościel do schowków pod spodem, poprawiła poduszki i opróżniła popielniczki. Zamiotła podłogę, umyła stół, przetrąła bulaje i odkurzyła półki. Krótko mówiąc, wyczyściła i uładziła wszystko, co dało się wyczyścić i uładzić, a przez ten czas jej myśli coraz bardziej się mąciły i gmatwały. Kiedy skończyła, zaprowadziwszy w kabinie wzorowy porządek, w głowie miała solidny bałagan i dręczyły ją wątpliwości niemal co do wszystkiego.

Pringsheimowie byli tacy wyrafinowani, bogaci i inteligentni i cały czas opowiadali mądre rzeczy, ale ciągle się kłócili, o wszystko skakali sobie do oczu i, szczerze mówiąc, byli kompletnie niezaradni i nie mieli pojęcia o higienie. Gaskell nie mył rąk po wyjściu z ubikacji i Bóg jeden wie, kiedy się ostatni raz golił. I jak mogli wyjechać, nie posprzątawszy po przyjęciu? Eva była naprawdę wstrząśnięta. Nigdy nie zostawiłaby swojego domu w takim stanie. Powiedziała to Sally, ale Sally odparła, że należy być spontanicznym, a zresztą wynajęli ten dom tylko na lato, i wyjaśniła, że związki kontraktowe oparte na domowej służbie kobiet są typowym przejawem zorientowania systemu społecznego na mężczyzn. Eva próbowała nadażyć za tym wywodem i poczuła się winna, ponieważ nie mogła, i ponieważ najwyraźniej nie wypadało szczyć się wyglądem swojego domu, a ona się szczyliła.

Dalej pojawiła się kwestia tego, co Henry robił z tą lalką. Było to zupełnie niepodobne do Henry'ego i im dłużej o tym myślała, tym bardziej się w tym utwierdzała. Oczywiście, był pijany, ale mimo wszystko... Tak bez ubrania? I gdzie znalazł tę lalkę? Spytała o to Sally i ku swemu przerażeniu usłyszała, że Gaskell ma bzika na punkcie plastiku i wprost uwielbia zabawiać się z Judy, i że mężczyźni już tacy są, i znaczące związki są możliwe tylko między kobietami, ponieważ kobiety nie potrzebują dowodzić swojej męskości aktami pozaseksualnej przemocy, prawda? Eva zgubiła się w labiryncie słów, których nie rozumiała, ale które brzmiały mądrze, i odbyły kolejną sesję terapii dotykowej.

To była następna rzecz, co do której miała wątpliwości. Terapia dotykowa. Sally powiedziała, że nadal ma zahamowania, a zahamowania są objawem emocjonalnej i sensualnej niedojrzałości. Eva zmagiła się w tej materii ze sprzecznymi uczuciami. Z jednej strony, nie chciała być emocjonalnie i sensualnie niedojrzała i jeśli sądzić po wstępie, jaki ją ogarniał, gdy leżała nago w ramionach drugiej kobiety, a zdaniem Ewy im paskudniej lekarstwo smakowało, tym było skuteczniejsze, jej wzorzec zachowań psychoseksualnych poprawiał się w zawrotnym tempie. Z drugiej strony, nie była przekonana, że terapia dotykowa jest rzeczą stosowną. Przewyciężanie skrupułów wymagało od niej wielkiego wysiłku woli i wciąż dręczyła ją niepewność, czy wypada pozwalać się dotykać w aż tak sensualny sposób. Była więc naprawdę zdezorientowana, a w dodatku zaczęła brać pigułki. Stanowczo przeciw temu protestowała i napomknęła, że zawsze chcieli mieć z Henrym dzieci i dotąd nie mieli, ale Sally się uparła.

— Evo, dzióbasku — powiedziała — z Gaskellem nigdy nic nie wiadomo. Bywa, że miesiącami nawet mu nie drgnie, a potem bum, strzela spermą na prawo i lewo.

— Przecież mówiłaś, że bardzo się kochacie — zauważyła Eva.

— Bardzo, ale rzadko. Naukowcy sublimują popęd i Gas żyje z plastikiem. A chyba nie chcesz wrócić do Henry'ego z genami Gasa w swoim jajeczku, prawda?

— Wykluczone — odparła Eva z przerażeniem i zanim poszła do maleńkiego kambuza, żeby pozmywać po śniadaniu, wzięła pigułkę. Wszystko to było takie inne od medytacji transcendentalnej i garncearstwa.

Na pokładzie Sally i Gaskell wciąż się kłócili.

— Co, do diabła, ordynujesz bezmózgim buforom? — zapytał Gaskell.

— Terapię dotykową, kontakt cielesny — odparła Sally. — Jest nie rozbudzona sensualnie.

— Umyslowo też. Znałem w życiu parę kretynek, ale ona bije wszelkie rekordy. Chodzi mi o te pastylki, które łyka przy śniadaniu.

Sally uśmiechnęła się tajemniczo.

— Chcesz jej napięprzyć w mózdzku? — ciągnął Gaskell. — Mamy dość kłopotów i bez Moby Dicka na LSD.

— To doustne środki antykoncepcyjne, dzióbasku, pocziwe stare pigułki.

— Pigułki? Po jaką cholere? Nie dotknąłbym jej nawet wysterylizowaną pęsetą.

— Gaskell, złotko, jakiś ty naiwny. Dla realizmu, dla czystego realizmu. Nie sądzisz, że dzięki temu mój związek z nią jest o wiele bardziej prawdziwy? To coś jak zakładanie prezerwatywy na dildo.

Gaskell wybałuszył na nią oczy.

— Jezu, chcesz powiedzieć, że...

— Jeszcze nie. Długi John Silver nadal spoczywa w torbie, ale kiedy będzie trochę bardziej wyemancypowana... — Sally popatrzyła z rozmarzeniem na pałki. — Nawet dobrze się składa, że tu utknęliśmy. Ja zyskuję czas, mnóstwo uroczego czasu, a ty możesz podglądać swoje kaczkii..

— Brodźce — poprawił ją Gaskell. — I nabijemy niezły rachunek, jeśli nie zwrócimy łodzi w porę.

— Rachunek? — zapytała Sally. — Oszalałeś? Sądzisz, że płacimy za tę balię?

— Przecież wynajęłaś ją na przystani. Chyba mi nie powiesz, że po prostu ją wzięłaś. Na litość boską, to kradzież!

Sally wybuchnęła śmiechem.

— Doprawdy, Gas, jesteś niekonsekwentny. Kradniesz książki z biblioteki i chemikalia z laboratorium, ale kiedy chodzi o łódź, stajesz się uosobieniem uczciwości.

— Książki to co innego — odparł gniewnie Gaskell.

— Tak — mruknęła Sally — za książki nie idzie się do więzienia. To cała różnica. Jeśli chcesz myśleć, że ukradłam tę łódź, proszę bardzo.

Gaskell wyjął chusteczkę i przetarł okulary.

— Więc jej nie ukradłaś? — zapytał w końcu.

— Pożyczyłam ją.

— Pożyczyłaś? Od kogo?

— Od Scheia.

— Scheimachera?

— Tak jest. Powiedział, że możemy z niej skorzystać, kiedy będziemy chcieli, więc z niej korzystamy.

— A czy on o tym wie?

Sally westchnęła.

— Jest teraz w Indiach i bada wpływ curry na jakość spermy. Co za różnica, czy o tym wie, czy nie? Zanim wróci, będziemy już w Krainie Wolności.

— Cholera — powiedział Gaskell ze znużeniem w głosie — tak nas kiedyś wkopiesz, że się nie wygrzebiemy.

— Gaskell, złotko, czasem męczy mnie to, jak się zamartwiasz.

— A mnie to, jak podchodzisz do cudzej własności.

— Własność jest kradzieżą.

— Jasne. Wytlumacz to glinom, kiedy cię złapią. W tym kraju policja nie przepada za złodziejami.

Policja nie była też zbyt zachwycona informacją o zwłokach dobrze odżywionej kobiety, zamordowanej i zakopanej na głębokości trzydziestu stóp pod dwudziestoma tonami szybko wiążącego betonu. To Barney powiedział, że była dobrze odżywiona.

— Miała też duży biust — dodał, w siódmej wersji tego, co widział. — I wyciągała rękę do góry...

— Tak, wiemy o tej ręce — przerwał mu inspektor Flint. — Już o niej mówiliśmy. Ale pierwszy raz wspomina pan o biuście.

— Ta ręka najbardziej mnie ruszyła — odparł Barney. — W takich okolicznościach nie myśli się o biustach.

Inspektor zwrócił się do majstra.

— Czy widział pan biust nieboszczki?
Majster tylko potrząsnął głową. Nie był w stanie się odezwać.
— Mamy więc dobrze odżywioną kobietę... W jakim wieku?
Barney z namysłem poskrobał się po brodzie.
— Nie była stara — powiedział w końcu. — Na pewno nie była stara.
— Po dwudziestce?
— Możliwe.
— Po trzydziestce?
Barney wzruszył ramionami. Usiłował coś sobie przypomnieć. Coś, co wydało mu się dziwne.
— Ale nie po czterdziestce?
— Nie. — W głosie Barneya dźwięczało wahanie. — Młodsza.
— Nie wyraża się pan zbyt precyzyjnie — zauważył inspektor Flint.
— Nic na to nie poradzę — odparł żałośnie Barney. — Nie myśli się o wieku kobiety, która leży w głębokim wykopie zalewana przez beton.
— Zdaję sobie z tego sprawę, ale proszę się zastanowić. Czy było coś niezwykłego w jej...
— Niezwykłego? Wyciągała tę rękę...
Inspektor Flint westchnął.
— Chodziło mi o jakieś znaki szczególnie. Na przykład włosy. Jaki miały kolor?
Barneya olśniło.
— Wiedziałem, że o czymś zapomniałem — oznajmił triumfalnie. — Włosy. Były przekrzywione.
— Oczywiście. Trudno byłoby wrzucić kobietę do dołu głębokości trzydziestu stóp i nie potargać jej przy tym włosów.
— Nie o to chodzi. Siedziały jej na głowie bokiem i były spłaszczone. Jakby została uderzona.
— Prawdopodobnie została. Jeśli wykop rzeczywiście był zakryty, nie wpadła do niego sama z siebie. Więc nie potrafi pan precyzyjnie określić jej wieku?
— Nie potrafię — odrzekł Barney. — Miejscami wyglądała młodo, a miejscami nie. To wszystko, co wiem.
— Jakimi miejscami? — zapytał inspektor, mając nadzieję, że Barney nie wyjedzie znowu z tą cholerną ręką.
— Nogi nie pasowały do cycków, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi. — Inspektor Flint nie rozumiał. — Były strasznie chude i powykęcane.
— Co? Nogi czy cycki?
— Ma się rozumieć, że nogi — odparł Barney. — Mówię panu, miała piękne, wielkie...

— Traktujemy to jako dochodzenie w sprawie morderstwa — oświadczył inspektor Flint dyrektorowi dziesięć minut później.
Dyrektor usiadł za biurkiem i pomyślał z rozpaczą o szkodliwym rozgłosie.
— Jesteście pewni, że to nie był wypadek?
— Zeznania świadków zdecydowanie temu przeczą — odparł inspektor. — Całkowitą pewność zyskamy jednak dopiero po wydobyciu zwłok, co, niestety, trochę potrwa.
— Potrwa? — spytał dyrektor. — Chce pan powiedzieć, że nie wyciągniecie jej dzisiaj?
Inspektor Flint potrząsnął głową.
— To wykluczone, sir. Rozważamy dwie metody dotarcia do zwłok i obie są czasochłonne. Pierwsza, to przewiercić się przez beton, a druga, wykopać nowy dół równoległy do starego i spróbować ją wydobyć z boku.
— Dobry Boże — jęknął dyrektor, spoglądając na kalendarz — to oznacza, że będziecie tam ryć kilka dni.
— Niestety, nie ma na to rady. Ktokolwiek umieścił ją w tym wykopie, wiedział, co robi. Postaramy się jednak działać jak najbardziej dyskretnie.
Dyrektor popatrzył przez okno na cztery samochody policyjne, wóz strażacki i dużą niebieską furgonetkę.
— Jest to naprawdę bardzo przykre — wymamrotał.
— Jak to morderstwo — zauważył inspektor, podnosząc się z krzesła. — Taka już jego natura. Tymczasem zamykamy plac budowy i będziemy panu wdzięczni za pomoc.
— Co tylko sobie życycie — odparł z westchnieniem dyrektor.

Obecność tylu umundurowanych mężczyzn zaglądających do wykopu wywołała w pokoju nauczycielskim rozmaite spekulacje, podobnie jak widok policjantów przeczesujących plac budowy i przystających od czasu do czasu, aby włożyć coś ostrożnie do koperty. Zagadkę rozstrzygnął dopiero przyjazd ciemnoniebieskiej furgonetki kempingowej.

— To Ruchomy Sztab Śledczy — wyjaśnił Peter Fenwick. — Podobno jakiś szajbus wrzucił do jednego z wykopów zwłoki kobiety.

Przedstawiciele nowej lewicy, omawiający w kącie możliwe implikacje takiej inwazji paramilitarnych faszystowskich świń, westchnęli z żalem niedosłych męczenników i wyrazili wątpliwości.

— Poważnie — upierał się Fenwick. — Spytałem jednego z nich, co robią. Myślałem, że to jakiś zamach bombowy.

Doktor Cox, kierownik Nauk Ścisłych, potwierdził informację. Okna jego gabinetu wychodziły prosto na wykop.

— To straszne — wymamrotał. — Ilekroć spojrzę na dwór, myślę o tym, ile musiała wycierpieć.

— Co, waszym zdaniem, wkładają do tych kopert? — zapytał doktor Mayfield.

— Materiał dowodowy — odparł doktor Board z wyraźną satysfakcją. — Włosy, kawałki skóry i plamy krwi. Typowe banalne pozostałości brutalnej zbrodni.

Doktor Cox pospiesznie opuścił pokój, a doktor Mayfield skrzywił się z niesmakiem.

— Co za ohyda — powiedział. — Czy na pewno nie zaszła pomyłka? Dlaczego ktoś miałby chcieć zamordować tu kobietę?

Doktor Board wypił łyk kawy i popatrzył na niego z rozmarzeniem.

— Mógłbym podać dowolną liczbę powodów. Mam na kursach wieczorowych co najmniej tuzin kobiet, które z radością zatłukłbym na śmierć i wrzucił do wykopu.

— Ktokolwiek ją zabił, musiał wiedzieć, że będą dziś lali beton — zauważył Fenwick. — Według mnie to robota kogoś stąd.

— Może jakiś aspołecznie nastawiony student — zasugerował doktor Board. — Powinni sprawdzić, czy nie brakuje któregoś z wykładowców.

— Jestem pewien, że nie ma to nic wspólnego z college'em

— stwierdził doktor Mayfield. — Jakiś pomyleniec...

— Oddajmy mu sprawiedliwość — wtrącił się doktor Board.

— Najwyraźniej była to zbrodnia z premedytacją. Kimkolwiek jest morderca, wszystko starannie zaplanował. Zastanawiam się tylko, dlaczego nie przysypał tej nieszczęsnej kobiety ziemią, żeby nie było jej widać. Pewnie miał taki zamiar, ale coś mu przeszkodziło. Jedno z tych małych zrządzeń losu.

Wilt siedział w kącie pokoju i pił kawę, świadom, że jest jedyną osobą, która nie wygląda przez okno. Co, do diabła, miał zrobić? Najrozsądniej byłoby podejść do policjantów i wyjaśnić, że próbował się pozbyć nadmuchiwaną lalki, którą od kogoś dostał. Ale czy mu uwierzą? Jeśli sprawa była taka prosta, dlaczego włożył jej ubranie i perukę? Dlaczego nie spuścił z niej powietrza? Dlaczego jej po prostu nie wyrzucił? Szukał właśnie odpowiedzi na te pytania, gdy do pokoju wszedł kierownik Sekcji Techniki i oznajmił, że policja zamierza wykopać nowy dół obok starego zamiast przewiercać się przez beton.

— Liczą na to, że zobaczą sterczące kończyny — wyjaśnił. — Podobno trzymała jedną rękę w powietrzu i lejący się beton mógł ją przycisnąć do ściany wykopu. W ten sposób wydostaną ją dużo szybciej.

— Przyznam, że nie widzę powodu do pośpiechu — stwierdził doktor Board. — W tym betonie powinna się dobrze zakonserwować. Rzekłbym, zмумifikować.

Wilt raczej w to wątpił. Było mało prawdopodobne, aby nawet tak sprężysta lalka jak Judy wytrzymała nacisk dwudziestu ton betonu. Pękła jak dwa razy dwa jest cztery i policja znajdzie tylko sflaczałą lalczyną rękę. Nie będą sobie zawracać głowy wykopywaniem szczątków plastikowej lalki.

— I jeszcze jedno — ciągnął kierownik Techniki — jeśli ta ręka rzeczywiście wystaje, będą mogli od razu zrobić odcisk jej linii papilarnych.

Wilt uśmiechnął się do siebie. Tego jednego Judy nie miała, linii papilarnych. Dopił kawę w lepszym nastroju i poszedł na zajęcia ze starszymi sekretarkami. Zastał je zelektryzowane wiadomością o morderstwie.

— Sądzi pan, że była to zbrodnia na tle seksualnym? — zapytała drobna blondynka z pierwszego rzędu, kiedy Wilt rozdawał egzemplarze *Współczesnej Anglii*. Rozdział o „Kryzysach wieku dojrzewania” zawsze się starszym sekretarkom podobał. Mówił o seksie i przemocy i był dwanaście lat do tyłu, ale one również. Tego dnia książka okazała się jednak niepotrzebna.

— Nie sądzę, aby w ogóle popełniono jakąś zbrodnię — odparł Wilt, siadając za biurkiem.

— Ależ popełniono! Widzieli w wykopie zwłoki kobiety — upierała się blondynka.

— Wydawało im się, że widzą coś, co wygląda jak zwłoki — sprostował Wilt. — To jeszcze nic nie znaczy. Czasem wyobraźnia płata ludziom figle.

— Policja tak nie uważa — odezwała się gruba dziewczyna, której ojciec był kimś ważnym w City. — Muszą być pewni, skoro zadają sobie tyle trudu. Kiedyś znaleziono zwłoki na naszym polu golfowym. Morderca pociął je na kawałki i wrzucił do stawu na piętnastym. Leżały tam pół roku, aż ktoś skrzywił piłkę na dwunastym i wpadła do wody. Najpierw wyłowili stopę. Była cała spuchnięta i zielona...

Błada dziewczyna z trzeciego rzędu zemdląła. Zanim Wilt ją ocucił i zaprowadził do ambulatorium, dyskusja zeszała na Crippena, Haigha i Christiego*. Kiedy wrócił do sali, była już mowa o rozpuszczaniu zwłok w kwasie.

— ...znaleźli tylko jej sztuczną szczękę i kamienie żółciowe.
— Widzę, że dużo wiesz o morderstwach — powiedział Wilt do grubaski.
— Tata gra w brydża z komisarzem policji — wyjaśniła. — Czasem przychodzi do nas na kolację i opowiada świetne historie. Uważa, że powinni przywrócić wieszanie.

— Nie wątpię — mruknął Wilt.

Starsze sekretarki знаły niejednego komisarza policji, który chciał przywrócić wieszanie. Były panienkami z tak zwanych dobrych domów.

— Wieszanie nie boli — ciągnęła grubaska. — Sir Frank mówi, że dobry kat potrafi wyprowadzić mężczyznę z celi śmierci, założyć mu pętlę na szyję i przesunąć dźwignię w dwadzieścia sekund.

— Czemu tylko mężczyźni mają mieć ten przywilej? — zapytał Wilt zgryźliwym tonem.

Dziewczęta popatrzyły na niego z wyrzutem.

— Ostatnią kobietą, którą powieszono, była Ruth Ellis — powiedziała blondynka z pierwszego rzędu.

— Poza tym z kobietami jest inaczej — dodała grubaska.

— Dlaczego? — spytał nierozważnie Wilt.

— Dłużej to trwa.

— Dłużej?

— Panią Thompson musieli przywiązać do krzesła — wyjaśniła blondynka. — Zachowywała się okropnie.

— Przyznam, że twój punkt widzenia wydaje mi się dziwny — powiedział Wilt. — To, że kobieta morduje męża, bez wątpienia jest okropne, ale tego, że stawia opór podczas egzekucji, bynajmniej za okropne nie uważam. Moim zdaniem...

— Chodzi nie tylko o to — przerwała mu grubaska, którą niełatwo było zbyć.

— Nie tylko o co?

— Że z kobietami dłużej to trwa. Muszą kazać im wkładać ceratowe majtki.

Wilt z niesmakiem wybałuszył na nią oczy.

— Ceratowe co? — zapytał bezmyślnie.

— Majtki — powtórzyła grubaska.

— Dobry Boże — jęknął Wilt.

— Bo widzi pan, kiedy sznur się wyciągnie, puszczają im zwieracze — dorzuciła grubaska, zadając mu *coup de grâce*.

Wilt posłał jej dzikie spojrzenie i wybiegł z sali.

— Co mu się stało? — zdziwiła się dziewczyna. — Można by pomyśleć, że powiedziałam coś wstrętnego.

W korytarzu Wilt oparł się o ścianę, walcząc z falą mdłości. Te cholerne dziewczuchy były jeszcze gorsze od monterów, którzy przynajmniej nie wdawali się w takie obrzydliwe szczegóły fizjologiczne. Zanim poczuł się na siłach znów stawić im czoło, czas minął. Wrócił zawstydzony do sali i zebrał książki.

* Dr Hawley Crippen (1862-1910), John Haigh (1909-1949), John Christie (1898--1953) — słynni mordercy kobiet.

— Czy mówi panu coś nazwisko Wilt? Henry Wilt? — zapytał inspektor Flint.

— Wilt? — powtórzył wicedyrektor, któremu dyrektor polecił zająć się policją, podczas gdy sam spędzał czas bardziej produktywnie, próbując wyciszyć szkodliwy dla college'u rozgłos, jakiego nabrała cała ta potworna sprawa. — Owszem, tak. To jeden z naszych wykładowców. Bo co? Czy...

— Jeśli pan pozwoli, chciałbym zamienić z nim kilka słów.

Na osobności.

— Ale Wilt to niezwykle spokojny człowiek — powiedział wicedyrektor. — Jestem pewien, że w niczym panu nie pomoże.

— Możliwe, niemniej jednak...

— Chyba pan nie sugeruje, że Henry Wilt miał coś wspólnego z...

Wicedyrektor urwał i przyjrzał się twarzy inspektora. Miała złowieszczo neutralny wyraz.

— Wolalbym nie wchodzić w szczegóły — odparł inspektor Flint. — I proszę nie wyciągać pochopnych wniosków.

Wicedyrektor sięgnął po telefon.

— Ma przyjść do tej... hmm... furgonetki? — zapytał.

Inspektor Flint potrząsnął głową.

— Nie chcemy zwracać na siebie uwagi. Gdyby pozwolił mi pan skorzystać z jakiegoś pustego pokoju...

— Może pan skorzystać z pokoju obok.

Wilt jadł w stołówce lunch z Peterem Braintreem, gdy sekretarka wicedyrektora zesłała na dół z wiadomością.

— Czy to nie może poczekać? — zapytał Wilt.

— Mówi, że sprawa jest bardzo pilna.

— Pewnie wreszcie przyznali ci awans — powiedział wesoło Braintree.

Wilt połknął resztę swojego klopsa i wstał.

— Wątpię — mruknął, wyszedł na miękkich nogach ze stołówki i poczłapał na górę. Miał poważne obawy, że awans jest ostatnią rzeczą, o jakiej wicedyrektor chciałby z nim porozmawiać.

— Przejdźmy do rzeczy — powiedział inspektor, kiedy obaj usiedli. — Nazywam się Flint, inspektor Flint z policji kryminalnej, a pan jest Wilt? Henry Wilt?

— Tak — odparł Wilt.

— Jak się pan zapewne domyśla, prowadzimy dochodzenie w sprawie domniemanego zabójstwa kobiety, której zwłoki, jak sądzą, spoczywają na dnie jednego z wykopów pod fundamenty nowego budynku. Przypuszczam, że pan o tym wie. — Wilt skinął głową. — I naturalnie interesuje nas wszystko, co mogłoby nam pomóc. Czy byłby pan uprzejmy spojrzeć na te notatki?

Podał Wiltowi jakąś kartkę. Miała nagłówek „Przemoc i upadek życia rodzinnego”, a poniżej widniało kilkanaście punktów.

1. Coraz częstsze stosowanie przemocy w życiu publicznym dla osiągnięcia celów politycznych.

a) Zamachy bombowe.

b) Porwania samolotów.

c) Porwania ludzi.

d) Zabójstwa.

2. Nieskuteczność policyjnych metod walki z przemocą.

a) Podejście negatywne; policja reaguje, gdy przestępstwo zostało już popełnione.

b) Stosowanie przemocy przez samą policję.

c) Niski poziom inteligencji przeciętnego policjanta.

d) Coraz częstsze stosowanie przez przestępców wyrafinowanych metod dywersyjnych.

3. Wpływ mediów; telewizja pokazuje techniki przestępcze.

Było tego więcej. Dużo więcej. Wilt przebiegł listę wzrokiem, czując, że jego los jest już przesądzony.

— Poznaje pan charakter pisma? — zapytał inspektor.

— Tak — odparł Wilt, przybierając, raczej przedwcześnie, lakoniczny styl świadka sądowego.

— Pan zrobił te notatki?

Inspektor odebrał Wiltowi kartkę.

— Tak.

— Wyrażają pańską opinię o pracy policji?

Wilt zebrał się w sobie.

— To notatki do wykładu dla uczniów szkoły pożarniczej — wyjaśnił. — Luźne pomysły, które wymagają rozwinięcia...

— Ale przyznaje się pan do ich autorstwa?

— Oczywiście. Przed chwilą to powiedziałem.

Inspektor skinął głową i wziął do ręki jakąś książkę.

— Czy to pańska książka?

Wilt spojrzął na *Dom na pustkowiu*.

— Przecież jest podpisana.

Inspektor Flint otworzył okładkę.

— Rzeczywiście — potwierdził z udawanym zdziwieniem.

Wilt patrzył na inspektora. To przedstawienie nie miało sensu. Najlepiej będzie szybko je zakończyć. Znaleźli tę cholerną książkę w koszyku roweru, a notatki musiały mu wypaść z kieszeni na placu budowy.

— Proszę posłuchać, panie inspektorze — powiedział — mogę to wszystko wyjaśnić. Sprawa jest bardzo prosta. Rzeczywiście poszedłem na tę budowę...

Inspektor wstał.

— Panie Wilt, jeśli jest pan gotów złożyć oświadczenie, powinienem pana ostrzec...

Wilt udał się do Sztabu Śledczego i złożył oświadczenie w obecności policyjnego stenografa. To, że wszedł do niebieskiej furgonetki, ale z niej nie wychodzi, nie uszło uwagi wykładowców prowadzących zajęcia w gmachu

Nauk Ścisłych, studentów w stołówce i jego dwudziestu pięciu kolegów wyglądających przez okna pokoju nauczycielskiego.

9.

— Szlag by to trafił — powiedział wymazany smarem Gaskell, kłękając obok silnika jachtu. — Można by przypuszczać, że nawet w tej pretechnologicznej monarchii potrafią zrobić porządną silnik. Ten rżęch pochodzi chyba z arki Noego.

— Arki-smarki — odparła Sally. — I nie kpj z koronowanych głów. Eva jest reginofilką.

— Kim?

— Reginofilką. Rojalistką. Kapujesz? Kocha królową, więc nie bądź antybrytyjski, bo przestanie pracować tak samo jak silnik. Może to nie korbowód?

— Gdyby udało mi się zdjąć główkę, mógłbym się zorientować — odrzekł Gaskell.

— I co byś z tego miał? Nowy korbowód? — burknęła Sally, po czym zeszła do kabiny, gdzie Eva zastanawiała się, co będą jedli na kolację. — Kapitan dalej dłubie w silniku. Mówi, że to korbowód.

— Korbowód? — spytała Eva.

— Połącz to, dzióbasku.

— Z czym?

— Kość biodrowa łączy się z kością kolanową. Korbowód łączy się z tłokiem, a jak ogólnie wiadomo, tłok jest symbolem penisa. Grzebanie w silnikach to męski substytut seksu. Tyle że większość facetów robi to na zewnątrz, a Gaskell wewnątrz, jakby jeszcze nie zstąpiły mu jaja. Jest naprawdę zapóźniony w rozwoju.

— Nie znam się na tym — powiedziała Eva.

Sally położyła się na koi i zapaliła cygaro.

— To właśnie w tobie uwielbiam, Evo. Nie znasz się. Ignorancja jest błogosławieństwem, dzióbasku. Ja ją straciłam, gdy miałam czternaście lat.

Eva z dezaprobatą potrząsnęła głową.

— Ci mężczyźni.

— Był tyle ode mnie starszy, że mógłby być moim dziadkiem — ciągnęła Sally. — Był moim dziadkiem.

— Boże, to straszne!

— Wcale nie — odparła Sally ze śmiechem. — Był artystą. Miał brodę. Jego kitel pachniał farbą, byliśmy w jego pracowni, a on powiedział, że chce namalować mój akt. Byłam wtedy taka niewinna. Kazał mi się położyć na kanapie i poprawił mi nogi. Zawsze poprawiał mi nogi, a potem cofał się, żeby na mnie popatrzeć, i malował. Aż pewnego dnia podszedł do mnie, kiedy tak leżałam, rozsunął mi nogi, pocałował mnie i nagle znalazł się na mnie, a kitel podjechał mu do góry...

Eva siedziała i słuchała zafascynowana. Widziała to wszystko wyraźnie oczami wyobraźni, niemal czuła zapach farby w pracowni. Sally miała takie ekscytujące życie, pełne przygód i romantyczne, chociaż w okropny sposób. Eva w wieku czternastu lat nawet nie umawiała się z chłopcami, a tutaj Sally leży na kanapie ze sławnym malarzem.

— Przecież cię zgwałcił — powiedziała w końcu. — Dlaczego nie poszłaś na policję?

— Na policję? Nic nie rozumiesz. Uczyłam się w potwornie ekskluzywnej szkole z internatem. Była jak najbardziej postępową, ale regulamin zabraniał pozowania malarzom. Odesłaliby mnie do domu i rodzice nigdy by mi nie wybaczyli. Byli strasznie surowi. — Sally westchnęła, przytłoczona rygorami swego całkowicie zmyślnego dzieciństwa. — Teraz rozumiesz, dlaczego tak się boję, że jakiś mężczyzna mnie skrzywdzi. Kiedy zostałaś zgwałcona, wiesz, czym jest samcza agresja.

— Zapewne — odparła Eva bez większego przekonania.

— Inaczej patrzysz też na świat. Jak mówi Gas, nic nie jest dobre i nic nie jest złe. Wszystko po prostu jest.

— Byłam raz na prelekcji o buddyzmie — wtrąciła Eva — i pan Podgett powiedział to samo. Powiedział...

— Zen jest do niczego. Siedzisz tylko i czekasz. To bierność. Musisz działać. Jak będziesz siedzieć i czekać, w końcu umrzesz. Ktoś cię rozdepcze. Musisz pilnować, żeby wszystko układało się po twojej myśli.

— To nie brzmi zbyt szlachetnie — stwierdziła Eva. — Gdybyśmy zawsze robili to, co chcemy, krzywdzilibyśmy innych.

— Inni to piekło — odrzekła Sally. — Tak powiedział Sartre, a on się na tym znał. Robienie tego, co się chce, jest słuszne i nie ma skutków moralnych. Jak mówi Gas, szczury są paradygmatem. Myślisz, że szczur się zastanawia, co jest dobre dla innych szczurów?

— Chyba nie.

— No właśnie. Szczury nie są istotami moralnymi. One po prostu żyją. Nie pieprzy im się w głowach od

myślenia.

- Sądzisz, że szczury myślą? — spytała Eva, zapalając się do tematu psychologii gryzoni.
- A skąd. Szczury po prostu są. Nie odczuwają *Schadenfreude*.
- Co to jest *Schadenfreude*?
- Kuzynka *Weltschmerzu* — wyjaśniła Sally, gasząc cygaro w popielniczce. — Wniosek jest taki, że każdy może robić, co chce, kiedy chce. Tylko ludzie typu Gasa, ludzie, których swędzą mózgi, mają co do tego wątpliwości.
- Swędzą ich mózgi?
- Muszą koniecznie wiedzieć, jak wszystko funkcjonuje. Naukowcy. Sam umysł i żadnego ciała.
- Henry też jest trochę taki — odparła Eva. — Jak nie czyta, to mówi o książkach. Ciągle mu powtarzam, że nie ma pojęcia o realnym świecie.

Wilt właśnie tego pojęcia nabierał. Siedział w Ruchomym Sztabie Śledczym naprzeciwko inspektora Flinta, którego twarz wyrażała coraz większe niedowierzanie.

— Chciałbym się upewnić, czy dobrze pana zrozumiałem — powiedział inspektor. — Twierdzi pan, że to, co świadkowie zobaczyli w tym wykopie, jest *de facto* nadmuchiwaną plastikową lalką z pochwą.

— Pochwa to rzecz uboczna — zaznaczył Wilt, odwołując się do rezerw nielogiczności.

— Być może — mruknął inspektor. — Większość lalek ich nie ma, ale dobrze, pomińmy ten szczegół. Próbuje ustalić, czy jest pan pewien, że nie leży tam żywa istota ludzka.

— Jestem pewien — potwierdził Wilt. — A gdyby nawet była to istota ludzka, wątpię, czy jeszcze by żyła.

Inspektor spojrzał na niego z ukosa.

— Mógł pan sobie darować tę uwagę — powiedział. — Gdyby istniała choć najmniejsza szansa, że to, co tam leży, jeszcze żyje, nie siedziałbym tutaj, prawda?

— Prawda — zgodził się Wilt.

— No właśnie. Przejdźmy więc do następnej kwestii. Jeżeli, jak pan twierdzi, jest to lalka, jak to możliwe, że była w ubraniu, miała włosy oraz, co jeszcze bardziej niezwykle, wgniecioną czaszkę i wyciągniętą rękę.

— W taki sposób tam wpadła — wyjaśnił Wilt. — Przypuszczam, że ręka zaczęła się o ścianę wykopu i tak została.

— A co z tym wgnieceniem?

— Przyznaję, zrzuciłem na nią bryłę gliny — odparł Wilt. — Mogła coś wgnieść.

— Zrzucił jej pan na głowę bryłę gliny?

— Właśnie to powiedziałem — zauważył Wilt.

— Wiem, co pan powiedział. Chciałbym się natomiast dowiedzieć, dlaczego czuł się pan w obowiązku zrzucić bryłę gliny na głowę nadmuchiwanej lalki, która, o ile mogłem się zorientować, nie wyrządziła panu żadnej krzywdy.

Wilt się zawahał. Ta przekłeta lalka wyrządziła mu wielką krzywdę, w ten czy inny sposób, ale nie był to chyba właściwy moment, żeby o tym mówić.

— Nie bardzo wiem — powiedział w końcu. — Pomyślałem, że to pomoże.

— W czym?

— W... Nie wiem. Zrobiłem to i już. Byłem wtedy pijany.

— Dobrze, wróćmy do tego później. Nie wyjaśnił pan jeszcze jednej kwestii. Jeżeli była to lalka, dlaczego miała na sobie ubranie?

Wilt z rozpaczą powiódł wzrokiem po furgonetce i napotkał spojrzenie policyjnego stenografa. Nie dodało mu odwagi. A tyle się mówi o przywileju wątpliwości.

— Nie uwierz mi pan — powiedział Wilt.

Inspektor popatrzył na niego i zapalił papierosa.

— No więc?

— Ściśle biorąc, to ja ją ubrałem — oznajmił Wilt, skręcając się ze wstydu.

— Pan ją ubrał?

— Tak — odparł Wilt.

— Czy mogę spytać, w jakim celu pan to zrobił?

— Dokładnie nie wiem.

Inspektor westchnął znacząco.

— Dobrze. Powtórzmy to sobie. Wziął pan lalkę z pochwą, ubrał ją, przywiózł tutaj w środku nocy, wrzucił do wykopu głębokości trzydziestu stóp i cisnął bryłę gliny na jej głowę. Czy to pan chce powiedzieć?

— Tak — potwierdził Wilt.

— Nie wolałby pan zaoszczędzić wszystkim zainteresowanym czasu i zachodu, przyznając tu i teraz, że to, co

obecnie spoczywa, oby w pokoju, pod dwudziestoma tonami betonu, jest ciałem zamordowanej kobiety?

— Nie — odrzekł Wilt — Zdecydowanie bym nie wołał.

Inspektor Flint westchnął ponownie.

— Zapewniam pana, dokopiemy się do dna tego dołu — powiedział. — Będzie to wymagało czasu, będzie to wymagało środków oraz, Bóg wie najlepiej, że konieczna jest do tego cierpliwość, ale jak już się dokopiemy...

— Znajdziecie nadmuchiwaną lalkę — oświadczył Wilt.

— Z pochwą?

— Z pochwą.

W pokoju nauczycielskim Peter Braintree twardo bronił niewinności Wilta.

— Mówię wam, znam Henry'ego od siedmiu lat i cokolwiek się stało, na pewno nie jest w to zamieszany.

Pan Morris popatrzył sceptycznie przez okno.

— Siedzi tam od dziesięć po drugiej. To już cztery godziny. — powiedział. — Nie trzymaliby go tak długo, gdyby nie myśleli, że miał coś wspólnego ze śmiercią tej kobiety.

— Niech myślą, co im się podoba. Dobrze Henry'ego znam. Biedak nie potrafiłby nikogo zamordować, nawet gdyby chciał.

— Uderzył we wtorek tego drukarza. To dowodzi, że jest zdolny do użycia przemocy.

— To drukarz uderzył jego — sprostował Braintree.

— Bo Wilt nazwał go pieprzonym, zasmarkanym kretynem — zauważył pan Morris. — Człowiek, który wyzywa trzecią drukarską od kretynów, musi mieć nie po kolei w głowie. Dranie zabili biednego Pinkertona. Zagazował się w samochodzie.

— Omal nie zabili też Henry'ego.

— Ten cios mógł oczywiście wpłynąć na jego psychikę — ciągnął pan Morris z ponurą satysfakcją. — Wstrząs mózgu robi z człowiekiem zabawne rzeczy. Może z dnia na dzień zmienić cichego, spokojnego, nieszkodliwego faceta jak Wilt w maniakalnego mordercę, który nagle wpada w szal. Zdarzały się jeszcze dziwniejsze przypadki.

— Przypuszczam, że Henry pierwszy by się z panem zgodził — powiedział Braintree. — Na pewno nie jest zbyt miło siedzieć w tej furgonetcie i być przesłuchiwanym przez policję. Ciekawe, co oni z nim robią.

— Po prostu zadają mu pytania. W rodzaju „Jak się panu układa z żoną?” i „Co pan robił w sobotni wieczór?” Zaczynają delikatnie i dochodzą stopniowo do sedna sprawy.

Peter Braintree zamarł z przerażenia. Eva. Zupełnie o niej zapomniał, a co do sobotniego wieczoru, wiedział, co Henry oświadczył, że robił, zanim zjawił się na progu cały w błocie i blady jak śmierć...

— Chcę tylko powiedzieć — podjął pan Morris — że wydaje mi się bardzo dziwne, iż znajdują zwłoki na dnie zalanego betonem wykopu i zanim ktokolwiek się obejrzy, biorą Wilta do tego Sztabu Śledczego na przesłuchanie. Naprawdę bardzo dziwne. Nie chciałbym być na jego miejscu.

Pan Morris wstał i wyszedł z pokoju, a Peter Braintree siedział i myślał, czy nie powinien czegoś zrobić, na przykład zadzwonić do adwokata i poprosić go, żeby przyjechał porozmawiać z Henrym. Uznał jednak, że trochę na to za wcześnie, a zresztą gdyby Henry chciał się widzieć z adwokatem, zapewne mógł sam o to poprosić.

Inspektor Flint zapalił kolejnego papierosa z uśmiechem, za którym czaiła się groźba.

— Jak się panu układa z żoną? — zapytał.

Wilt zawahał się.

— W miarę dobrze.

— Tylko w miarę? Nie lepiej?

— Układa nam się świetnie — powiedział Wilt, świadom, że popełnił błąd.

— Rozumiem. I zapewne żona potwierdzi pańską opowieść o tej nadmuchiwanej lalce.

— Co potwierdzi?

— Że zwykł ją pan ubierać i obcować z nią cieleśnie.

— Nie zwykłem robić niczego takiego — zachnął się Wilt.

— Ja tylko pytam. To pan nadmienił, że miała pochwę, nie ja. Poinformował mnie pan o tym z własnej woli, więc naturalnie założyłem...

— Co pan założył? — zapytał Wilt. — Nie ma pan prawa...

— Proszę pana — przerwał mu inspektor — niech się pan postawi w moim położeniu. Prowadzę dochodzenie w sprawie domniemanego zabójstwa, a tu ktoś przychodzi i mówi, że to, co dwóch naocznych świadków opisało jako zwłoki dobrze odżywionej kobiety po trzydziestce...

— Po trzydziestce? Lalki nie mają wieku. Jeśli to cholerstwo miało więcej niż sześć miesięcy...

— Proszę, niech pan pozwoli mi skończyć. Jak mówiłem, mamy domniemane zabójstwo, a pan przyznaje się,

że wrzucił do tego wykopu lalkę z pochwą. Gdyby pan był na moim miejscu, jaki wniosek by pan wyciągnął?

Wilt próbował wymyślić jakąś całkowicie niewinną konkluzję, ale mu się nie udało.

— Czy nie przyznałby pan wówczas, że istotnie wygląda to trochę osobliwie?

Wilt skinął głową. Wyglądało to cholernie osobliwie.

— No właśnie — ciągnął inspektor. — Nawet jeśli przyjmiemy najkorzystniejszą interpretację pańskich czynów, a zwłaszcza faktu, iż podkreślał pan to, że lalka miała pochwę...

— Nie podkreślałem tego. Wspomniałem o draństwie wyłącznie na dowód, że lalka wyglądała jak żywa. Nie sugerowałem, że mam zwyczaj...

Wilt urwał i wpatrzył się załóżnie w podłogę.

— Proszę, niech pan mówi dalej. Mówienie często pomaga.

Wilt wbił w niego wściekle spojrzenie. Mówienie do inspektora Flinta nie pomagało mu w najmniejszym stopniu.

— Jeśli pan insynuuje, że moje życie seksualne ogranicza się do kopulacji z pieprzoną nadmuchiwaną lalką ubraną w rzeczy mojej żony...

— Chwileczkę — wtrącił inspektor, gasząc papierosa znaczącym gestem. — Widzę, że zrobiliśmy kolejny krok naprzód. Przyznaje pan więc, że to, co leży w wykopie, jest ubrane w rzeczy pańskiej żony? Tak czy nie?

— Tak — mruknął Wilt.

Inspektor Flint wstał.

— Chyba już czas, żebyśmy ucięli sobie małą pogawędkę z panią Wilt. Chciałbym usłyszeć, co ma do powiedzenia o pańskich nietypowych zwyczajach.

— Obawiam się, że będzie to dość trudne — odparł Wilt.

— Trudne?

— Bo widzi pan, ona wyjechała.

— Wyjechała? — powtórzył inspektor. — Powiedział pan, że pani Wilt wyjechała?

— Tak.

— A dokąd?

— W tym cały problem. Nie wiem.

— Nie wie pan?

— Słowo honoru, że nie wiem — przysiągł Wilt.

— Nie powiedziała panu, dokąd się wybiera?

— Nie. Kiedy wróciłem do domu, już jej nie było.

— Nie zostawiła panu listu albo kartki?

— Owszem — przyznał Wilt — zostawiła.

— Świetnie. Więc jedźmy do pańskiego domu i przeczytajmy ten list.

— Niestety, to nie jest możliwe — odrzekł Wilt. — Zniszczyłem go.

— Zniszczył go pan? — zdziwił się inspektor. — W jaki sposób?

Wilt popatrzył załóżnie na policyjnego stenografa.

— Prawdę powiedziawszy, podtarłem nim sobie tyłek.

Inspektor wbił w niego demoniczne spojrzenie.

— Co pan zrobił?

— W ubikacji nie było papieru toaletowego, więc...

Inspektor zapalał kolejnego papierosa. Drżały mu ręce, a oczy miały nieobecny wyraz, jakby spojrzął przed chwilą w jakąś przerażająca otchłań.

— Panie Wilt — powiedział, gdy udało mu się odzyskać równowagę — myślę, że jestem człowiekiem w miarę cierpliwym, wyrozumiałym i ludzkim, ale jeśli oczekuje pan, że uwierzę w choć jedno słowo tej absurdalnej historii, to chyba pan oszalał. Najpierw stwierdza pan, że wrzucił do tego wykopu lalkę. Potem przyznaje, że była ubrana w rzeczy pańskiej żony. Potem oświadcza, że żona wyjechała, nie mówiąc panu, dokąd się wybiera, i wreszcie, jakby tego wszystkiego nie było dość, bezczelnie mnie informuje, że podtarł się jedynym namacalnym dowodem, jaki mógłby potwierdzić pańskie zeznanie.

— Kiedy to prawda — bąknął Wilt.

— Bzdura! — wykrzyknął inspektor. — Obaj wiemy, gdzie jest pani Wilt i nie ma sensu udawać, że tak nie jest. Leży na dnie tego pieprzonego dołu i to pan ją tam wrzucił.

— Czy jestem aresztowany? — zapytał Wilt, gdy szli w zwartej grupie do samochodu policyjnego.

— Nie — odparł inspektor Flint. — Pomaga pan policji w dochodzeniu. Będzie o tym mowa w wieczornych wiadomościach.

— Mój drogi Braintree, oczywiście zrobimy, co w naszej mocy — powiedział wicedyrektor. — Wilt zawsze

był dobrym pracownikiem i najwyraźniej zaszła jakaś okropna pomyłka. Jestem pewien, że niepotrzebnie się martwisz. Cała sprawa wkrótce się wyjaśni.

— Też mam taką nadzieję — odparł Braintree — ale są pewne komplikacje. Po pierwsze, Eva...

— Eva? Pani Wilt? Nie sugerujesz chyba...

— Nie sugeruję niczego. Mówię tylko, że... nie wiadomo, gdzie jest. W piątek odeszła od Henry'ego.

— Pani Wilt odeszła od... No cóż, słabo ją znałem, właściwie tylko ze słyszenia. Czy to nie ona parę lat temu złamała panu Lockyerowi obojczyk na wieczorowym kursie judo?

— Tak, to Eva — potwierdził Braintree.

— Nie robi wrażenia kobiety, która pozwoliłaby mężowi wrzucić się do...

— No właśnie — wtrącił pospiesznie Braintree. — Jeśli komuś w rodzinie Wiltów groziło, że zostanie zamordowany, to raczej Henry'emu. Uważam, że trzeba poinformować o tym policję.

Przerwał im dyrektor, który wszedł do gabinetu z egzemplarzem wieczornej gazety.

— Pewnie już to widzieliście — powiedział, wymachując nim gwałtownie. — Absolutny koszmar.

Położył gazetę na biurku i wskazał palcem nagłówek. ZWŁOKI KOBIETY ZALANE BETONEM W COLLEGE'U. WYKŁADOWCA POMAGA POLICJI.

— Mój Boże — westchnął wicedyrektor. — Mój Boże. To godne ubolewania. I nie mogło się zdarzyć w gorszym momencie.

— W ogóle nie powinno się zdarzyć — warknął dyrektor. — To jeszcze nie wszystko. Odebrałem pół tuzina telefonów od rodziców, którzy chcieli wiedzieć, czy mamy zwyczaj zatrudniać morderców w charakterze etatowych pracowników. Kim właściwie jest ten cały Wilt?

— Wykładowcą Sekcji Przedmiotów Ogólnokształcących — odparł wicedyrektor. — Pracuje u nas od dziesięciu lat.

— Przedmioty Ogólnokształcące. Mogłem się domyślić. Jak nie poeci *manqués*, to maości albo... Nie wiem skąd, do diabła, Morris ich bierze. A teraz mamy cholernego mordercę. Co ja powiem Radzie Szkolnej? Zwołali na ósmą wieczorem zebranie nadzwyczajne.

— Stanowczo protestuję przeciwko nazywaniu Wilta mordercą — oponował lojalnie Braintree. — Nic nie wskazuje na to, że kogokolwiek zamordował.

Dyrektor przyjrzał mu się uważnie, a potem przeniósł wzrok na gazetę.

— Panie Braintree, kiedy ktoś pomaga policji w śledztwie w sprawie morderstwa, to wprawdzie jeszcze nie dowodzi, że jest mordercą, ale niewątpliwie na to wskazuje.

— Z pewnością nie przyspieszy to otwarcia nowych kursów — wtrącił dyplomatycznie wicedyrektor. — W piątek ma przyjechać na inspekcję komisja z Ministerstwa Edukacji.

— Z tego, co mówi policja, nie przyspieszy to też otwarcia nowego gmachu administracji — podchwycił dyrektor. — Zrobienie nowego wykopu potrwa co najmniej trzy dni, a potem będą musieli przewiercić się przez beton, żeby wydobyć zwłoki. To oznacza, że trzeba będzie wylewać fundament po raz drugi, a już mamy spore opóźnienie i kurczą się nam fundusze. Nie mógł, do licha, zakopać swojej cholernej żony gdzie indziej?

— Sądzę, że... — zaczął Braintree.

— Nie obchodzi mnie, co pan sądzi — przerwał mu dyrektor. — Mówię panu tylko, co sądzi policja.

Braintree zostawił ich pograżonych w dyskusji o sposobach na wyciszenie szkodliwego rozgłosu, jakiego ta sprawa już przysporzyła college'owi. Poszedł do gabinetu kierownika Przedmiotów Ogólnokształcących, gdzie zastał pana Morrisa w stanie desperacji. Usiłował zorganizować zastępstwa na wszystkie wykłady Wilta.

— Przecież Henry na pewno jutro wróci — powiedział Braintree.

— Akurat — mruknął pan Morris. — Kiedy kogoś zgarną, to już go nie wypuszczą. Niech pan zapamięta moje słowa. Policja popełnia czasem błędy, nie mówię, że nie, ale kiedy działają tak szybko, są pewni swego. Zważ pan, zawsze uważałem, że Wilt jest trochę dziwny.

— Dziwny? Wracam właśnie z gabinetu wicedyrektora. Chce pan usłyszeć, co dyrektor miał do powiedzenia o personele Przedmiotów Ogólnokształcących?

— Chryste — jęknął pan Morris — niech mi pan nie mówi.

— A poza tym, co według pana jest takiego dziwnego w Henrym?

— Jak na mój gust jest zbyt potulny. Niech pan spojrzy, ile lat wytrzymuje jako asystent stopnia drugiego.

— To nie jego wina.

— A czyja? Wystarczyłoby, żeby zagroził odejściem, i dostałby awans w mgnieniu oka. To jedyny sposób na zrobienie tu kariery. Zaznaczyć swoją obecność.

— Teraz ją zaznaczył — odrzekł Braintree. — Dyrektor już go wina za opóźnienia w pracach budowlanych, a jeśli Ministerstwo nie zatwierdzi nowych kursów, zrobią Henry'ego kozłem ofiarnym. Z góry mu współczuję. Eva postąpiła naprawdę nierozsądnie, odchodząc od niego w ten sposób.

Pan Morris miał bardziej ponury pogląd na sprawę.

— Postąpiłaby znacznie rozsądniej, gdyby od niego odeszła, zanim drań wpadł na pomysł, żeby ją zatłuc na

śmierć i wrzucić do tego cholernego wykopu. I komu, do diabła, dam teraz pierwszą montera?

10.

Na Parkview Avenue 34 Wilt siedział w kuchni z Clemem, a ekipa śledcza przetrząsała dom.

— Nie znajdziecie tu nic podejrzanego — powiedział inspektorowi Flintowi.

— Nie pana zmartwienie, co znajdziemy — odparł inspektor. — Po prostu się rozglądamy.

Posłał jednego z wywiadowców na górę, żeby zbadał garderobę pani Wilt, a raczej to, co z niej zostało.

— Jeśli wyjechała, zabrała pół szafy — stwierdził. — Już ja znam kobiety. Jeśli jednak leży pod dwudziestoma tonami masy betonowej, wystarczyło jej to, co miała na sobie.

Szafa okazała się dobrze zaopatrzona. Nawet Wilt musiał przyznać, że Eva nie zabrała ze sobą zbyt wiele.

— W co była ubrana, kiedy widział ją pan po raz ostatni? — zapytał inspektor.

— W cytrynową pizamę — odparł Wilt.

— W co?

— W pizamę — powtórzył Wilt, dodając kolejny punkt do listy obciążających go dowodów.

Inspektor zapisał to sobie w notesie.

— Była w łóżku?

— Nie — zaprzeczył Wilt. — U Pringsheimów.

— A kto to są Pringsheimowie?

— Amerykanie, o których panu mówiłem, mieszkający przy Rossiter Grove.

— Nie wspomniał pan o żadnych Amerykanach — powiedział inspektor.

— Przepraszam. Myślałem, że wspomniałem. Wszystko zaczyna mi się plątać. To z nimi moja żona wyjechała.

— Co pan powie? I pewnie się okaże, że ich również nie ma w domu?

— Raczej tak — odparł Wilt. — Jeżeli wyjechała z nimi, to oni też wyjechali, a jeżeli nie, to nie wiem, gdzie mogła się podziać.

— Ja wiem — mruknął inspektor, przyglądając się z niezdrowym zainteresowaniem plamie na prześcieradle, które jeden z wywiadowców znalazł w koszu na brudną bieliznę.

Gdy opuszczali dom, obciążające Wilta dowody obejmowały rzeczony prześcieradło, pasek od starego szlafroka, który w jakiś tajemniczy sposób zawędrował na strych, tasak, którym Wilt otworzył kiedyś puszkę minii, strzykawkę, której Eva używała do precyzyjnego podlewania kaktusów, gdy przechodziła fazę roślin domowych, oraz pozbawiony etykiетки słoiczek proszków.

— Skąd, do diabła, mam wiedzieć, co zawiera? — spytał Wilt, gdy mu go pokazano. — Pewnie aspirynę. Zresztą jest pełen.

— Dołączcie go do reszty dowodów — polecił inspektor.

Wilt zajrzał do pudełka.

— Na litość boską, co ja waszym zdaniem z nią zrobiłem? Otrułem ją, udusiłem, porąbałem tasakiem i na koniec wstrzyknąłem jej kwiatovit?

— Co to jest kwiatovit? — zainteresował się inspektor.

— Mikstura, którą nawozi się rośliny — wyjaśnił Wilt. — Butelka stoi na parapecie.

Inspektor dołożył butelkę kwiatovitu do pudełka.

— Wiemy, co o pan z nią zrobił — odparł. — Teraz chcemy się dowiedzieć jak.

Wsiedli do policyjnego samochodu i pojechali na Rossiter Grove do domu Pringsheimów.

— Niech pan tu posiedzi z posterunkowym, a ja sprawdzę, czy są w domu — powiedział inspektor Flint.

Wilt siedział i patrzył. Inspektor podszedł do frontowych drzwi i nacisnął dzwonek. Nacisnął dzwonek ponownie i postukał kołatką. Wreszcie przeszedł przez furtkę z tabliczką „wejście dla dostawców” i zniknął za domem. Wrócił po minucie i zaczął majstrować przy policyjnym radiu.

— Miałeś rację, Wilt — warknął. — Wyjechali. I zostawili pobojuwisko. Wygląda na to, że odbyła się tu jakaś orgia. Wyprowadźcie go.

Dwaj wywiadowcy wywlekli Wilta, już nie pana Wilta, tylko po prostu Wilta, z czego zdawał sobie sprawę, z samochodu, a inspektor, wezwawszy przez radio Komendę Główną, zaczął mówić złowroźnie nagłym tonem o nakazach rewizji i przysłaniu jakiejś brygady specjalnej. Wilt stał na podjeździe i próbował pojąć, co się, do diabła, dzieje. Porządek rzeczy, na którym nauczył się polegać, rozpadał się na jego oczach.

— Wejdzimy od tyłu — zarządził inspektor. — Uprzedzam, nie wygląda to dobrze.

Poszli ścieżką prowadzącą do kuchennych drzwi i Wilt szybko pojął, dlaczego inspektor użył słowa

„pobojowisko”. Ogród rzeczywiście nie wyglądał dobrze. Papierowe talerze w trawie, a nawet, poniesione przez wiatr, w kapryfolium i pnących różach; wszędzie papierowe kubki, niektóre zgniecione, niektóre wciąż napełnione ponczem Pringsheimów. Najgorsze jednak były hamburgery, walające się po całym trawniku i zapaprane colesławem. Skojarzyły się Wiltowi z Clemem.

— Pies wraca do swoich wymiotów — powiedział inspektor Flint, najwyraźniej czytając w jego myślach.

Weszli na taras i zajrzeli przez okna do salonu. Ogród prezentował się źle, ale wewnątrz wyglądało po prostu strasznie.

— Zbijcie szybko w kuchni i wpuście nas — polecił inspektor wyższemu z wywiadowców.

Chwilę później okno salonu zostało odsunięte i weszli do środka.

— Nie musiałem używać siły — zameldował wywiadowca.

— Kuchenne drzwi były otwarte i to okno też. Najwyraźniej wyjechali w cholernym pośpiechu.

Inspektor rozejrzał się po pokoju i zmarszczył nos. Mieszanka zapachów — skwaśniałego ponczu, dymu ze świec i marihuany wciąż wypełniała cały dom.

— Jeśli wyjechali — powiedział złowieszczo i zerknął na Wilta.

— Musieli wyjechać — stwierdził Wilt, czując się wezwany do wygłoszenia jakiegoś komentarza. — Nikt by nie przeżył w takim bałaganie całego weekendu...

— Nie przeżył? Powiedziałaś „nie przeżył”? — zapytał Flint, nadeptując na kawałek przypalonego hamburgera.

— Chodziło mi o...

— Mniejsza o to, o co ci chodziło. Zobaczmy, co się tu stało.

Poszli do kuchni, gdzie panował podobny chaos, a potem do drugiego pokoju. To samo. Niedopałki papierosów zgaszone w filiżankach z kawą albo wdeptane w dywan. Kawałki połamanej płyty z *Piątą symfonią* Beethovena za kanapą. Zmięte poduszki pod ścianami. Ogarki świec w oblepionych stearyną butelkach. Dopełnieniem całej tej ohydy był narysowany czerwonym flamastrem na ścianie portret księżniczki Anny. Otaczali ją policjanci w hełmach, a poniżej widniał napis: GLINY WOKÓŁ ANUSI, KRÓLEWSKIEJ CIPUSI. UMARŁ HUIJ, NIECH ŻYJE PIZDA. To drugie zdanie wyrażało bez wątpienia pogląd powszechnie akceptowany w kręgach feministycznych, ale nie mogło zyskać Pringsheimom zbytniej sympatii inspektora Flinta.

— Masz niezłych przyjaciół, Wilt — powiedział.

— To nie są moi przyjaciele — zachnął się Wilt. — Dranie nawet nie znają ortografii.

Poszli na górę i zajrzeli do głównej sypialni. Łóżko było nie posłane, ubrania, przeważnie bielizna, wały się po całej podłodze i zwisały z szuflad, a na toaletce leżała otwarta buteleczka Masumi. Pokój cuchnął perfumami.

— Jezu Nazareński — westchnął inspektor, przyglądając się z niesmakiem suspensorium. — Brakuje tylko krwi.

Znaleźli ją w łazience. Doktor Scheimacher musiał się niezłe skaleczyć, bo opryskał wannę, kafelki, a nawet wiszące na jednym zawiasie drzwi.

— Wiedziałem — mruknął inspektor i utkwił wzrok w napisie nabazgranym na lustrze szminką.

Wilt też na niego spojrzał. Wydał mu się przesadnie osobistą wycieczką. GDY WILT PONCZ ŻŁOPAŁ, A EVA WIĘDŁA, KTO WTEDY BYŁ MĘSKĄ SZOWINISTYCZNĄ ŚWINIĄ?*

— Urocze — powiedział inspektor Flint i odwrócił się do Wilta, którego twarz przybrała barwę kafelków. — Pewnie nic o tym nie wiesz. To nie twoje dzieło?

— Wykluczone — odparł Wilt.

— A to? — spytał inspektor, wskazując plamy krwi w wannie. Wilt potrząsnął głową. — I pewnie z tym też nie miałaś nic wspólnego?

Pokazał krążek dopochwowy przybity gwoździem do ściany nad sedesem. PÓJDE Z PSZCZOŁĄ CIPKI SSAĆ, W KIELICHU KAPTURKA SPAC**. Wilt z obrzydzeniem odwrócił wzrok.

— Nie wiem, co powiedzieć — wymamrotał. — To wszystko jest takie okropne.

— Trafnie to ująłeś — zgodził się inspektor, po czym wrócił do spraw praktycznych. — Tutaj nie umarła.

— Skąd pan wie? — zapytał młodszy z wywiadowców.

— Za mało krwi. — Inspektor rozejrzał się niepewnie dookoła. — Z drugiej strony, jeden mocny cios...

* Parafraza tytułu kazania Johna Balla z czasów powstania chłopskiego Wata Tylera (1381) — „Gdy Adam ziemię kopał, a Ewa przędła, kto wtedy był szlachcicem?”

** Parafraza fragmentu *Burzy* W. Szekspira: „Pójdę z pszczołą kwiaty ssać, W kielichu pierwiosnka spać”. (Tłum. L. Ulrich.)

Poszli za plamami krwi do pokoju, w którym Wilt został uwięziony w łalce.

— Tylko niczego nie dotykajcie — powiedział inspektor, chwytając klamkę przez rękaw. — Chłopcy od odcisków palców będą tu mieli używanie. — Zobaczył zabawki w środku. — Pewnie dzieci też zarżnąłeś?

— Dzieci? — zdziwił się Wilt. — Nie wiedziałem, że mieli dzieci.
— Całe szczęście — stwierdził inspektor, który sam miał dwoje. — Biedne smyki zostały sierotami, ale przynajmniej żyją.

Wetknąwszy głowę w drzwi, Wilt zobaczył pluszowego misia i konia na biegunach.

— To rzeczy Gaskella — wyjaśnił. — Lubi się nimi bawić.

— Przed chwilą powiedziałeś, że nie mieli dzieci.

— Nie mają. Gaskell to doktor Pringsheim. Jest biochemikiem i zdaniem jego żony zatrzymał się w rozwoju.

Inspektor przyjrzał się Wiltowi z namysłem. Zatrzymanie było kwestią wymagającą starannego rozważenia.

— Jesteś może gotów przyznać się do winy? — zapytał bez większej nadziei.

— Nie jestem — odparł Wilt.

— Tak też sądziłem — westchnął inspektor. — Dobrze, zabierzcie go do komisariatu. Przyjadę tam później.

Wywiadowcy wzięli Wilta pod ręce. To przepełniło czarę.

— Puśćcie mnie! — zawołał. — Nie macie prawa tego robić. Nie macie...

— Wilt! — wrzasnął inspektor Flint. — To twoja ostatnia szansa. Przestań stawiać opór, bo oskarżę cię tu i teraz o zamordowanie żony.

Wilt przestał stawiać opór. Nie miał wyboru.

— Śruba? — zapytała Sally. — Przecież mówiłeś, że to korbowód.

— Pomyliłem się — odparł Gaskell. — Silnik się obraca, więc to nie korbowód. Może zaplątał się wał.

— W co się zaplątał?

— W wodorosty.

— To zanurkuj i sprawdź.

— W okularach? — zachnął się Gaskell. — Nic bym nie widział.

— Wiesz, że nie umiem pływać — powiedziała Sally. — Mam problem z nogą.

— Ja umiem — oświadczyła Eva.

— Obwiążemy cię liną, to nie utoniesz — wyjaśnił Gaskell. — Musisz tylko zanurkować pod łódź i pomacać, czy coś tam jest.

— Wiemy, co tam jest — mruknęła Sally. — Muł.

— Czy coś jest wokół śruby — dodał Gaskell. — Jeśli będzie, masz to zdjąć.

Eva poszła do kabiny i włożyła bikini.

— Doprawdy, Gaskell, chyba robisz to specjalnie. Najpierw miał być korbowód, a teraz śruba.

— Próbuję nas stąd wyciągnąć — odparł Gaskell. — Nie możemy siedzieć z założonymi rękami. Jutro muszę być w laboratorium.

— Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej — burknęła Sally. — Teraz brakuje nam tylko cholernego albatrosa.

— Już go mamy — stwierdził Gaskell, kiedy Eva wyszła z kabiny i włożyła czepek kąpielowy.

— Gdzie ta lina? — zapytała.

Gaskell znalazł linę i obwiązana nią w pasie Eva przelazła przez burtę do wody.

— Ale lód — zachichotała.

— To wina Golsztromu — wyjaśnił Gaskell. — Nie dociera tak daleko.

Eva odpłynęła kawałek i stanęła na dnie.

— Strasznie tu płytko i muli sto. — Trzymając się liny dojrnęła do rufy jachtu i zaczęła ją obmacywać pod wodą. — Nic nie czuję — zawołała.

— Śruba jest głębiej — poinstruował ją Gaskell.

Eva zanurkowała i dotknęła steru.

— To był ster — powiedział Gaskell, kiedy się wynurzyła.

— Wiem, że to był ster — odparła Eva. — Nie jestem głupia.

Zniknęła pod jachtem i tym razem znalazła śrubę, ale nic się wokół niej nie zaplątało.

— Po prostu siedzi w mule — oświadczyła. — Cała łódź siedzi w mule.

— A w czym ma siedzieć? — mruknął Gaskell. — Utknęliśmy na muliźnie.

Eva zanurkowała jeszcze raz, ale wał napędowy też był tylko zamulony.

— A nie mówiłam? — powiedziała Sally, kiedy wciągnęli Evę na pokład. — Kazałeś jej to zrobić, żeby ją zobaczyć w plastikowym bikini całą umazaną muliem. Chodź, dzióbasku Botticellego, Sally cię umyje.

— Chryste — jęknął Gaskell. — Hermafrodyta z morskiej piany.

Wrócił na rufę i popatrzył niepewnie na silnik. Może zablokował się przewód paliwowy. Nie było to zbyt prawdopodobne, ale musiał czegoś spróbować. Nie mogli tkwić na tej mieliźnie bez końca.

Na dziobie Sally myła Evę gąbką.

— Teraz dół — powiedziała, rozwiązując sznureczek.

— Och, Sally. Nie, Sally.

— Cipcia pipcia.

— Och, Sally, jesteś okropna.

Gaskell szarpał się z kluczem nastawnym. Cała ta terapia dotykowa zaczynała działać mu na nerwy. I nie tylko.

W ratuszu dyrektor robił, co mógł, aby uspokoić członków Rady Szkolnej domagających się wszczęcia oficjalnego dochodzenia w sprawie polityki kadrowej Sekcji Przedmiotów Ogólnokształcących.

— Wszystko państwu wyjaśnię — powiedział cierpliwie, patrząc po radzie, która składała się w równych częściach z ludzi interesu i żarliwych społeczników. — Na mocy Ustawy o Szkolnictwie z 1944 roku praktykanci winni być raz w tygodniu zwalniani z pracy, aby mogli uczęszczać na kursy dokształcające w college'ach technicznych.

— Wiemy o tym — odezwał się przedsiębiorca budowlany.

— Wiemy również, że jest to cholerna strata czasu i pieniędzy podatników. Gdybyśmy zagonili tych leni do roboty, nasza gospodarka byłaby w znacznie lepszym stanie.

— Zajęcia, na które uczęszczają — podjął dyrektor, uprzedzając protest społeczników — mają charakter zawodowy, z wyjątkiem jednej godziny, jednej obowiązkowej godziny przedmiotów ogólnokształcących. A trudność z przedmiotami ogólnokształcącymi polega na tym, że nikt nie wie, czym właściwie są.

— Przedmioty ogólnokształcające — zabrała głos pani Chatterway, uważająca się za orędowniczkę nowoczesnej edukacji, w której to roli przyczyniła się znacząco do wzrostu wskaźnika analfabetyzmu w kilku dobrych niegdyś szkołach podstawowych są szansą wpojenia społecznie upośledzonej młodzieży solidnych podstaw zarówno postępowych opinii, jak i zagadnień kulturalnych.

— Są nauką czytania i pisania — stwierdził dyrektor jakiejś firmy. — Na co komu pracownicy, którzy nie umieją przeczytać instrukcji.

— Są tym, czym kto tylko chce, żeby były — wtrącił pospiesznie dyrektor. — I jeśli stoi się przed koniecznością znalezienia wykładowców gotowych spędzić pół życia w towarzystwie monterów, tynkarzy lub drukarzy, którzy nie widzą sensu w chodzeniu do szkoły, i uczyć ich przedmiotu, który, ściśle biorąc, nie istnieje, nie można przebierać w kandydatach jak w ulegawkach. To jest jądro problemu.

Członkowie rady popatrzyli na niego z powątpiewaniem.

— Czyżby chciał pan powiedzieć, że wykładowcy przedmiotów ogólnokształcących nie są pełnymi poświęcenia i prawdziwie twórczymi jednostkami uprawiającymi swój zawód ze szczerego powołania? — spytała wojowniczo pani Chatterway.

— Nie — odparł dyrektor. — Nie chciałem tego powiedzieć. Próbuję tylko państwu wytłumaczyć, że wykładowcy przedmiotów ogólnokształcących różnią się od innych ludzi. Albo są dziwakami, albo się nimi stają. Tkwi to w naturze ich zawodu.

— Przecież wszyscy mają wysokie kwalifikacje — zauważyła pani Chatterway — wszyscy mają stopnie naukowe.

— To prawda. Mają stopnie naukowe i wysokie kwalifikacje, ale stresy, na które są narażeni, wyciskają na nich niezatarte piętno. Ujmę to w ten sposób: gdyby zatrudnić kardiochirurga do ucinania psom ogonów, trudno byłoby oczekiwać, że po dziesięciu latach tej pracy będzie jeszcze normalny. Wiercie mi państwo, to porównanie jest trafne, bardzo trafne.

— Mogę tylko powiedzieć — odezwał się przedsiębiorca budowlany — że nie wszyscy wykładowcy przedmiotów ogólnokształcących mordują swoje żony i wrzucają je do wykopów.

— A ja mogę powiedzieć — odparł dyrektor — że bardzo mnie to dziwi.

Zebranie zakończyło się bez sformułowania jakichkolwiek wniosków.

11.

Kiedy nad wschodnią Anglią wstał szary świt, Wilt siedział w pokoju przesłuchań na Komendzie Głównej Policji odcięty od świata natury, w całkowicie sztucznym środowisku, na które składał się stół, cztery krzesła, sierżant śledczy i lekko brzęcząca jarzeniówka na suficie. Nie było tam okien, tylko bladezielone ściany oraz drzwi, przez które od czasu do czasu wchodzili i wychodzili jacyś ludzie, a Wilt wyszedł i wszedł dwukrotnie, w towarzystwie posterunkowego, bo musiał skorzystać z ubikacji. Inspektor Flint poszedł o północy spać i jego miejsce zajął sierżant śledczy Yates, który kazał Wiltowi zacząć jeszcze raz od początku.

— Od jakiego początku? — zapytał Wilt.

— Od samego początku.
— Bóg stworzył niebo i ziemię i wszystkie...
Sierżant Yates przyjrzał mu się uważnie.
— Ten pokój jest dźwiękoszczelny — powiedział w końcu.
— Zauważyłem — odparł Wilt.
— Człowiek mógłby wypłuć sobie płuca od krzyku i nikt na zewnątrz nie byłby mądrzejszy.
— Mądrzejszy? — powtórzył Wilt z powątpiewaniem w głosie. — Mądrość i wiedza to dwie różne rzeczy.
Ktoś na zewnątrz może nie być tego świadom...
— Zamknij się — przerwał mu sierżant Yates.
Wilt westchnął.
— Gdybyście tylko pozwolili mi się przespać...
— Pozwolimy ci się przespać, kiedy nam powiesz, dlaczego zamordowałeś swoją żonę, gdzie ją zamordowałeś i jak ją zamordowałeś.
— Zapewne nic to nie da, jeśli powiem, że jej nie zamordowałem?
Sierżant Yates potrząsnął głową.
— Nic a nic. Wiemy, że to zrobiłeś. Sam wiesz, że to zrobiłeś. Wiemy, gdzie teraz jest. Wykopimy ją. Wiemy, że ją tam wrzuciłeś. Przyznałeś się do tego.
— Powtarzam, że wrzuciłem do tego wykopu nadmuchiwaną...
— Czy pani Wilt była nadmuchiwana?
— Jak chuj — warknął Wilt.
— No właśnie, więc zapomnijmy o tych bzdurach z lalką.
— Bardzo bym chciał zapomnieć — odparł Wilt. — Będę naprawdę szczęśliwy, kiedy ją wreszcie wykopiecie. Oczywiście musiała pęknąć pod całym tym betonem, ale nadal będzie można rozpoznać, że jest nadmuchiwaną plastikową lalką.
Sierżant Yates pochylił się ku niemu.
— Coś ci powiem. Nie łudź się, że kiedy wykopimy panią Wilt, nie będzie jej można rozpoznać. — Umilkł i wbił wzrok w Wilta. — Chyba że ją zdeformowałeś.
— Po co? — prychnął Wilt. — Kiedy ją ostatni raz widziałem, nie trzeba jej było deformować. Już wyglądała okropnie. Miała na sobie tę cytrynową pizzamę i całą twarz pokrytą... Wilt urwał. Sierżant patrzył na niego jakoś dziwnie.
— Krwią? — podsunął. — Chciałeś powiedzieć „krwią”?
— Nie — zaprzeczył Wilt. — Absolutnie nie. Chciałem powiedzieć pudrem. Białym pudrem i karminową szminką. Zwróciłem jej uwagę, że wygląda jak zmora.
— Wasze małżeństwo musiało być bardzo udane — zauważył sierżant. — Ja nie mam zwyczaju mówić żonie, że wygląda jak zmora.
— Bo pewnie nie ma pan zmorowato wyglądającej żony — odparł Wilt, próbując go udobruchać.
— Co mam, a czego nie mam, to moja prywatna sprawa. Moja żona nie jest przedmiotem tej dyskusji.
— Szczęściara — mruknął Wilt. — Wiele bym dał za to, żeby moja też nim nie była.
Koło drugiej dali spokój wyglądowi pani Wilt i przeszli do kwestii rozpoznawania zwłok na podstawie kart dentystrycznych.
— Widzę, że zęby pana fascynują — powiedział Wilt — ale ja o tej porze mogę się bez nich obejść.
— Macie może protezy?
— Nie, nie mam — zaprzeczył Wilt, odrzucając tę liczbę mnogą.
— Czy pani Wilt je miała?
— Nie — odparł Wilt. — Była zawsze bardzo...
— Dziękuję — przerwał mu sierżant Yates. — Wiedziałem, że to w końcu wyjdzie.
— Że co wyjdzie? — zapytał Wilt, który nadal myślał o zębach.
— To „była”. Czas przeszedł. Zdradziłeś się. Dobrze, więc przyznajesz, że twoja żona nie żyje. Pójdźmy dalej...
— Niczego takiego nie powiedziałem. Zapytał pan: „Czy miała protezy?”, a ja odparłem, że nie miała.
— Powiedziałeś „była”. Interesuje mnie to „była”. Gdybyś powiedział „jest”, sprawy miałyby się inaczej.
— Może brzmiałoby to inaczej — odrzekł Wilt, zwierając szyki obronne — ale w najmniejszym stopniu nie zmieniłoby faktów.
— Jakich faktów?
— Że moja żona prawdopodobnie jest gdzieś za miastem, cała i zdrowa...
— Znow się zdradziłeś, Wilt — stwierdził sierżant. — Teraz tym „prawdopodobnie”. A co do tego „cała i zdrowa”, oby się nie okazało, że jeszcze żyła, kiedy zalali ją betonem. Sąd nie byłby tym zachwycony.
— Nikt by nie był — mruknął Wilt. — A powiedziałem „prawdopodobnie”, bo kiedy człowiek jest cały dzień

i pół nocy przesłuchiwany przez jednego policjanta za drugim, może się zacząć zastanawiać, co się przytrafiło jego żonie. Może mu nawet przyjść do głowy, choć nic na to nie wskazuje, że jego żona rzeczywiście nie żyje. Niech pan posiedzi chwilę po tej stronie stołu, zanim zacznę mnie pan krytykować za używanie słów w rodzaju „prawdopodobnie”. Nie ma nic bardziej nieprawdopodobnego niż bycie oskarżonym o zamordowanie własnej żony, kiedy ktoś wie na pewno, że tego nie zrobił.

— Wierz mi, Wilt — powiedział sierżant — nie krytykuję twojego języka. Staram się tylko, tak cierpliwie, jak tylko potrafię, ustalić fakty.

— Fakty są takie — odparł Wilt. — Jak kompletny idiota popełniłem ten błąd, że wrzuciłem nadmuchiwaną lalkę do wykopu na budowie, ktoś zalał ją betonem, moja żona wyjechała...

— Wiem jedno — oznajmił sierżant Yates inspektorowi Flintowi, gdy ten o siódmej rano zgłosił się na służbę. — Trudno będzie gościa złamać. Gdyby mi pan nie powiedział, że nie jest notowany, przysięgłbym, że to stary recydywista, kuty na cztery nogi. Jest pan pewien, że w centralnej kartotece nic na niego nie mają?

Inspektor Flint potrząsnął głową.

— Nie zaczął jeszcze skamleć o adwokata?

— Ani pisał. Mówię panu, albo jest kompletnie szurnięty, albo już kiedyś przez to przechodził.

Wilt rzeczywiście już przez to przechodził. Dzień po dniu, rok po roku. Z pierwszą monterską i trzecią drukarską, z mechanikami i rzeźnikami. Spędził dziesięć lat, odpowiadając na głupie pytania, tłumacząc, dlaczego racjonalna postawa Prosiaczka jest lepsza od okrucieństwa Jacka, dlaczego optymizm Panglossa nas nie przekonuje, dlaczego Orwell nie chciał zastrzelić tego przekłętą słoniu ani powiesić tego człowieka, i bez przerwy odpierając słowne ataki, które miały zrobić zeń ruinę człowieka, jaką stał się biedny Pinkerton, zanim się zagazował. W porównaniu z czwartą murarską sierżant Yates i inspektor Flint byli kaszką z mlekiem. Jeśli tylko pozwolą mu się trochę przespać, może ich wpuszczać w kanał nielogiczności bez końca.

— Raz już myślałem, że go mam — powiedział sierżant, gdy konferowali z Flintem w korytarzu. — Naprowadziłem go na zęby.

— Na zęby?

— Wyjaśniałem mu, że zawsze można zidentyfikować zwłoki na podstawie karty dentystycznej, i prawie przyznał, że jego żona nie żyje. Ale potem znów mi się wymknął.

— Zęby, tak? To ciekawe. Będę musiał pójść tym tropem. Może to jego słaby punkt.

— Powodzenia — odparł sierżant. — Ja idę spać.

— Zęby? — powtórzył Wilt. — Znowu? Myślałem, że wyczerpaliliśmy ten temat. Pana poprzednik o to, czy Eva je miała, spytał mnie w czasie przeszłym. Powiedziałem, że tak i...

— Wilt — przerwał mu inspektor Flint — nie jestem ciekaw, czy pani Wilt miała zęby. Zakładam, że tak. Chcę natomiast wiedzieć, czy ma je nadal. Czas terazniejszy.

— Przypuszczam, że ma — odparł cierpliwie Wilt. — Niech ją pan spyta, kiedy się odnajdzie.

— A czy kiedy się odnajdzie, będzie w stanie odpowiadać na pytania?

— Skąd, do diabła, mam wiedzieć? Ale powiem panu, że jeśli z jakiegoś tajemniczego powodu straciła wszystkie zęby, będzie zła jak diabli, bo bardzo o nie dba. Obsesyjnie je czyści i wrzuca kawałki nici dentystycznej do klozetu. Nie wyobraża pan sobie, ile razy myślałem, że mam robaki.

Inspektor Flint westchnął. Może i sierżant Yates odniósł jakiś sukces z zębami, ale on nie potrafił go powtórzyć. Postanowił zmienić temat.

— Może wrócimy do tego, co się wydarzyło na przyjęciu u Pringsheimów?

— Może nie — odparł Wilt, któremu jak dotąd udało się przemilczeć łożenkowe perypetie z lalką. — Opowiadałem już o tym pięć razy i zaczyna mi brakować konceptu. Zresztą to było obleśne przyjęcie. Tłum intelektualnych snobów podbijających sobie nawzajem bębenka.

— Czy określiłbyś siebie, Wilt, jako człowieka zamkniętego w sobie? Typ odludka?

Wilt poważnie się zastanowił. Z pewnością to pytanie było bardziej sensowne niż drażnienie kwestii zębów.

— Aż tak, to nie — odrzekł w końcu. — Jestem raczej spokojny, co nie znaczy, że nie jestem towarzyski. Muszę taki być, żeby dawać sobie radę z grupami, które uczę.

— Ale nie lubisz przyjęć?

— Nie lubię takich przyjęć, jak to u Pringsheimów.

— Ich zwyczaj seksualne cię mierzają? Budzą w tobie odrazę?

— Ich zwyczaj seksualne? Nie wiem, dlaczego pyta pan akurat o nie. Mierzi mnie w tych ludziach wszystko. Na przykład chrzanie o wyzwoleniu kobiet, kiedy dla kogoś takiego jak pani Pringsheim oznacza ono tylko tyle, że może się zachowywać jak suka w rui, podczas gdy jej mąż tyra cały dzień przy gorącej próbówce, a po

przyjściu do domu gotuje kolację, zmywa naczynia i cieszy się, jeśli starczy mu energii, żeby przed snem zwalić konia. Gdybyśmy mówili o prawdziwym wyzwoleniu kobiet, to co innego. Nie mam nic przeciwko...

— Zatrzymajmy się tutaj — powiedział inspektor. — Zainteresowały mnie dwie kwestie, które poruszyłeś. Po pierwsze, żony zachowujące się jak suki w rui. Po drugie, twoje walenie konia.

— Moje? — zachnął się Wilt — Nie mówiłem o sobie.

— Nie?

— Nie.

— Więc się nie onanizujesz?

— Niech pan posłucha, inspektorze. Pyta pan o sferę życia, które jest moją prywatną sprawą. Jeśli chce się pan czegoś dowiedzieć o onanizmie, proszę przeczytać Raport Kinseya.

Inspektor Flint z trudem się opanował i zaczął z innej beczki.

— Więc kiedy pani Pringsheim położyła się na łóżku i poprosiła, żebyś odbył z nią stosunek...

— Żebym ją zerznął — sprostował Wilt.

— ...ty jej odmówiłeś?

— Zgadza się — potwierdził Wilt.

— Czy nie jest to trochę dziwne?

— Co? Jej propozycja czy moja odmowa?

— Twoja odmowa.

Wilt popatrzył na inspektora z niedowierzaniem.

— Dziwne? — powtórzył. — Dziwne? Jakaś kobieta wchodzi do tego pokoju, kładzie się na stole, zadziera kciekę i mówi: „Zerznij mnie, dzióbasku, zrób mi dobrze”. Wskoczy pan na nią, wołając: „Super, zabawmy się, mała”? Czy to by nie było dziwne?

— Jezu Chryste, Wilt — warknął inspektor — wyczerpujesz pieprzoną miarę mojej cierpliwości.

— Myślałby kto — odparł Wilt. — Wiem tyle, że pańskie pojęcie dziwnego zachowania jest co najmniej dziwne.

Inspektor Flint wstał i wyszedł.

— Zabiję drania, jak Boga kocham, zabiję! — krzyknął do sierżanta dyżurnego.

W pokoju przesłuchań Wilt oparł głowę o stół i usnął.

*

W college'u nieobecność Wilta odczuwało się na wiele sposobów. Pan Morris musiał poprowadzić zajęcia z pierwszą monterską i po godzinie wyszedł z sali z uczuciem, że rozumie już, dlaczego Wilt wkroczył nagle na drogę zbrodni. Wicedyrektor odpierał ataki hord dziennikarzy pragnących dowiedzieć się czegoś więcej o człowieku, który pomaga policji w dochodzeniu w sprawie wyjątkowo makabrycznego i sensacyjnego morderstwa. A dyrektor zaczynał żałować, że skrytykował Przedmioty Ogólnokształcące przed Radą Szkolną, ponieważ pani Chatterway zadzwoniła, aby mu powiedzieć, że jego uwagi były w jak najgorszym guście, i napomknęła, że zamierza wystąpić o zbadanie pracy sekcji. Ale największy popłoch powstał na zebraniu rady pedagogicznej.

— Wizytatorzy z Ministerstwa Edukacji będą tu w piątek — oświadczył doktor Mayfield, kierownik Socjologii. — W obecnych okolicznościach jest mało prawdopodobne, aby zaaprobowali nasze interdyscyplinarne magisterium.

— Jeśli mają choć odrobinę oleju w głowie, nie zaaprobowują go w żadnych okolicznościach — odezwał się doktor Board. — Socjologia miasta i poezja średniowieczna, też coś. Wiem, że naukowy eklektyzm jest teraz w modzie, ale swatanie Lewisa Mumforda z Helen Waddell to już lekka przesada. Poza tym nie jest to kurs na poziomie akademickim.

Doktor Mayfield się zjeżył. Poziom akademicki był jego mocnym punktem.

— Nie rozumiem, jak może pan tak twierdzić. Kurs został ukierunkowany na potrzeby studentów szukających podejścia tematycznego.

— Ci biedni idioci, których udaje nam się podebrać uniwersytetom, nie mają pojęcia, co to jest podejście tematyczne — odparł doktor Board. — I szczerze mówiąc, ja też.

— Wszyscy mamy jakieś ograniczenia — zauważył uprzejmie doktor Mayfield.

— Właśnie — odrzekł doktor Board — i w obecnych okolicznościach powinniśmy się do nich przyznać, zamiast wymyślać kursy interdyscyplinarne dla studentów, którzy, sądząc po wynikach ich matur, nie rozumieją nawet słowa „dyscyplina”. Jestem jak najbardziej za stwarzaniem szans edukacyjnych, ale...

— Rzecz w tym — przerwał mu doktor Cox, kierownik Nauk Ścisłych — że celem tej wizytacji nie jest ocena kursu. O ile rozumiem, zasadniczo już go zaaprobowali. Przyjeżdżają, aby obejrzeć sam college, i obecność tylu śledczych z wydziału zabójstw raczej nie robi na nich dobrego wrażenia. Ta niebieska furgonetka jest wyjątkowo odstręczająca.

— Nie mówiąc o pani Wilt wmurowanej w fundamenty — dodał doktor Board.

— Używam wszelkich wpływów, żeby policja usunęła ją z...

— Programu? — zapytał doktor Board.

— Terenu — odparł doktor Mayfield. — Niestety, napotkali pewną przeszkodę.

— Jaką przeszkodę?

— Litą skałę na głębokości jedenastu stóp.

Doktor Board uśmiechał się.

— Ciekawe, po co były potrzebne wykopy głębokości trzydziestu stóp, jeśli na jedenastu jest skała — mruknął.

— Powtarzam tylko, co powiedziała mi policja — odrzekł doktor Mayfield. — Obiecali jednak, że zrobią, co w ich mocy, aby do piątku opuścić plac budowy. Chciałbym teraz raz jeszcze omówić program wizytacji. Zaczniemy o godzinie jedenastej od inspekcji biblioteki głównej. Potem podzielimy się na grupy, aby zaprezentować biblioteki wydziałowe i zaplecze techniczne, podkreślając przy tym nasze możliwości w zakresie prowadzenia nauczania indywidualnego.

— Nie sądzę, aby trzeba je było podkreślać — wtrącił doktor Board. — Nabór tak spada, że niedługo możemy mieć więcej wykładowców niż studentów.

— Jeżeli tak będziemy do tego podchodzić, wizytatorzy odniosą wrażenie, iż nie zależy nam na tym kursie — stwierdził doktor Mayfield. — Musimy prezentować zjednoczony front. Na tym etapie nie możemy sobie pozwolić na podziały. Od tego kursu zależy, czy uzyskamy status politechniki.

Podziały istniały również w ekipie pracującej na placu budowy. Majster łykał w domu środki uspokajające, doznawszy wstrząsu nerwowego w związku ze swym udziałem w zabetonowaniu zamordowanej kobiety, i przebieg operacji nadzorował Barney.

— Wyciągała tę rękę — powiedział głównodowodzącemu sierżantowi.

— Z której strony?

— Z prawej — odparł Barney.

— Więc kopujemy z lewej. W ten sposób jej nie przetniemy.

Zaczęli kopać z lewej i przecięli główny kabel doprowadzający prąd do stołówki.

— Mniejsza o tę cholerną rękę — oświadczył sierżant. — Kopujemy z prawej i trzymamy kciuki. Bylebyśmy tylko nie przerznęli baby na pół.

Zaczęli kopać z prawej i na głębokości jedenastu stóp trafili na litą skałę.

— Strasznie spowolni to robotę — zauważył Barney. — Kto by pomyślał, że będzie tu skała.

— Kto by pomyślał, że jakiś czubek wmurowuje swoją połowicę w fundamenty placówki oświatowej, której jest pracownikiem — odparł sierżant.

— Makabra — przyznał Barney.

Tymczasem grono pedagogiczne jak zwykle podzieliło się na frakcje. Peter Braintree przewodził tym, którzy wierzyli w niewinność Wilta, i zyskał poparcie nowej lewicy, hołdującej zasadzie, że każdy, kogo czepiają się gliny, musi być w porządku. Major Millfield zareagował jak należy i poprowadził prawicę przeciwko Wiltowi, zgodnie z założeniem, że każdy, kogo popiera lewica, musi być nie w porządku, a poza tym policja wie, co robi. Poruszono tę kwestię na zebraniu związkowym zwołanym w celu omówienia dorocznych żądań płacowych. Major Millfield wystąpił z wnioskiem, aby związek poparł kampanię na rzecz przywrócenia kary śmierci. Bill Trent złożył kontrwniosek o wyrażenie solidarności z bratem Wiltem. Peter Braintree zaproponował składkę na pokrycie ewentualnych kosztów sądowych. Doktor Lomax, kierownik Handlu, sprzeciwił się temu i zauważył, że rozczłonkując żonę, Wilt okrył hańbą profesję nauczycielską. Braintree odparł, że Wilt nikogo nie rozczłonkował, że nawet policja tego nie sugeruje i że istnieje paragraf na zniesławienie. Doktor Lomax wycofał swą uwagę. Major Millfield stwierdził, że są obiektywne podstawy, by sądzić, że Wilt zabił swoją żonę, a poza tym w Rosji nie ma *habeas corpus*. Bill Trent odparł, że kary śmierci również. Major Millfield mruknął: „Koszalki-opalki”. W końcu, po długiej dyskusji, wniosek majora Millfielda o wieszaniu przeszedł dzięki głosom Sekcji Gastronomii, a propozycja Braintree'ego i wniosek nowej lewicy upadły, po czym uchwalono żądanie czterdziestopięcioprocentowej podwyżki płac, która pozwoliłaby wykładowcom uczelni technicznych dogonić pracowników innych sektorów. Później Peter Braintree poszedł na komisariat, aby sprawdzić, czy Henry czegoś nie potrzebuje.

— Czy mógłbym się z nim zobaczyć? — zapytał sierżanta dyżurnego.

— Niestety nie — odparł sierżant. — Pan Wilt nadal pomaga nam w dochodzeniu.

— To może mógłbym mu coś przynieść? Niczego nie potrzebuje?

— Pan Wilt ma wszystko, czego mu trzeba — uspokoił go sierżant, prywatnie będący zdania, że jeśli Wilt

czegoś potrzebuje, to psychiatry.

— Ale czy nie powinien mieć adwokata?

— Kiedy pan Wilt poprosi o adwokata, natychmiast go wezwiemy — odparł sierżant. — Zapewniam pana, że dotychczas o niego nie poprosił.

*

Wilt istotnie nie prosił o adwokata. Po trzech godzinach snu w celi, o dwunastej w południe, został zaprowadzony do policyjnej stołówki, gdzie zjadł obfite śniadanie. Wrócił do pokoju przesłuchań błady, nie ogolony i z jeszcze większym poczuciem nierzeczywistości.

— No, Henry — powiedział inspektor Flint, zniżając oficjalną nomenklaturę o oktawę, w nadziei, że Wilt zareaguje pozytywnie — co z tą krwią?

— Z jaką krwią? — zapytał Wilt, rozglądając się po sterylnym pomieszczeniu.

— Z krwią na ścianach łazienki w domu Pringsheimów. Z krwią na korytarzu. Nie wiesz przypadkiem, skąd się tam wzięła?

— Nie — odparł Wilt. — Mogę tylko przypuszczać, że ktoś krwawił.

— Owszem — mruknął inspektor. — Kto?

— Niech mnie pan zabije.

— Nie kuś mnie, Henry. Wiesz, co znaleźliśmy w twojej szafie?

Wilt potrząsnął głową.

— Nie domyślasz się?

— Ani trochę — odrzekł Wilt.

— Szare spodnie z plamami krwi — oświadczył inspektor. — Z plamami krwi, Henry.

— To żadna niespodzianka — zauważył Wilt. — Gdyby dobrze poszukać, można by znaleźć poplamioną krwią odzież w każdej szafie. Rzecz w tym, że nie byłem na przyjęciu u Pringsheimów w szarych spodniach. Byłem w dżinsach.

— W dżinsach? Jesteś pewien?

— Tak.

— Więc plamy krwi na ścianie łazienki i plamy krwi na twoich szarych spodniach nie mają ze sobą nic wspólnego?

— Panie inspektorze — powiedział Wilt — jestem jak najdalej od tego, aby pana pouczać, jak powinien pan wykonywać swój zawód, ale macie sekcję techniczną, która specjalizuje się w porównywaniu plam krwi. Może pan skorzystać z pomocy kolegów, aby ustalić...

— Wilt — przerwał mu inspektor — jeżeli będę kiedyś potrzebował twojej rady co do tego, jak mam prowadzić śledztwo w sprawie morderstwa, nie tylko o nią poproszę, lecz także ustąpię z policji.

— No więc? — zapytał Wilt.

— No więc co?

— Czy pasują? Czy te plamy krwi do siebie pasują?

Inspektor popatrzył nań ponuro.

— A gdybym ci powiedział, że tak?

Wilt wzruszył ramionami.

— Nie mam podstaw, aby z panem dyskutować. Jeśli mówi pan, że pasują, wierzę, że pasują.

— Nie pasują — burknął inspektor Flint. — Co niczego nie dowodzi — dodał, zanim Wilt zdążył się nasycić satysfakcją. — Absolutnie niczego. Zagięły trzy osoby. Pani Wilt, która leży na dnie wykopu... Nie, Wilt, proszę, nie mów tego. A także doktor Pringsheim i pieprzona Pringsheimowa.

— Dobrze — stwierdził Wilt z uznaniem. — Bardzo dobre.

— Co?

— Pieprzona Pringsheimowa. Bardzo trafne określenie.

— Pewnego dnia, Wilt — odparł cicho inspektor — przekroczysz granicę.

— Pańskiej cierpliwości? — zapytał Wilt.

Inspektor skinął głową i zapalił papierosa.

— Wie pan co, inspektorze — odezwał się Wilt, czując, że zaczyna zyskiwać przewagę — za dużo pan pali. To jest szkodliwe. Powinien pan spróbować...

— Wilt! — wrzasnął inspektor. — W ciągu dwudziestu pięciu lat służby w policji ani razu nie uciekłem się do przemocy fizycznej podczas przesłuchiwania podejrzanych, ale przychodzi taki moment... i podejrzany, kiedy mimo najlepszych chęci...

Inspektor wstał i wyszedł. Wilt oparł się o krzesło i podniósł wzrok na jarzeniówkę. Mogłaby przestać brzęczeć. Działo mu to na nerwy.

12.

Na Karpim Kanale — Gaskell źle odczytał mapę i nie byli ani w Żabim Zakolu, ani na Żurawim Zalewie — sytuacja działała wszystkim na nerwy. Wysilki Gaskella, aby naprawić silnik, odniosły wręcz przeciwny skutek. Kokpit spływał olejem napędowym i trudno było przejść po pokładzie, żeby się nie pośliznąć.

— Jezu, Gas, można by pomyśleć, że jesteśmy na jakiejś choleralnej platformie wiertniczej — powiedziała Sally.

— To przez ten pieprzony przewód paliwowy — odparł Gaskell. — Nie mogłem go z powrotem złożyć.

— Więc po co zapalałeś silnik z rozłożonym?

— Żeby sprawdzić, czy nie jest zatkany.

— Teraz już wiesz. I co zamierzasz zrobić? Siedzieć tu, aż skończy się jedzenie? Musisz coś wymyślić.

— Dlaczego ja? Sama coś wymyśl.

— Gdybyś był prawdziwym mężczyzną...

— Cholera — mruknął Gaskell. — Słowa wyzwolonej kobiety. Pojawiają się trudności i nagle mam być mężczyzną. Co z tobą, babochłopie? Chcesz się stąd wydostać, poradź sobie sama. Nie proś mnie, żebym był mężczyzną przez duże M w krytycznej sytuacji. Zapomniałem, jak to się robi.

— Musi być jakiś sposób, żeby wezwać pomoc — stwierdziła Sally.

— Jasne. Wejź na bocianie gniazdo i rozejrzyj się. Zobaczysz wyłącznie swoje ulubione pałki.

Sally wspięła się na dach kabiny i zlustrowała wzrokiem horyzont. Był trzydzieści stóp od niej zlewający się z beżem trzciny.

— Widzę coś, co wygląda jak wieża kościelna — oznajmiła po chwili.

Gaskell stanął obok niej.

— To je s t wieża kościelna. I co z tego?

— Gdybyśmy błysnęli latarką czy czymś, ktoś mógłby to zobaczyć.

— Rewelacja. Na szczycie wieży kościelnej siedzi tłum ludzi, którzy tylko czekają, żebyśmy błysnęli latarką.

— Nie moglibyśmy czegoś spalić? — zapytała Sally. — Ktoś zobaczyłby dym i...

— Oszalałaś? Wszędzie jest ropa. Zapal tylko zapalkę, a ktoś rzeczywiście coś zobaczy. Wylatujący w powietrze jacht.

— Moglibyśmy napełnić ropą jakąś puszkę, puścić ją na wodę i zapalić, jak będzie trochę dalej.

— I podpalić trzciny? Co ty, do diabła, chcesz zrobić? Wywołać pieprzony holocaust?

— Dzióbasku, ty wszystko krytykujesz.

— Bo myślę — odparł Gaskell. — Wpadaj dalej na takie genialne pomysły, a wpakujesz nas w jeszcze gorszy pasztet.

— Nie rozumiem, dlaczego — stwierdziła Sally.

— Powiem ci, dlaczego. Bo ukradłaś tego pieprzonego Titanica, dlatego.

— Nie ukradłam go. Ja...

— Powiedz to glinom. Może ci uwierzą. Weź się za podpalanie trzciny, a zaraz tu będą i zaczną pytać, czyja to kłód i dlaczego żeglujemy cudzym jachtem... Musimy się stąd wydostać bez hałasu.

Zaczęło padać.

— Tylko tego brakowało — mruknął Gaskell. — Deszczu.

Sally zeszła do kabiny, gdzie Eva sprzątała po lunchu.

— Boże, Gas jest beznadziejny. Najpierw pakuje nas na mieliznę na jakimś zadupiu, potem na amen rozpieprza silnik, a teraz mówi, że nie wie, co zrobić.

— Nie może sprowadzić pomocy? — zapytała Eva.

— Jak? Wpław? Gas nie dopłynąłby tak daleko, nawet gdyby zależało od tego jego życie.

— Nie musiałby płynąć — odparła Eva. — Mógłby wziąć materac i powiosłować na otwartą przestrzeń.

— Materac? Powiedziałaś materac? Jaki materac?

— Jest w schowku z kapokami. Wystarczy go nadmuchać i...

— Skarbie, jakaś ty praktyczna — powiedziała Sally i wypadła na pokład. — Gas, Eva znalazła sposób, żebyś mógł sprowadzić pomoc. W schowku z kapokami jest materac.

Pogrzebała w schowku i wyjęła go.

— Jeśli myślisz, że gdzieś na tym cholerstwie popłynę, to stuknij się w głowę — odrzekł Gaskell.

— Co ci się znowu nie podoba?

— Przy tej pogodzie? Próbowalaś kiedyś sterować takim materacem? Jest to dostatecznie trudne w słoneczny dzień, gdy nie ma wiatru. Teraz zmiotłoby mnie w trzciny, a poza tym deszcz zalewa mi okulary.

— Dobrze, więc zaczekamy, aż przestanie padać. Ale przynajmniej wiemy, jak się stąd wydostać.

Sally wróciła do kabiny i zamknęła drzwi. Gaskell ukucnął przy silniku i zaczął bawić się kluczem. Gdyby

tylko udało mu się draństwo uruchomić.

— Mężczyźni — prychnęła z pogardą Sally. — Uważają się za silniejszą płęć, ale jak przyjdzie co do czego, to my, kobiety, musimy ich ratować.

— Henry też jest niepraktyczny — odparła Eva. — Ledwo potrafi wymienić korki. Mam nadzieję, że się o mnie nie martwi.

— Używa sobie za wszystkie czasy — stwierdziła Sally.

— Nie Henry. Nie potrafiłby.

— Pewnie zabawia się z Judy.

Eva potrząsnęła głową.

— Był po prostu pijany. Nigdy przedtem czegoś takiego nie zrobił.

— Skąd wiesz?

— Jest moim mężem.

— Mężem srężem. Wykorzystuje cię, żebyś mu gotowała i sprzątała. Co on ci daje? No powiedz mi, co?

Eva biła się z myślami. Henry niczego jej specjalnie nie dawał. Niczego, co mogłaby ująć w słowa.

— Jestem mu potrzebna — oświadczyła w końcu.

— A kto potrzebuje być potrzebny? To retoryka kobiecego feudalizmu. Czy jak uratujesz komuś życie, masz być mu wdzięczna za to, że ci pozwolił? Opuść sobie Henry'ego. To kretyn.

Eva zjeżyła się. Henry miał swoje wady, ale nie życzyła sobie, aby go obrażano.

— Gaskell też nie jest ósmym cudem świata — mruknęła i poszła do kambuza.

Sally położyła się na koi i otworzyła rozkładówkę „Playboya”.

— Gaskell ma szmalec — powiedziała,

— Szmalec?

— Forse, skarbie. Zielone. To, co sprawia, że świat się kręci jak w *Kabarecie*. Myślisz, że wyszłam za niego dla urody? Co to to nie. Potrafię wyczuć okrągły milion, kiedy go mam w zasięgu ręki.

— Nie mogłabym wyjść za mąż dla pieniędzy — odparła sztywno Eva. — Musiałabym być zakochana. Bezwarunkowo.

— Widziałś za dużo filmów. Myślisz, że Gaskell był we mnie zakochany?

— Nie wiem. Chyba musiał być.

Sally wybuchnęła śmiechem.

— Evo, dzióbasku, jakaś ty naiwna! Coś ci powiem o Gasie. Jego rajcuje plastik. Przeleciałby szympansię, gdyby ją ubrać w coś plastikowego.

— Na pewno nie — stwierdziła Eva. — Nie wierzę w to.

— A po co ci kazałam brać pigułki? Chodzisz w tym kostiumie i Gaskell cały czas się ślini. Gdyby mnie tu nie było, już dawno by cię zgwałcił.

— Nie dałby rady — zauważyła Eva. — Trenowałam dzudo.

— Na pewno by spróbował. Wszystko, co jest w plastiku, doprowadza go do szaleństwa. Jak myślisz, dlaczego miał tę lalkę?

— Zastanawiałam się nad tym.

— Możesz się przestać zastanawiać — mruknęła Sally.

— Ale co to ma wspólnego z tym, że za niego wyszłaś? — spytała Eva.

— Zdradzę ci mały sekret. Gaskell został do mnie skierowany...

— Skierowany?

— Przez doktora Freeborna. Gaskell zwrócił się ze swoim problemem do doktora Freeborna i doktor Freeborn przysłał go do mnie.

Na twarzy Evy odmalowało się zdziwienie.

— Ale co niby miałaś zrobić?

— Byłam surogatem — odparła Sally.

— Czym?

— Czymś w rodzaju terapeutki seksualnej — wyjaśniła Sally. — Doktor Freeborn przysyłał mi klientów, a ja im pomagałam.

— Nie podobałaby mi się taka praca — stwierdziła Eva. — Nie mogłabym rozmawiać z mężczyznami o seksie. Nie czułaś się skrepowana?

— Można do tego przywyknąć i są gorsze sposoby zarabiania na życie. Tak więc Gas przyszedł do mnie ze swoim problemem, postawiłam go na nogi i nie tylko, i wzięliśmy ślub. Transakcja handlowa, gotówka za towar.

— To znaczy, że...

— To znaczy, że ja mam Gaskella, a Gaskell ma plastik. To związek elastyczny. Małżeństwo rozciągliwe w obie strony.

Eva z trudem przełknęła te informacje. Coś było tutaj nie w porządku.

— Czy rodzice Gaskella nie mieli nic do powiedzenia? — zapytała. — Wyjaśnił im, że mu pomagasz i tak dalej?

— A co mogli powiedzieć? Gas skłamał, że poznał mnie na letnim kursie i Pringsy'emu wyszły na wierzch te małe chciwe oczka. Dzióbasku, ale ten mały grubas miał erekcję. Wiedział, co to dobry interes. Umiałby sprzedać Rockefeller Centre Rockefellerowi. Więc mnie zaakceptował. Mamuśka Pringsheim nie. Bzdyczyła się i psioczyła, ale ta mała myszka nie puściła sera z pyszczka. Wróciliśmy do Kalifornii, Gas zrobił dyplom z plastiku i od tej pory jesteśmy biodegradowalni.

— Cieszę się, że Henry taki nie jest — powiedziała Eva. — Nie mogłabym żyć z dziwadłem.

— Gas nie jest dziwadłem, skarbie. Jak mówiłam, ma bzika na punkcie plastiku.

— Jeśli to nie jest dziwne, nie wiem, co w takim razie jest — odparła Eva.

Sally zapaliła cygaretkę.

— Każdego mężczyznę coś rajcuje — oświadczyła. — Trzeba tylko odkryć co, a wtedy można nim manipulować.

— Henry nie jest taki. Wiedziałabym, gdyby był.

— Przeleciał lalkę. Oto ile wiesz o Henrym. Chcesz mi powiedzieć, że jest świetnym kochankiem?

— Jesteśmy małżeństwem od dwunastu lat. To naturalne, że nie robimy tego tak często jak kiedyś. Mamy inne zajęcia.

— Zajęcia sręcia. A co robi Henry, jak ty pilnujesz domowego ogniska?

— Wykłada w college'u. Spędza tam cały dzień i wraca do domu zmęczony.

— Wykłada czy wkłada? Zaraz mi powiesz, że nie ma boków.

— Nie wiem, co to znaczy — odparła Eva.

— Że cię zdradza. Na przykład ze swoją sekretarką.

— Henry nie ma sekretarki.

— No to ze studentkami. Egzaminuje je na kanapie w gabinecie. Wiem, widziałam takie rzeczy. Spędziłam w college'ach za dużo czasu, żeby dać się oszukać.

— Jestem pewna, że Henry nigdy by...

— Wszystkie tak mówią, a potem bum, rozwód, i pozostaje ci tylko czekanie na menopauzę, podglądanie sąsiada przez żaluzje i wzywanie hydraulika.

— Przedstawiasz to wszystko tak okropnie — powiedziała Eva.

— Bo to jest okropne, cycuszku. To jest okropne. Musisz coś zrobić, zanim będzie za późno. Musisz się wyzwolić od Henry'ego. Zerwać małżeńskie pęta. Nie możesz być ofiarą męskiej dominacji do końca życia.

Eva usiadła na koi i zamyśliła się nad przyszłością. Nie mogła jej raczej przynieść zbyt wiele. Nie będą mieli dzieci i nigdy nie dojdą do pieniędzy. Będą dalej mieszkać przy Parkview Avenue i spłacać kredyt hipoteczny, a Henry może odejść z inną i co ona wtedy pocznie? A jeśli nawet nie odejść, to i tak życie przechodzi obok niej.

— Chciałabym wiedzieć, co mam robić — powiedziała w końcu.

Sally usiadła i objęła ją ramieniem.

— Może pojedziesz z nami w listopadzie do Stanów? — zaproponowała. — Świetnie byśmy się bawiły.

— Och, nie mogłabym tego zrobić — odparła Eva. — To nie byłoby fair wobec Henry'ego.

Inspektor Flint nie miał takich skrupułów. Niewzruszoność Wilita w obliczu intensywnej indagacji wzbudziła w nim tylko przekonanie, że jest twardszy, niż się wydawał.

— Przesłuchujemy go od trzydziestu sześciu godzin — powiedział funkcjonariuszom z Wydziału Zabójstw zebranych w pokoju odpraw — i nic z niego nie wyciągnęliśmy. Znosi się na długie, żmudne śledztwo i szczerze mówiąc, mam wątpliwości, czy uda nam się go złamać.

— Powiedziałem panu, że jest kuty na cztery nogi — wtrącił sierżant Yates.

— Więc musimy go odkuć — odparł Flint. — Musimy mieć murowane dowody.

Rozległ się chichot, który szybko zamarł. Inspektor Flint nie był w nastroju do żartów.

— Tylko dowody, niezbite dowody, mogą go zmiękczyć. Tylko dowody mogą go zmusić do przyznania się do winy.

— Mamy taki dowód — zauważył Yates. — Leży na dnie...

— Dziękuję, sierżancie, doskonale wiem, co gdzie leży. Chodzi mi o dowody wielokrotnego zabójstwa. Oprócz pani Wilt zaginęli doktor Pringsheim i jego żona. Sądzę, że zamordował wszystkich troje, i że pozostałe dwa ciała...

Inspektor urwał, otworzył leżącą przed nim teczkę i odszukał notatki na temat „Przemocy i upadku życia rodzinnego”. Postudiował je chwilę i potrząsnął głową.

— Nie — wymamrotał — to niemożliwe.

— Co takiego, sir? — zapytał sierżant Yates. — Z tym draniem wszystko jest możliwe.

Inspektor Flint nie zareagował. Myśl, która przyszła mu do głowy, była zbyt okropna.

— Jak mówiłem — podjął — potrzebujemy niezbitych dowodów. Na razie są tylko poszlaki. Muszę mieć więcej informacji o Pringsheimach. Chcę wiedzieć, co się wydarzyło na tym przyjęciu, dlaczego się wydarzyło i kto tam był, a z Wilta tego nie wyciągniemy. Snell, idź na Wydział Biochemii i wypytaj wszystkich o doktora Pringsheima. Dowiedz się, czy jacyś jego koledzy byli na tym przyjęciu. Porozmawiaj z nimi. Zrób listę jego przyjaciół, jego zainteresowań, jego kochanek, jeśli je miał. Ustal, czy coś go łączyło z panią Wilt, coś, co mogłoby stanowić motyw. Jackson, ty idź na Rossiter Grove i spróbuj się czegoś dowiedzieć o pani Pringsheim...

Po zakończeniu narady wywiadowcy rozproszyli się po całym mieście w celu zgromadzenia dossier Pringsheimów. Skontaktowano się nawet z ambasadą amerykańską, aby ustalić, co wiadomo o nich w Stanach. Dochodzenie w sprawie morderstwa ruszyło na dobre.

Inspektor Flint poszedł z sierżantem Yatesem do swojego gabinetu i zamknął drzwi.

— Yates — powiedział — to informacja poufna. Nie chciałem mówić o tym przy wszystkich, ale mam paskudne przeczucie, że wiem, dlaczego ten drań jest tak cholernie pewny siebie. Widziałeś kiedyś mordercę, który siedzi twardy jak głaz przez trzydzieści sześć godzin przesłuchania, wiedząc, że zlokalizowaliśmy zwłoki jego ofiary niemal co do cala?

Sierżant Yates potrząsnął głową.

— Widziałem w życiu paru twardych gości, zwłaszcza odkąd zniesiono wieszanie, ale ten bije ich na głowę. Moim zdaniem to pieprzony psychopata.

Flint odrzucił tę sugestię.

— Psychopaci szybko pękają — stwierdził. — Przyznają się do zbrodni, których nie popełnili, albo do zbrodni, które popełnili, ale się przyznają. A Wilt nie. Siedzi tam i mówi mi, jak mam prowadzić dochodzenie. Spójrz na to. — Otworzył teczkę i wyjął notatki Wilta. — Coś ci się rzuca w oczy?

Sierżant Yates przeczytał notatki dwa razy.

— No cóż, nie jest chyba najlepszego zdania o naszych metodach — powiedział w końcu. — I niezbyt mi się podoba ten kawałek o niskim poziomie inteligencji przeciętnego policjanta.

— A co powiesz na punkt dwa d? — zapytał inspektor. — „Coraz częstsze stosowanie przez przestępców wyrafinowanych metod dywersyjnych”. Metody dywersyjne. Nic ci to nie mówi?

— Myśli pan, że próbuje odwrócić naszą uwagę od prawdziwej zbrodni?

Inspektor Flint skinął głową.

— Jestem gotów się założyć, że kiedy dotrzemy do dna tego pieprzonego wykopu, znajdziemy nadmuchiwaną lalkę z pochwą, ubraną w rzeczy pani Wilt. Oto, co myślę.

— Przecież to obłąd.

— Obłąd? To szatański plan — odparł inspektor. — Siedzi tam i zgrywa cholerne niewiniątko, bo wie, że wpuścił nas w maliny.

Sierżant Yates usiadł skonsternowany na krześle.

— Ale dlaczego? Dlaczego w ogóle ściągnął na siebie uwagę? Mógł się przyczaić i zachowywać jak gdyby nigdy nic.

— I zgłosić zaginięcie pani Wilt? Zapominasz o Pringsheimach. Znika żona, to się zdarza. Znika dwoje jej przyjaciół, zostawiając w domu piekielny bajzel i plamy krwi — to wymaga wyjaśnienia. Więc kieruje nas na fałszywy trop.

— Nie rozumiem, w czym ma mu to pomóc — zaproponował sierżant. — To, że wykopimy plastikową lalkę, nie znaczy, że wstrzymamy dochodzenie.

— Owszem, ale przez ten czas zwłoki mogą ulec rozkładowi.

— Myśli pan, że włożył je do kwasu tak jak Haigh? — zapytał sierżant. — To potworne.

— Pewnie, że potworne. Czy morderstwo może być miłe? Tak czy owak, złapali Haigha tylko dlatego, że ten głupi bydlak powiedział im, gdzie jest szambo. Gdyby trzymał gębę na kłódkę jeszcze przez tydzień, niczego by nie znaleźli, wszystko zostałoby wypompowane. Nie wiem, co Wilt zrobił ze zwłokami. Wiem tylko tyle, że jest pieprzonym intelektualistą, sprytnym draniem, i myśli, że ma nas w garści. Najpierw bierzemy go na przesłuchanie, może nawet zamykamy w areszcie, a potem wykopujemy nadmuchiwaną lalkę. Zrobimy z siebie idiotów, przedstawiając w sądzie lalkę jako dowód morderstwa. Będziemy pośmiewiskiem całego świata. Więc sprawa zostanie oddalona i co nas czeka, kiedy zgarniemy go drugi raz, w związku z prawdziwymi morderstwami? Liga Swobód Obywatelskich skoczy nam do gardeł jak stado cholernych wampirów.

— To zapewne tłumaczy, dlaczego nie woła o adwokata — zauważył Yates.

— No jasne. Na co mu teraz adwokat? Jak przymkniemy go drugi raz, adwokaci będą się zabijać o to, żeby mu pomóc. Będą tak krzyczeli o brutalności policji i represjonowaniu niewinnych, że nie będziesz słyszał własnego głosu. Sukinsyny będą mieli używanie. Najpierw plastikowa lalka, a potem żadnych zwłok. Drań wykręci się sianem.

— Ktoś, kto potrafi wymyślić taki plan, musi być pomyłecem — stwierdził sierżant.

— Albo pieprzonym geniuszem — odparł Flint z goryczą w głosie, gasząc papierosa. — Chryste, co za sprawa.

— Co mam teraz zrobić? Spróbować go jeszcze przycisnąć?

— Nie, ja się tym zajmę. Ty idź do college'u i przyciśnij jego szefa. Niech powie, co naprawdę myśli o Wilcie. Wykop tyle brudów o draniu, ile się tylko da. Musi być w jego przeszłości coś, co moglibyśmy wykorzystać.

Inspektor poszedł korytarzem do pokoju przesłuchań, gdzie Wilt siedział przy stole, robiąc notatki na odwrocie formularza zeznań. Poczuvszy się w komisariacie jeśli nie jak u siebie w domu, to przynajmniej bardziej swobodnie, zaczął się zastanawiać nad kwestią zniknięcia Evy. Musiał przyznać, że zaniepokoiły go plamy krwi w łazience Pringsheimów. Postanowił dla zabicia czasu przełączyć swe myśli na papier i nadal to robił, gdy inspektor Flint wszedł do pokoju i trzasnął drzwiami.

— No więc dobrze, sprytny z ciebie facet, Wilt — powiedział, siadając i przysunął papier do siebie. — Umiesz czytać i pisać, jesteś zdolny i pomysłowy, więc zobaczmy, co tu nasmarowałeś. Kim jest Ethel?

— Siostrą Evy — odparł Wilt. — Wyszła za ogrodnika i mieszka w Luton. Eva czasem jeździ tam na weekendy.

— „Krew w wannie”?

— Zastanawiam się, skąd się tam wzięła.

— A „oznaki pospiesznego wyjazdu”?

— Zanotowałem tylko moje spostrzeżenia co do stanu domu Pringsheimów — wyjaśnił Wilt.

— Próbujesz być pomocny?

— Jestem tu, ponieważ pomagam wam w dochodzeniu. To oficjalne określenie, prawda?

— Może i jest to oficjalne określenie, Wilt, ale w tym przypadku nie odpowiada ono faktom.

— Nie sądzę, aby odpowiadało im zbyt często — powiedział Wilt. — To jedno z tych wyrażen, które maskują mnóstwo grzechów...

— I przestępstw.

— Jak również psują człowiekowi reputację — ciągnął Wilt. — Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę, jak szkodzicie mojej, tak mnie tu trzymając. Wystarczy mi świadomość, że przez resztę życia będę wytykany palcami jako facet, który ubrał plastikową lalkę z cipą w rzeczy swojej żony i wrzucił ją do wykopu na budowie. Nie chcę, żeby w dodatku wszyscy uważali mnie za jakiegoś cholernego mordercę.

— Tam, gdzie spędzisz resztę życia, nikogo nie będzie obchodziło, co zrobiłeś z tą plastikową lalką — odparł inspektor.

Wilt skwapliwie uchwycił się tego stwierdzenia.

— Ach, wreszcie ją znaleźliście! — zawołał. — Świetnie. Więc jestem wolny.

— Siadaj i stul pysk — warknął inspektor. — Nie jesteś wolny, a jeśli kiedyś opuścisz komisariat, to w dużej czarnej furgonetce. Jeszcze z tobą nie skończyłem. Powiem więcej, dopiero zaczynam.

— Wiedziałem — mruknął Wilt. — Wiedziałem, że znowu będzie pan chciał zacząć od początku. Wy, policjanci, myślicie w sposób linearny. Przyczyna i skutek, przyczyna i skutek. Co było pierwsze, jajko czy kura? Protoplazma czy demiurg? Pewnie tym razem mam powiedzieć, co mówiła Eva, kiedy ubieraliśmy się przed wyjściem na to przyjęcie.

— Tym razem — odparł inspektor — chcę, żebyś mi powiedział, dlaczego wsadziłeś tę przeklętą lalkę do wykopu.

— To interesująca kwestia — stwierdził Wilt i umilkł.

Wyjaśnienie inspektorowi, co dokładnie chodziło mu po głowie, gdy wrzucił lalkę do wykopu, nie było w obecnych okolicznościach zbyt dobrym pomysłem. Inspektor nie wyglądał na człowieka skłonnego uwierzyć, że mąż może snuć fantazje o zamordowaniu żony i nie wprowadzić ich w czyn. Lepiej będzie zaczekać z wejściem na śliski grunt irracjonalizmu, aż Eva się znajdzie. Wtedy Flint może okazać mu zrozumienie. Teraz z całą pewnością nie.

— Przyjmijmy, że chciałem się draństwa pozbyć — powiedział w końcu.

— Nie przyjmujemy niczego takiego — zaproponował Flint. — Przyjmijmy, że miałeś ukryty motyw, żeby ją tam wrzucić.

Wilt skinął głową.

— Zgodzę się na to.

Inspektor Flint uśmiechnął się zachęcająco.

— Miałem taką nadzieję. Więc co to był za motyw?

Wilt starannie rozważył swoje słowa. Zapuszczał się na głębokie wody.

— Przyjmijmy, że zrobiłem to tytułem testu.

— Testu? Jakiego testu?

Wilt zastanowił się chwilę.
— Ciekawy wyraz, „test”. Pochodzi od łacińskiego *testum*, czyli garnek do...
— Mam gdzieś, od czego pochodzi — przerwał mu inspektor. — Chcę wiedzieć, do czego dochodzi.
— Kojarzy się też ze śmiercią — ciągnął Wilt w ramach swej kampanii na semantyczne wyczerpanie.
Inspektor Flint połknął przynętę.
— Ze śmiercią? Czyją śmiercią?
— Czyjąkolwiek — odparł pogodnie Wilt. — Test, testator, testament. Może to nawet nie przypadek, skoro *testum* używano do mierzenia złota, które często zapisuje się w testamencie.
— Na litość boską — jęknął inspektor. — Nie możesz się trzymać tematu? Powiedziałeś, że coś testowałeś, i chcę wiedzieć, co to było.
— Pewien pomysł, niewinny pomysł — odrzekł Wilt. — Jedną z tych efemeryd wyobraźni, które przelatują jak motylki przez letni krajobraz umysłu, niesione wiatrem skojarzeń spadających nagle niczym deszcz... To mi się nawet podoba.
— Mnie nie — warknął inspektor, patrząc nań spode łba. — Chcę wiedzieć, co testowałeś.
— Powiedziałem panu. Pewien pomysł.
— Jaki pomysł?
— Po prostu pomysł — powtórzył Wilt. — Niewinny...
— Jak Boga kocham, Wilt! — krzyknął inspektor. — Jeśli znów zaczniesz o tych pieprzonych motylkach, złamię moją niezłomną życiową zasadę i skreślę ci ten cholerny kark.
— Nie zamierzałem wspominać o motylkach — obruszył się Wilt. — Chciałem powiedzieć, że miałem pomysł na książkę...
— Na książkę? — prychnął inspektor Flint. — Jaką książkę? Tomik poezji czy kryminał?
— Kryminał — przytaknął Wilt, wdzięczny za tę podpowiedź.
— Rozumiem — odparł inspektor. — Chciałeś napisać thriller. Dobrze, więc pozwól, że odgadnę fabułę. Wykładowca z college'u ma żonę, której nienawidzi, i postanawia ją zamordować...
— Proszę mówić dalej — wtrącił Wilt. — Świetnie panu idzie.
— Tak też sądziłem — odrzekł Flint z zadowoleniem. — No więc ten wykładowca uważa się za sprytnego gościa, który może zrobić policję w balona. Nie jest o policji najlepszego zdania. Więc wrzuca plastikową lalkę do wykopu, który ma zostać zabetonowany, w nadziei, że gliny zmarnują kupę czasu na to, żeby ją wydobyć, i zakopuje żonę gdzie indziej. A propos, gdzie zakopałeś panią Wilt, Henry? Skończmy z tym wreszcie. Gdzie ją ukryłeś? Powiedz mi to, a od razu poczujesz się lepiej.
— Nigdzie jej nie ukryłem. Już to panu powiedziałem. Ile razy mam powtarzać, że nie wiem, gdzie ona jest?
— Muszę ci oddać sprawiedliwość, Wilt — oznajmił inspektor, kiedy już był w stanie się odezwać. — Znałem w życiu paru twardych gości, ale chyłem przed tobą czoło. Jesteś najtwardszym draniem, jakiego miałem pecha spotkać.
Wilt pokręcił głową.
— Wie pan co, inspektorze? — powiedział. — Żal mi pana. Nie widzi pan prawdy, kiedy ma ją pan przed oczami.
Inspektor Flint wstał i wyszedł z pokoju.
— Ty, tam! — zawołał do pierwszego wywiadowcy, jakiego udało mu się znaleźć. — Idź do pokoju przesłuchań i zadawaj temu draniowi pytania, dopóki nie każę ci przestać.
— Jakie pytania?
— Jakiegokolwiek. Pytaj go, dlaczego wrzucił nadmuchiwaną plastikową lalkę do wykopu na budowie. To wystarczy. Pytaj go o to raz po raz. Muszę bydlaka złamać.
Poszedł do swojego gabinetu, opadł na krzesło i spróbował zebrać myśli.

13.

Sierżant Yates siedział w gabinecie pana Morrisa w college'u.
— Przykro mi, że znów pana niepokoję — powiedział — ale potrzebujemy więcej informacji o tym całym Wilcie.
Kierownik Przedmiotów Ogólnokształcących podniósł błędny wzrok znad planu zajęć. Rozpaczliwie próbował znaleźć kogoś, kto wzięłby czwartą murarską. Price nie mógł, bo wzięł już drugą mechaniczną, a Williams nie chciał. Poprzedniego dnia zwolnił się do domu z rozstrojem żołądka i groził, że powtórzy to przedstawienie, jeżeli ktoś choćby wspomni przy nim o murarzach. Pozostawał więc sam pan Morris i sierżant Yates mógł go niepokoić tak długo, jak chciał, jeśli znaczyło to, że nie będzie musiał wziąć tych cholernych

murarzy.

— Służę uprzejmie — odparł serdecznym tonem, który interesująco kontrastował z jego półprzymkniętą miną.
— Jakie informacje chciałby pan uzyskać?

— Ogólne wrażenie, jakie ten facet sprawiał — powiedział sierżant. — Czy było w nim coś niezwykłego?

— Niezwykłego? — Pan Morris zastanowił się chwilę. Oprócz gotowości uczenia rok za rokiem najokropniejszych grup praktykantów Wilt niczym się nie wyróżniał. — Można by nazwać niezwykłą jego awersję do *Władcy Much*, ale ja też nie przepadam za...

— Momencik, sir — przerwał mu sierżant, pospiesznie wyciągając notes. — Powiedział pan „awersja”, tak?

— Tak, ale...

— Do much?

— Do *Władcy Much*. To taka książka — wyjaśnił pan Morris, niepewny, czy mądrze zrobił, wspominając o tym fakcie. Policjanci nie byli szczególnie wrażliwi na subtelności gustu literackiego, który jego zdaniem równał się inteligencji. — Mam nadzieję, że nie powiedziałem nic złego.

— Bynajmniej, sir. Właśnie takie szczegóły pomagają nam nakreślić obraz umysłu przestępcy.

Pan Morris westchnął.

— Kiedy pan Wilt przyszedł do nas po studiach, naprawdę nie sądziłem, że zrobi kiedyś coś takiego.

— Z pewnością. Czy pan Wilt powiedział kiedykolwiek coś obraźliwego o swojej żonie?

— Obrażliwego? Dobry Boże, nie. Zresztą nie musiał. Eva mówiła za siebie.

Popatrzył żałośnie na wiertnicę za oknem.

— Więc pana zdaniem pani Wilt nie była zbyt sympatyczną kobietą?

Pan Morris potrząsnął głową.

— Była upiorną kobietą.

Sierżant Yates polizał czubek długopisu.

— Powiedział pan „upiorną”?

— Niestety. Chodziła kiedyś na moje wieczorowe kółko dramatyczne.

— Dramatyczne? — powtórzył sierżant, zapisując tę informację.

— Tak, i w przypadku pani Wilt było to określenie podwójnie uzasadnione. Grała swoje role tak żywiołowo, że mogło dojść do dramatu. Nigdy nie zapomnę jej Desdemony przy moim Otellu.

— Chce pan powiedzieć, że była energiczna?

— Chcę powiedzieć — odparł pan Morris — że gdyby Szekspir napisał tę sztukę tak, jak pani Wilt ją zinterpretowała, to Otello zostałby uduszony.

— Rozumiem — mruknął sierżant. — Więc nie lubiła Murzynów?

— Nie mam pojęcia, co sądziła o kwestiach rasowych — odrzekł pan Morris. — Mówię o jej krzepie fizycznej.

— Silna kobieta?

— Bardzo — przytaknęła skwapliwie pan Morris.

Sierżant Yates wyraźnie się stropił.

— Wydaje się dziwne, że taka kobieta pozwoliła się panu Wiltowi zamordować — powiedział z namysłem.

— Mnie wydaje się to niewiarygodne — odparł pan Morris. — Co więcej, świadczy o fanatycznej odwadze, jakiej nigdy bym się po Henrym nie spodziewał, obserwując jego zachowanie w pracy. Mogę jedynie przypuszczać, że był wtedy niepoczytalny.

Sierżant Yates uchwycił się tego ostatniego słowa.

— Więc sądzi pan, że kiedy zabijał żonę, nie był przy zdrowych zmysłach?

— Przy zdrowych zmysłach? Nie widzę nic zdrowego w zabicu własnej żony i wrzuceniu jej zwłok do...

— Chodziło mi o to — wtrącił sierżant — czy uważa pan, że pan Wilt jest obłąkany.

Pan Morris się zawahał. Miał w sekcji wielu pracowników, których uważał za niezrównoważonych psychicznie, ale nie bardzo chciał się tym chwalić. Z drugiej strony, mogło to pomóc biednemu Wiltowi.

— Tak sądzę — powiedział w końcu, bo w głębi duszy był dobrym człowiekiem. — To pomylenie. Między nami mówiąc, jeśli ktoś nie ma nic przeciwko temu, żeby uczyć takich młodocianych bandytów, jacy nam się trafiają, nie może być całkiem normalny. A zaledwie tydzień temu Wilt wdał się w sprzeczkę z jednym z drukarzy i dostał pięścią w twarz. To mogło mieć wpływ na jego późniejsze postępowanie. Ufam, że zachowa pan to, co mówię, dla siebie. Nie chciałbym...

— Oczywiście, sir — odparł sierżant Yates. — I nie będę pana dłużej zatrzymywał.

Wrócił do komisariatu i zameldował o swych odkryciach inspektorowi Flintowi.

— To kompletny czubek — oświadczył. — Tak mówi jego szef. Jest o tym przekonany.

— W takim razie nie miał prawa trzymać bydłaka na etacie — stwierdził Flint. — Powinien był go wylać.

— Wylać? Z college'u? Wie pan, że nie można zwalniać wykładowców. Człowiek musi zrobić coś naprawdę okropnego, żeby pokazali mu drzwi.

— Na przykład zamordować trzy osoby? No cóż, jeśli o mnie chodzi, mogą sobie wziąć drania z powrotem.
— Nadal się broni?
— Broni? On kontratakuje. Doprowadził mnie do rozstroju nerwowego, a teraz Bolton błaga, żeby go złuzować. Nie może już z nim wysiedzieć.
Sierżant Yates podrapał się w głowę.
— Nie wiem, jak on to robi — powiedział. — Można by pomyśleć, że jest niewinny. Ciekawe, kiedy zaczniesz prosić o adwokata.
— Nigdy — odparł Flint. — Na co mu adwokat? Gdyby korzystał z rad adwokata, już dawno wyciągnąłbym z niego prawdę.

Kiedy nad Karpim Kanałem zapadła noc, wiatr przybrał sztormową siłę. Deszcz bębnił w dach kabiny, fale biły o kadłub, i jacht, przechylony na prawą burtę, coraz bardziej zagłębiał się w mule. W kabinie powietrze było ciężkie od dymu i wzajemnych pretensji. Gaskell otworzył butelkę wódki i powoli się upijał. Dla zabicia czasu grali w scrabble'a.

— Tak wyobrażam sobie piekło — powiedział Gaskell. — Utknąć na mieliźnie z parą sióstr.
— Jakich sióstr? — spytała Eva.
Gaskell wybałuszył na nią oczy.
— Nie wiesz?
— Nie jesteśmy z Sally spokrewnione...
— Misiu — westchnął Gaskell — jakaś ty naiwna. Siostra to...
— Nieważne, Gas — przerwała mu Sally. — Kto teraz?
— Ja — odparła Eva. — T... E... N... czyli „ten”.
— I... M... P... O... T... E... N... T... czyli Gaskell — podjęła Sally.
Gaskell pociągnął łyk wódki.
— W co my, do cholery, gramy? W scrabble'a czy w szczerłość?
— Twoja kolej — powiedziała Sally.
Gaskell dołożył D... I... L... D... do O.
— Sprawdź, czy ci pasuje rozmiar.
Eva spojrzała na planszę krytycznie.
— Nie można używać nazw własnych. Nie pozwoliliście mi ułożyć ACE.
— Evo, cycuszk, to nie jest nazwa własna, tylko bardzo pospolita. Oznacza sztuczny członek.
— Co?
— Mniejsza z tym — odparła Sally. — Twoja kolej.
Eva przyjrzała się swoim literom. Nie lubiła, gdy ktoś tak często mówił jej, co ma robić, a poza tym chciała się dowiedzieć, co jeszcze znaczy siostra. W końcu wykorzystła I, żeby ułożyć MIŁOŚĆ.
— Niejedno ma imię — powiedział Gaskell i znów dołożył D... I... L... D... do O.
— Nie można się powtarzać — zaprotestowała Eva. — Masz już jedno „dildo”.
— To jest inne — odrzekł Gaskell. — Ma wypustki.
— Co to za różnica?
— Zapytaj Sally. To ją zżera zazdrość o penisa.
— Ty palancie — warknęła Sally i wykorzystła D, żeby ułożyć PEDAŁ. — Chodzi o ciebie.
— Mówiłem, scrabble'owa szczerłość — odparł Gaskell. — Może w zamian urządzimy sobie terapię grupową.
Niech prawda wyjdzie na jaw.

Eva wykorzystła A, żeby ułożyć WIERNA. Gaskell ułożył DZIWKĄ z I, a Sally dodała końcówkę RZ.
— Bomba — mruknął Gaskell. — Alfabetyczny I Ching.
— Twój dowcip mnie powala — powiedziała Sally.
— Idź się gonić — odrzekł Gaskell, kładąc dłoń na udzie Ewy.
— Ręce przy sobie — burknęła Eva i odepchnęła go, po czym ułożyła GRZECH.
Gaskell ułożył SAFONA.
— I nie mów mi, że to imię własne.
— Na pewno nie słyszałam tego słowa — odparła Eva. Gaskell popatrzył na nią i ryknął śmiechem.
— Jasne — powiedział. — A *cunnilingus* to lekarstwo na kaszel. Czy ktoś widział takiego tumanu?
— Spójrz w lustro — poradziła mu Sally.
— Tak, przyznaję, muszę być tumanem, skoro się ożeniłem z pieprzoną lesbijską dziwką, która kradnie ludziom żony, jachty i inne rzeczy. Ale cyncasta bije mnie na głowę. Jest cholerną hipokrytką i udaje, że nie jest siostrą.
— Nie wiem, co to znaczy — broniła się Eva.

— Więc cię oświecę, klocku. Siostra to lesbijka.
— Nazywasz mnie lesbijką? — spytała Eva.
— Tak — potwierdził Gaskell.
Eva z całej siły uderzyła go w twarz. Gaskell klapnął na podłogę i spadły mu okulary.
— Spokojnie, Gas... — zaczęła Sally, ale Gaskell zerwał się już na równe nogi.
— W porządku, ty tłusta suko — powiedział. — Chcesz znać prawdę, to słuchaj uważnie. Po pierwsze, jeśli myślisz, że twój Henry wpakował się w tę lalkę sam z siebie...
— Zamknij się, Gaskell — syknęła Sally.
— Ani mi się śni. Mam serdecznie dość ciebie i twoich obleśnych kombinacji. Wyciągnąłem cię z burdelu...
— Nieprawda! — wrzasnęła Sally. — To była klinika. Klinika dla takich chorych zboków jak ty.
Eva nie słuchała. Wpatrywała się w Gaskella. Nazwał ją lesbijką i powiedział, że Henry nie znalazł się w tej lalce z własnej woli.
— Powiedz mi o Henrym! — krzyknęła. — Jak było z tą lalką?
Gaskell wskazał palcem Sally.
— Ona go w nią wsadziła. Biedny frajer nie wiedziałby...
— Ty go w nią wsadziłaś, Sally? — zapytała Eva. — Ty?
— Chciał mnie zgwałcić, Evo. Próbował...
— Nie wierzę ci — zagrzmiała Eva. — Henry nie jest taki.
— Naprawdę. Chciał...
— I wsadziłaś go w tę lalkę?

Eva z krzykiem rzuciła się przez stół na Sally. Rozległ się trzask i stół runął. Gaskell wskoczył na koję, a Sally wybiegła z kabiny. Eva wstała z podłogi i ruszyła ku drzwiom. Została oszukana i okłamana, a Henry upokorzony. Zabije tę sukę Sally. Wyszła do kokpitu. Ciemna sylwetka Sally majaczyła w kącie. Eva okrążyła silnik i skoczyła ku niej, ale pośliznęła się na ropie. Sally śmignęła do kabiny, zatrzasnęła za sobą drzwi i zamknęła je na zasuwkę. Eva Wilt podniosła się z pokładu. Deszcz spływał jej po twarzy. I gdy tak stała, złudzenia, którymi żyła przez miniony tydzień, prysnęły. Zobaczyła siebie jako głupią, grubą kobietę, która porzuciła męża, goniąc za blaskiem, który okazał się tandetny i fałszywy, oparty na pustych słowach i pieniądzech. A Gaskell nazwał ją lesbijką. Eva zrozumiała wreszcie, czym była terapia dotykowa, i zrobiło jej się niedobrze. Podeszła do burty i usiadła na schowku.

Jej wstręt do samej siebie powoli przeradzał się w gniew i zimną nienawiść do Pringsheimów. Zemści się na nich. Pożalują, że w ogóle ją spotkali. Wstała, otworzyła schowek, wyjęła kapoki i wyrzuciła je za burtę. Potem nadmuchała materac, spuściła go na wodę, przelazła przez burtę i położyła się na nim. Kołysał się niepokojąco, ale Eva nie czuła strachu. Brała odwet na Pringsheimach i nie dbała o to, co się stanie z nią samą. Zaczęła wiosłować, pchając kapoki przed sobą. Miała wiatr z tyłu i materac lekko sunął przez drobne fale. Po pięciu minutach skręciła za trzciny i przestała być widoczna z jachtu. Gdzieś w ciemnościach z przodu znajdowała się pełna woda, a za nią ląd.

Wkrótce deszcz ustał, ale zaczęło ją znosić w trzciny. Eva leżała na materacu, ciężko dysząc. Byłoby jej łatwiej, gdyby pozbyła się kapoków. Odplynęła dostatecznie daleko od jachtu, żeby Pringsheimowie ich nie znaleźli. Wepchnęła je w trzciny, po czym się zawahała. Może powinna jeden zatrzymać. Odczepiła jeden kapok od pozostałych i nie bez trudu go włożyła. Potem znów wyciągnęła się na materacu i powiosłowała dalej, w stronę ujścia kanału.

Sally oparła się o drzwi kabiny i spojrzała na Gaskella z nienawiścią.
— Ty kretynie — powiedziała. — Musiałeś rozpuścić ozór. I co, do diabła, teraz zrobisz?
— Na początek rozwiodę się z tobą — odparł Gaskell.
— Wystąpię o alimenty.
— Nie dam ci złamanego centa — oświadczył Gaskell i pociągnął łyk wódki.
— Dasz, choćbyś miał umrzeć.
Gaskell uśmiechnął się szeroko.
— Ja? Jeśli ktoś tutaj umrze, to ty. Twój cycaty dzióbbasek pała żądzą zemsty.
— Przejdzie jej.
— Tak sądzisz? Otwórz te drzwi, jeśli jesteś tego taka pewna. Śmiało, otwórz je.
Sally odsunęła się od drzwi i usiadła.
— Tym razem się dograłaś — ciągnął Gaskell. — Wybrałaś sobie cholerną mistrzynię wagi ciężkiej.
— Wyjdź tam i spróbuj ją ułagodzić — poprosiła Sally.
— Za żadne skarby. Wolałbym się zabawić w ciuciubabkę z pieprzonym nosorożcem. — Położył się na koi i posłał Sally radosny uśmiech. — Wiesz, to prawdziwa ironia losu. Chciałaś wyzwolić neandertalkę. Feminizm

w paleolicie. Ona — Tarzan, ty — Jane. Zafundowałaś sobie małe zoo.

— Bardzo zabawne — mruknęła Sally. — A kim ty jesteś?

— Ja, Noe. Dziękuj Bogu, że babsztyl nie ma spluwy.

Podłożył sobie poduszkę pod głowę i usnął. Sally siedziała, wpatrując się z nienawiścią w jego plecy. Bała się. Gwałtowna reakcja Evy odebrała jej pewność siebie. Gaskell miał rację. W Evie Wilt było coś pierwotnego. Sally wzdrygnęła się na wspomnienie ciemnej sylwetki sunącej ku niej w kokpicie. Wstała, poszła do kambuza i znalazła długi, ostry nóż. Potem wróciła do kabiny, sprawdziła, czy drzwi są porządnie zaryglowane, i położyła się na koi, ale nie mogła usnąć. Na dworze było za głośno. Fale biły o burty łodzi. Gwizdał wiatr. Boże, w ładną kabałę się wpakowała! Sally mocniej ścisnęła nóż i zaczęła myśleć o tym, co Gaskell powiedział o rozwodzie.

Peter Braintree siedział w biurze pana Gosdyke'a, adwokata, i przedstawiał mu problem.

— Zabrali go w poniedziałek, a teraz jest czwartek. Chyba nie powinni trzymać go tyle czasu, jeśli nie widział się z adwokatem.

— Skoro zrezygnował z przysługującego mu prawa i jest gotów odpowiadać na pytania policji, naprawdę nie sądzę, abym mógł cokolwiek poradzić — odparł pan Gosdyke.

— Ale czy jest pan pewien, że tak wygląda sytuacja? — zapytał Braintree.

— O ile mi wiadomo, właśnie tak. Pan Wilt nie poprosił o adwokata. Słyszał pan, jak rozmawiałem z inspektorem prowadzącym śledztwo, i wydaje się zupełnie jasne, że z jakiegoś tajemniczego powodu pan Wilt jest gotów pomagać policji tak długo, jak długo jego obecność na komisariacie będzie konieczna. Nie można nikogo zmusić, aby skorzystał ze swoich praw.

— Jest pan absolutnie pewien, że Henry nie chciał się z panem widzieć? Może policja kłamie.

Pan Gosdyke potrząsnął głową.

— Znam inspektora Flinta od wielu lat — powiedział. — Nie jest człowiekiem, który odmawiałby podejrzanemu jego praw. Przykro mi, panie Braintree, chciałbym panu pomóc, ale w tych okolicznościach naprawdę nie mogę nic zrobić. Upodobanie pana Wilta do przebywania w towarzystwie funkcjonariuszy policji jest dla mnie zupełnie niezrozumiałe, ale nie upoważnia mnie do podjęcia działań.

— A jeśli go torturują albo coś w tym rodzaju?

— Torturują? Mój drogi, widział, pan za dużo starych filmów. W tym kraju policja nie stosuje metod twardej ręki.

— Obeszli się dość brutalnie z naszymi studentami, którzy brali udział w demonstracjach — zauważył Braintree.

— Ach, studenci to całkiem co innego. Demonstrujący studenci dostają to, na co zasłużyli. Polityczna prowokacja i takie zabójstwo w rodzinie, jakie najwyraźniej pozwolił sobie popełnić pański przyjaciel, należą do zupełnie różnych kategorii. Zapewniam pana, że w całej mojej karierze prawniczej nie spotkałem się jeszcze z przypadkiem, w którym policja nie traktowałaby żonobójcy z wielką troską i pewną dozą współczucia. W końcu większość policjantów to ludzie żonaci. Zresztą pan Wilt ma stopień naukowy, a to zawsze pomaga. Jeżeli ktoś zalicza się do inteligencji, a wbrew opinii niektórych ludzi wykładowcy z college'ów technicznych, wprawdzie marginalnie, ale się do niej zaliczają, można być spokojnym, że policja nie robi nic niestosownego. Pan Wilt jest całkowicie bezpieczny.

I Wilt czuł się bezpieczny. Siedział w pokoju przesłuchań, przyglądając się z zainteresowaniem inspektorowi Flintowi.

— Motywacja? To ciekawy problem — powiedział. — Gdyby mnie pan spytał, dlaczego w ogóle się z Evą ożeniłem, trudno by mi było to wyjaśnić. Byłem wtedy młody i...

— Wilt — przerwał mu inspektor — nie pytam cię, dlaczego się ożeniłeś ze swoją żoną. Pytam, dlaczego postanowiłeś ją zamordować.

— Nie postanowiłem jej zamordować — odparł Wilt.

— Więc było to działanie spontaniczne? Nagły impuls, któremu nie umiałeś się oprzeć? Akt szaleństwa, którego teraz żałujesz?

— Nie było to nic z tych rzeczy. Przede wszystkim, to nie był akt. To była czysta fantazja.

— Ale przyznajesz, że przeszło ci to przez myśl?

— Panie inspektorze — powiedział Wilt — gdybym ulegał każdemu impulsowi, jaki przechodzi mi przez myśl, byłbym już winny gwałtu na nieletniej, kradzieży z włamaniem, napaści z zamiarem spowodowania poważnych uszkodzeń cielesnych oraz zbiorowego zabójstwa.

— Wszystkie te impulsy przeszły ci przez myśl?

— W tym czy innym momencie, owszem.

— Masz cholernie dziwne myśli.

— Jak znakomita większość ludzi. Jestem pewien, że nawet pan w chwilach luźnych refleksji...

— Wilt — warknął inspektor — ja nie miewam chwil luźnych refleksji. W każdym razie nie miewałem, póki cię nie poznałem. Przyznajesz zatem, że nosiłeś się z myślą zabicia swojej żony?

— Przyznaję, że o tym myślałem, zwłaszcza podczas spacerów z psem. To taka gra, w którą gram sam ze sobą, nic więcej.

— Gra? Spacerujesz z psem i obmyślasz sposób zabicia pani Wilt? Dla mnie to nie jest gra. Dla mnie to premedytacja.

— Trafił pan w sedno — odparł Wilt z uśmiechem. — To znaczy, z tą medytacją. Eva siada w pozycji lotosu na dywanie w salonie i myśli o rzeczach pięknych. Ja zabieram cholernego psa na spacer i myślę o rzeczach okropnych, podczas gdy Clem załatwia się na trawniku przy Grenville Gardens. I w obu przypadkach nic z tego nie wynika. Eva wstaje z dywanu, robi kolację i zmywa naczynia, a ja wracam do domu, oglądam telewizję albo czytam książkę i idę spać. Nic się nigdy nie zmienia.

— Teraz coś się zmieniło — zauważył inspektor. — Pani Wilt zniknęła z powierzchni ziemi razem z wybitnym młodym naukowcem i jego żoną, a ty siedzisz tutaj podejrzany o ich zamordowanie.

— Podejrzany niesłusznie — dodał Wilt. — Cóż, takie rzeczy się zdarzają. „Ruchomy palec pisze i napisawszy...”*

— Do diabła z ruchomym palcem. Gdzie oni są? Co z nimi zrobiłeś? Masz mi to powiedzieć.

Wilt westchnął.

— Bardzo bym chciał, naprawdę. Teraz, jak już macie tę plastikową lalkę...

— Nie mamy jej. Jeszcze nie. Dalej wiercimy litą skałę. Cokolwiek tam jest, nie wykopimy tego wcześniej niż jutro rano.

— Więc mam na co czekać — stwierdził Wilt. — Wtedy mnie pan chyba puści?

— Jeszcze czego. W poniedziałek staniesz przed sądem.

— Bez dowodów morderstwa? Bez ciała? Nie może pan tego zrobić.

Inspektor Flint uśmiechnął się szeroko.

— Wilt — powiedział — mam dla ciebie nowinę. Nie potrzebujemy ciała. Możemy cię aresztować pod zarzutem morderstwa, możemy postawić cię przed sądem i możemy uznać cię winnym bez ciała. Owszem, jesteś sprytny, ale nie znasz się na prawie.

— Nie sądziłem, że policja ma taką łatwą pracę. To znaczy, że możecie wyjść na ulicę, zgarnąć Bogu ducha winnego przechodnia, przywieźć go tutaj i oskarżyć o morderstwo bez żadnych dowodów?

* E. Fitzgerald, *Rubajaty Omara Chajjama*.

— Bez dowodów? Mamy dowody. Mamy opryskaną krwią łazienkę z wyłamanymi drzwiami. Mamy pusty dom, w którym został paskudny bajzel, i mamy jakieś cholernstwo w wykopie. Myślisz, że nie mamy dowodów? Bardzo się mylisz.

— Nie ja jeden — mruknął Wilt.

— Powiem ci coś jeszcze, Wilt. Kłopot z takimi draniami jak ty polega na tym, że jesteście za cwani. Przedobrzacie sprawę i przez to się zdradzacie. Gdybym był na twoim miejscu, zrobiłbym dwie rzeczy. Wiesz jakie?

— Nie — odparł Wilt. — Nie wiem.

— Po pierwsze, posprzątałbym w tej łazience, a po drugie, trzymałbym się z daleka od wykopu. Nie próbowałbym naprowadzić policji na fałszywy trop, rozrzucając notatki, pokazując się dozorczy i przychodząc do pana Braintree'ego o północy, umazany błotem. Siedziałbym na tyłku i nic bym nie mówił.

— Kiedy nie wiedziałem o plamach krwi w łazience, a gdyby nie ta koszmarna lalka, nie pojechałbym na budowę. Poszedłbym spać. To przez nią się upiłem i zachowałem jak idiota.

— Powiem ci jeszcze jedną rzecz, Wilt — odparł inspektor. — Jesteś idiotą. Cholernie sprytnym idiotą, ale idiotą. Powinieneś zbadać sobie głowę.

— Miałbym chociaż jakąś odmianę — powiedział Wilt.

— Gdyby co?

— Gdyby zbadał sobie głowę zamiast tu siedzieć i wysłuchiwać obelg.

Inspektor Flint przyjrzał mu się z namysłem.

— Mówisz poważnie? — zapytał.

— O czym?

— O zbadaniu sobie głowy. Byłbyś gotów poddać się analizie psychiatrycznej?

— Czemu nie? — odparł Wilt. — Byle jakoś zabić czas.

— Zupełnie dobrowolnie, rozumiesz. Nikt cię do tego nie zmusza, ale jeśli chcesz...

— Panie inspektorze, jeśli rozmowa z psychiatrą pomoże mi pana przekonać, że nie zamordowałem mojej

żony, zgodzę się na nią z największą chęcią. Możecie mnie podłączyć do wykrywacza kłamstw. Możecie mnie napompować serum prawdy. Możecie...

— To nie będzie konieczne — uciął Flint, wstając z krzesła. — Dobry psychiatra w zupełności wystarczy. I nie myśl, że się wykręcisz chorobą umysłową. Ci goście potrafią poznać, kiedy ktoś symuluje obłąd.

Podszedł do drzwi i przystanął, a potem wrócił i pochylił się nad stołem.

— Wyjaśnij mi coś, Wilt — powiedział. — Wyjaśnij mi tylko jedną rzecz. Jakim cudem siedzisz tu tak spokojnie? Twoja żona zniknęła, mamy dowody morderstwa, mamy jej replikę, jeśli można ci wierzyć, pod trzydziestoma stopami betonu, a ty nawet okiem nie mrugniesz. Jak ty to robisz?

— Panie inspektorze — odparł Wilt — gdyby przez dziesięć lat uczył pan monterów i musiał odpowiadać na tyle idiotycznych pytań co ja, to by pan wiedział. Poza tym nie zna pan Evy. Jak ją pan pozna, zrozumie pan, dlaczego się nie denerwuję. Eva potrafi o siebie zadbać. Nie jest może nadzwyczajnie bystra, ale ma wbudowany zestaw do survivalu.

— Jezu, Wilt, jeśli wytrzymała z tobą dwanaście lat, musiała coś mieć.

— Och tak, Eva coś ma. Polubi ją pan, kiedy się poznacie. Jesteście do siebie podobni. Oboje bierzecie wszystko dosłownie i macie obsesję na punkcie drobiazgow. Potrafilibyście zrobić słonia z wszy łonowej.

— Z wszy łonowej? Wilt, jesteś obrzydliwy — powiedział inspektor i wyszedł.

Wilt wstał i zaczął spacerować po pokoju. Zmęczyło go to siedzenie. Z drugiej strony, był bardzo zadowolony ze swojego występu. Przeszedł sam siebie i był dumny, że tak dobrze znosi sytuację, którą większość ludzi uznałaby za potworną. Ale dla Wilta było to coś innego: wyzwanie, pierwsze prawdziwe wyzwanie od wielu lat. Kiedyś takie wyzwanie stanowili dlań monterzy i tynkarze, ale nauczył się dawać sobie z nimi radę. Trzeba było utrzymywać ich w dobrym humorze. Pozwalać im mówić i zadawać pytania, zbijać ich z tropu i dopingować, omijając ich pułapki i zastawiać własne, a przede wszystkim, nie akceptować ich uprzedzeń. Ilekroć dowodzili czegoś z niezachwianym przekonaniem jako oczywistej prawdy, na przykład, że brudasy zaczynają się od Calais, należało przytaknąć, a potem zauważyć, że połowa wielkich ludzi w angielskiej historii była cudzoziemcami jak Marconi czy lord Beaverbrook i nawet Churchill miał matkę jankeskę, albo przypomnieć, że Walijczycy żyli tu przed Anglikami, a potem były najazdy wikingów i Duńczyków, i od tego dojść przez hinduskich lekarzy do państwowej służby zdrowia i kontroli urodzin albo jakiegokolwiek innego tematu, byle się tylko uciszeli i pogubili, i rozpaczliwie próbowali wymyślić jakiś ostateczny argument na dowód, że nie masz racji.

Teraz sytuacja wyglądała podobnie. Inspektor Flint skupił się na jednej kwestii, ale stosował taką samą taktykę i upierał się przy swoim błędnym mniemaniu równie zawzięcie. Wilt z rozbawieniem obserwował, jak próbuje przypisać mu zbrodnię, której nie popełnił. Czuł się dzięki temu niemal ważny, a na pewno od bardzo, bardzo dawna nie czuł się tak męski. Był niewinny i nie podlegało to dyskusji. W świecie, w którym wszystko inne było wątpliwe, niepewne i sporne, jego niewinność stanowiła niezbitą fakt. Po raz pierwszy w swym dorosłym życiu Wilt wiedział, że ma absolutną rację, i ta wiedza dała mu siłę, o jaką nigdy się nie podejrzewał. Poza tym nie miał wątpliwości, że Eva w końcu się znajdzie, cała i zdrowa, i mocno skruszona, gdy sobie uświadomi, do czego doprowadziła jej impulsywność. Będzie miała nauczkę za to, że dała mu tę obrzydliwą lalkę. Nie przestanie tego żałować do końca swoich dni. Tak, jeśli ktoś źle wyjdzie na całej tej aferze, to kochana Eva, pani Mądralińska-Krzątańska. Ciężko jej się będzie wytłumaczyć przed Mavis Mottram i sąsiadami. Wilt uśmiechnął się do siebie na tę myśl. W college'u też będą traktowali go inaczej, z większym szacunkiem. Wilt znał swoich kolegów i szefów dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że kiedy wróci, okrzykną go męczennikiem. I bohaterem. Będą stawiać na głowie, aby przekonać samych siebie, że nie wątpili w jego niewinność. I dadzą mu awans, nie dlatego, że jest dobrym nauczycielem, tylko żeby uspokoić swoje delikatne sumienia. To się nazywa zabić utuczone cielę.

14.

W college'u nie było mowy o zabijaniu utuczonego cielęcia, w każdym razie nie dla Henry'ego Wilta. Bliskość piątkowej ministerialnej wizytacji, która na dodatek miała się zbiec w czasie z ekshumacją zwłok pani Wilt, wywoływała nastroj graniczący z paniką. Grono pedagogiczne obradowało niemal nieprzerwanie, a okólniki krążyły tak szybko, że nikt nie nadążał z ich czytaniem.

— Czy nie da się przełożyć tej wizyty? — zapytał doktor Cox. — Nie mogę dyskutować o bibliografiach, kiedy za oknem mojego gabinetu wykopuje się z ziemi szczątka pani Wilt.

— Poprosiłem policjantów, żeby postarali się być możliwie niewidoczni — oświadczył doktor Mayfield.

— Bez widocznego powodzenia — zauważył doktor Board. — Nie mogliby bardziej rzucać się w oczy. W tej chwili zagłada ich do tego wykopu dziesięciu.

Wicedyrektor uderzył w pogodniejszy ton.

— Na pewno ucieszy państwa wiadomość, że w stołowce jest już prąd — powiedział — więc będziemy w stanie podać dobry lunch.

— Ale ja nie wiem, czy będę w stanie coś zjeść — stwierdził doktor Cox. — Wstrząsy ostatnich dni bynajmniej nie zaostrzyły mi apetytu, a gdy pomyślę o biednej pani Wilt...

— Niech pan o niej nie myśli — poradził mu wicedyrektor, ale doktor Cox pokręcił głową.

— Spróbowałby pan o niej nie myśleć, gdyby za oknem pana gabinetu cały dzień wściekle warczała wielka wiertnica.

— Skoro mowa o wstrząsach — wtrącił doktor Board — nadal nie rozumiem, jakim cudem operator tego mechanicznego korkociągu uniknął porażenia prądem, kiedy przeciął ten kabel.

— Zważywszy na problemy, które przed nami stoją, nie wydaje mi się, aby ta kwestia była w obecnej chwili istotna — odparł doktor Mayfield. — Musimy przekonać członków wizytacji, że jest to koherentny kurs bazujący tematycznie na koegzystencji czynników kulturalnych i socjologicznych i mający dostateczny procent treści naukowych, aby zapewnić studentom stymulację wszystkich stref...

— Erogennych? — podsunął doktor Board.

Doktor Mayfield posłał mu złowrogie spojrzenie.

— Naprawdę nie sądzę, aby była to odpowiednia pora na żarty — powiedział gniewnym tonem. — Albo jesteście zaangażowani w to interdyscyplinarne magisterium, albo nie. Co więcej, mamy czas zaledwie do jutra, aby zrestrukturyzować nasze podejście taktyczne do wizytacji. No więc, jak będzie?

— Jak będzie z czym? — zapytał doktor Board. — Co nasze zaangażowanie lub niezaangażowanie ma wspólnego ze strukturyzacją, z braku kilku dużo lepszych słów, naszego podejścia taktycznego do wizytacji, która, jako że przyjeżdża tu z Londynu, ściśle biorąc podchodzi do nas?

— Panie wicedyrektorze — odezwał się doktor Mayfield — naprawdę muszę zaprotestować. Postawa doktora Boarda na tym zaawansowanym etapie gry jest dla mnie zupełnie niepojęta. Gdyby doktor Board...

— ...rozumiał choć jedną dziesiątą żargonu, który doktor Mayfield najwyraźniej uważa za język angielski, byłoby mu łatwiej wyrazić swą opinię — zauważył doktor Board. — „Niepojęta” jest składnia doktora Mayfielda, a nie moja postawa. Zawsze byłem zdania...

— Panowie — włączył się wicedyrektor — myślę, że będzie lepiej, jeśli powstrzymamy się od międzywydziałowych swarów i przejdziemy do rzeczy.

Zapadła cisza, którą przerwał w końcu doktor Cox.

— Czy nie można by nakłonić policji, żeby zasłonili ten wykop jakimś parawanem? — zapytał.

— Bezwzględnie im to zasugeruję — odparł doktor Mayfield.

Przeszli do kwestii wyszynku.

— Poleciłem, aby przed lunchem podano dużo drinków — powiedział wicedyrektor. — Lunch będzie zresztą opóźniony, aby zdążyli się wprawić w dobry nastrój, dzięki czemu popołudniowa sesja się skróci i przebiegnie, mam nadzieję, gładko.

— Pod warunkiem, że Sekcja Gastronomii nie zaserwuje steków twardych jak beton — mruknął doktor Board.

Zebranie zakończyło się w nieprzyjemnej atmosferze.

Rozmowa pana Morrisa z reporterem rubryki kryminalnej „Sunday Post” miała jeszcze bardziej burzliwy przebieg.

— Wcale nie powiedziałem policji, że programowo zatrudniam psychopatycznych morderców! — ryknął pan Morris. — A poza tym wszystko, co mówiłem, miało, jeśli dobrze zrozumiałem, pozostać tajemnicą.

— Ale powiedział pan, że pańskim zdaniem Wilt jest niepoczytalny i że spora liczba wykładowców przedmiotów ogólnokształcących to wariaci?

Pan Morris popatrzył na faceta z nienawiścią.

— Gwoli wyjaśnienia, powiedziałem, że niektórzy z nich są...

— Szurnięci? — podsunął reporter.

— Nie, nie szurnięci! — krzyknął pan Morris. — Jedyne, powiedzmy, lekko niezrównoważeni.

— Policja mówi, że powiedział pan co innego. Mówią, cytując...

— Nie obchodzi mnie, co mówi policja. Wiem, co powiedziałem, a czego nie, i jeśli pan insynuuje...

— Niczego nie insynuję. Oświadczył pan, że połowa pańskiego personelu to czubki, i staram się to zweryfikować.

— Zweryfikować? — warknął pan Morris. — Wkłada mi pan w usta słowa, których nigdy nie użyłem, i nazywa to weryfikacją?

— Powiedział pan to czy nie? To proste pytanie. Jeśli wyraża pan opinię o swoim personelu...

— Panie MacArthur, to, co myślę o moim personelu, jest moją prywatną sprawą i nie ma absolutnie nic

wspólnego z panem ani z tym szmatławcem, który pan reprezentuje.

— Trzy miliony ludzi z zainteresowaniem przeczytają pańską wypowiedź w niedzielę rano — odparł pan MacArthur — i nie będę ani trochę zaskoczony, jeśli ten cały Wilt pana zaskarzy, o ile wyjdzie kiedyś z mamra.

— Zaskarzy mnie?! O co, do diabła, mógłby mnie zaskarżyć?

— Na przykład o obrazę słowną. Nagłówek KIEROWNIK SEKCJI NAZYWA WYKŁADOWCĘ PSYCHOPATYCZNYM MORDERCĄ powinien być wart pięćdziesiąt tysięcy funtów odszkodowania. Zdziwię się, jeśli sąd przyzna mu mniej.

Pan Morris rozważył perspektywę bankructwa.

— Nawet pańska gazeta nie wydrukuje czegoś takiego — wymamrotał. — Wilt zaskarżyłby i was.

— Och, przywykliśmy do skarg o zniesławienie. To dla nas chleb powszedni. Wypłacamy odszkodowania z podręcznej kasy. Gdyby zgodził się pan z nami współpracować...

Urwał, aby pan Morris mógł przetrwać tę sugestię.

— Co chce pan wiedzieć? — zapytał smętnie.

— Zna pan jakieś soczyste historie o seksie i narkotykach? Wie pan, o co mi chodzi. ORGIE NA WYKŁADACH. Czytelnicy to lubią. Bzykające się nastolatki i tak dalej. Opowie mi pan coś dobrego, to dam panu spokój z Wiltem.

— Wynoś się pan z mojego gabinetu! — wrzasnął pan Morris.

Pan MacArthur wstał z krzesła.

— Jeszcze pan tego pożałuje — powiedział i poszedł do stołówki studenckiej, aby spróbować się dowiedzieć czegoś kompromitującego o panu Morrisie.

— Żadnych testów — powiedział stanowczym tonem Wilt. — Są mylące.

— Tak pan uważa? — zapytał doktor Pittman, lekarz psychiatra ze Szpitala Fenlandzkiego i profesor psychologii kryminalnej na uniwersytecie. To, że miał plagiocefalię, też nie ułatwiało mu zadania.

— To chyba oczywiste — odparł Wilt. — Pokazuje mi pan kleks, który według mnie wygląda jak moja babcia leżąca w kałuży krwi. Naprawdę sądzi pan, że będę na tyle głupi, aby to powiedzieć? Musiałbym być idiotą. Powiem, że to motylek siedzący na geranium. I za każdym razem będzie tak samo. Pomyślę, jak kleks wygląda, i powiem coś zupełnie innego. Co to panu da?

— Nadal można coś z tego wywnioskować — zauważył doktor Pittman.

— Nie potrzebuje pan chyba cholernego kleksa, żeby wnioskować? — zapytał Wilt, a doktor Pittman zanotował, że ma on obsesję na punkcie krwi. — Równie dobrze można wyciągać wnioski z kształtu czyjejś czaszki.

Doktor Pittman nerwowo przetarł okulary. Nie lubił, kiedy wyciągano wnioski z kształtu czaszek.

— Proszę pana — powiedział — jestem tu na pańskie życzenie, aby ustalić, czy jest pan zdrowy psychicznie, i wydać opinię, czy uważam pana za zdolnego do zamordowania żony i pozbycia się jej zwłok w wyjątkowo ohydny i bestialski sposób. Nie pozwolę, aby to, co pan mówi, wpłynęło na mój ostateczny i obiektywny werdykt.

Wilt przybrał zdumioną minę.

— Muszę przyznać, że nie zostawia pan sobie wielkiego pola manewru. Skoro zrezygnowaliśmy z pomocy technicznych w rodzaju testów, sądziłem, że to, co mam do powiedzenia, będzie jedyną rzeczą, na której może się pan oprzeć. Chyba że, oczywiście, zamierza pan zbadać wypukłości mojej czaszki. Czy nie jest to trochę staroświecka metoda?

— Panie Wilt — odparł doktor Pittman — fakt, że ma pan wyraźne skłonności sadystyczne i znajduje przyjemność w wytykaniu ludziom ich fizycznych ułomności, w najmniejszym stopniu nie skłania mnie do konkluzji, że jest pan zdolny do popełnienia morderstwa.

— To bardzo pocziwe z pana strony — mruknął Wilt. — Chociaż, szczerze mówiąc sądziłem, że każdy człowiek jest zdolny do popełnienia morderstwa w odpowiednich, a właściwie nieodpowiednich, okolicznościach.

Doktor Pittman stłumił w sobie impuls, by przyznać Wiltowi rację, i w zamian uśmiechnął się krzywo.

— Czy powiedziałbyś, że jesteś człowiekiem racjonalnym, Henry? — zapytał.

Wilt zmarszczył brwi.

— Zostańmy przy „panu Wilcie”, dobrze? Nie jest to wprawdzie konsultacja płatna, ale wolałbym, żeby miała bardziej oficjalny charakter.

Uśmiech doktora Pittmana zniknął.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

— Nie, nie powiedziałbym, że jestem człowiekiem racjonalnym — odrzekł Wilt.

— A irracjonalnym?

— Ani w całości takim, ani takim. Jestem po prostu człowiekiem.

— A człowiek nie jest ani taki, ani taki?

— Panie doktorze, jest to pańska domena, nie moja, ale według mnie chociaż człowiek jest obdarzony rozumem, nie zawsze działa racjonalnie. Człowiek jest zwierzęciem, rozwiniętym zwierzęciem, choć, jeśli wierzyć Darwinowi, wszystkie zwierzęta są rozwinięte. Powiedzmy, że człowiek jest zwierzęciem udomowionym, które nie do końca wyzbyło się dzikości.

— A jakim pan jest zwierzęciem? — zapytał doktor Pittman. — Udomowionym czy dzikim?

— Znowu to samo. Te cudownie proste dualistyczne kategorie, które opętały współczesne umysły. „Albo-albo” Kierkegaarda, jak powiedziałaaby ta suka Sally Pringsheim. Nie, nie jestem całkowicie udomowiony. Niech pan spyta moją żonę. Chętnie się na ten temat wypowie.

— Pod jakim względem nie jest pan udomowiony?

— Pierdę w łóżku, panie doktorze. Lubię pierdzić w łóżku. Jest to sygnał pochodzący od tkwiącej we mnie antropoidalnej małpy, która dochodzi prawa do własnego terytorium w jedyny dostępny jej sposób.

— W jedyny dostępny sposób?

— Nie zna pan Evy — odparł Wilt. — Kiedy ją pan pozna, przekona się pan, że dochodzenie praw jest mocną stroną jej, nie moją.

— Czuje się pan zdominowany przez panią Wilt?

— J e s t e m przez nią zdominowany.

— Tyranizuje pana? Przyjmuje rolę dominującą?

— Eva j e s t, panie doktorze. Nie musi niczego przyjmować. Ona po prostu jest.

— Kim jest?

— To zależy. Co dzisiaj mamy? W tym zamknięciu traci się rachubę czasu.

— Czwartek.

— Jeśli dziś jest czwartek, Eva jest Bernardem Leachem.

— Kim?

— Tym garniarzem, panie doktorze. Sławnym garniarzem — wyjaśnił Wilt. — Jutro będzie Margot Fonteyn, a w sobotę gramy w brydża z Mottramami, więc zmieni się w Omara Sharifa. W niedzielę bywa Elizabeth Taylor albo Edną O'Brien, zależy, o kim akurat piszą w kolorowych dodatkach, a po południu jeździmy na przejażdżki i wtedy jest Evą Wilt. To chyba jedyny moment w tygodniu, kiedy ją spotykam, a dzieje się tak dlatego, że ja prowadzę i Eva nie ma nic do roboty oprócz siedzenia i ciosania mi kółków na głowie.

— Zaczynam dostrzegać schemat — oświadczył doktor Pittman. — Pani Wilt miała... ma skłonność do odgrywania różnych ról. To czyniło wasz związek niestabilnym i nie mógł się pan określić jako mąż...

— Panie doktorze — przerwał mu Wilt — żyroskop może, a nawet musi, wirować, ale osiąga przy tym nieporównywalną z niczym stabilność. Jeśli zna pan zasadę działania żyroskopu, zrozumie pan, że naszemu małżeństwu nie brakuje stabilności. Życie z siłą odśrodkową bywa wprawdzie niewygodne, ale na pewno nie jest niestabilne.

— Przed chwilą powiedział pan, że pani Wilt nie przyjmuje roli dominującej, a teraz pan mówi, że ma silny charakter.

— Eva nie jest silna. Ona jest siłą. To pewna różnica. A co do charakteru, ma ich tyle i tak różnorodnych, że trudno za nimi nadążyć. Wystarczy, jeśli powiem, że wciela się we wszystkie z determinacją i energią, które nie zawsze są na miejscu. Pamięta pan ten cykl filmów z Garbo, który parę lat temu pokazywali w telewizji? No więc Eva była potem przez trzy dni Damą Kameliową i umieranie na gruźlicę wyglądało w jej wykonaniu jak taniec świętego Wita. To dopiero były galopujące suchoty.

— Wyłania mi się obraz sytuacji — stwierdził doktor Pittman, notując, że Wilt jest patologicznym kłamcą o skłonnościach sadomasochistycznych.

— Bardzo się cieszę — odparł Wilt. — Inspektor Flint uważa, że zamordowałem Evę i Pringsheimów w przypiływie żądzy krwi i pozbyłem się ich zwłok w jakiś niesamowity sposób. Wspomniał o kwasie. Przecież to kretylizm. Skąd, do licha, miałbym wziąć kwas azotowy w ilości niezbędnej do rozpuszczenia trzech trupów, z których jeden cierpi w dodatku na nadwagę? To nie do pomyślenia.

— Rzeczywiście, nie do pomyślenia — zgodził się doktor Pittman.

— A poza tym — ciągnął wesoło Wilt — czy ja wyglądam na mordercę? Jasne, że nie. Gdyby inspektor powiedział, że to Eva zarżnęła bydłaków, a moim zdaniem ktoś powinien był to zrobić już dawno temu, wtedy potraktowałbym go poważnie. Niech Bóg ma w opiece pechowców, którzy będą w pobliżu, gdy Eva ubrda sobie, że jest Lizzie Borden*.

* Lizzie Borden (1860-1927) — słynna amerykańska morderczyni, z nie wyjaśnionych powodów zabiła siekiera ojca i macochę.

Doktor Pittman popatrzył na niego drapieżnie.

— Sugeruje pan, że pana żona zamordowała państwa Pringsheim? — zapytał. — To chce pan powiedzieć?
— Nie — odrzekł Wilt. — Nie to. Mówię tylko, że kiedy Eva coś robi, to na całego. Kiedy sprząta dom, to go sprząta. Opowiem panu o harpicku. Ma bzika na punkcie zarasków i...
— Panie Wilt — wtrącił pospiesznie doktor Pittman — nie jestem ciekaw, co pani Wilt robi z harpickiem. Przyszedłem tutaj, aby zrozumieć pana. No więc, czy ma pan zwyczaj kopulować z plastikową lalką? Czy jest to zjawisko powtarzające się regularnie?
— To znaczy jest normalne czy powszednie? Pańskie pojęcie normalnego zjawiska może się różnić od mojego.
— To znaczy, czy robi pan to często — sprecyzował doktor Pittman.
— Robię? — powtórzył Wilt. — Nie robię tego wcale!
— O ile dobrze zrozumiałem, położył pan szczególny nacisk na fakt, że ta lalka miała pochwę.
— Nie musiałem kłaść na to nacisku. Ohydztwo było doskonale widoczne.
— Uważa pan, że pochwy są ohydne? — spytał doktor Pittman, zaganiając swą zwierzynę na lepiej mu znany obszar aberracji seksualnych.
— Wyjęte z kontekstu, owszem — odparł Wilt. — A plastikowe przygotowują mnie o mdłości nawet w kontekście.
Kiedy doktor Pittman zakończył swój wywiad, nie bardzo wiedział, co ma myśleć. Ze znużeniem wstał z krzesła i skierował się do drzwi.
— Zostawił pan kapelusz! — zawołał za nim Wilt. — Proszę mi wybaczyć ciekawość, ale czy obstalowuje je pan sobie na miarę?

— No i? — zapytał inspektor Flint, gdy doktor Pittman wszedł do jego gabinetu. — Jak brzmi werdykt?
— Werdykt? Powinno się go zamknąć na resztę życia.
— Chce pan powiedzieć, że jest psychopatą?
— Chcę powiedzieć, że bez względu na to, w jaki sposób ją zabił, pani Wilt musiała się cieszyć, że skrócił jej męki. Dwanaście lat małżeństwa z tym człowiekiem... Mój Boże, strach o tym pomyśleć.
— Niewiele nam to dało — mruknął inspektor, kiedy doktor Pittman wyszedł, stwierdziwszy, że chociaż Wilt myśli metodą konika szachowego, nie można uczciwie powiedzieć, że jest niepoczytalny. — Trzeba będzie zaczekać i zobaczyć, co przyniesie jutro.

15.

Co przyniósł piątek, zobaczyli nie tylko inspektor Flint, sierżant Yates, dwunastu innych policjantów, Barney i pół tuzina robotników budowlanych, lecz także kilkuset studentów college'u stojących na schodach gmachu Nauk Ścisłych, większość wykładowców i cała ósemka ministerialnych wizytatorów, którzy mieli wyjątkowo dobry widok z okien fałszywej sali klubowej służącej Sekcji Gastronomii do szkolenia kelnerów i podejmowania znamienitych gości. Doktor Mayfield robił, co mógł, aby odwrócić ich uwagę od placu budowy.

— Założyliśmy fundamenty kursu w taki sposób, aby zmaksymalizować zainteresowanie studentów — powiedział do profesora Baxendale'a, który stał na czele wizytacji, ale profesor nie dał się zagadać. Był całkowicie skupiony na tym, co wyciągano z fundamentów nowego gmachu administracji.

— Przerażające — wymamrotał, gdy Judy wyjrzała z wykopu. Wbrew nadziejom i przewidywaniom Wilta nie pękła. Beton pokrył ją ochronną skorupą i tak jak przedtem w wielu szczegółach przypominała żywą kobietę, teraz miała wszystkie cechy martwej. Jako ciało ofiary morderstwa była całkowicie przekonująca. Peruka zbiła jej się w klaki i siedziała na głowie przekrzywiona pod okropnym kątem. Ubranie przywarło do niej i oblepił je cement, nogi były wygięte, jakby ktoś je połamał, a jej wyciągnięta jakby w błagalnym geście ręka, która tak wbiła się w pamięć Barneyowi, istotnie przedstawiała poruszający widok, jak również wybitnie utrudniała wydobywanie Judy z wykopu. Nogi bynajmniej nie pomagały, a w dodatku beton zwiększył jej ciężar i obecnymi gabarytami rzeczywiście przypominała Evę Wilt.

— Chyba to właśnie nazywają *rigor mortis* — powiedział doktor Board, gdy doktor Mayfield próbował sprowadzić rozmowę na interdyscyplinarne magisterium.

— Mój Boże — jęknął profesor Baxendale, gdy mimo wysiłków Barneya i ekipy Judy z powrotem wpadła do wykopu. — Ileż musiała wycierpieć. Widzieliście, panowie, tę przeklętą rękę?

Doktor Mayfield widział i gwałtownie się wzdrygnął. Doktor Board zachichotał za jego plecami.

— „Jakieś dobre bóstwo kształt nadaje naszym działaniom z grubsza ociosanym” — zacytował wesoło. — Przynajmniej Wilt oszczędzi na nagrobku. Wystarczy ją czymś podeprzeć i wyryć na piersi napis: „Tu stoi Eva Wilt, z domu taka a taka, zamordowana w zeszłą sobotę”. Pomnikowa za życia, pomnik po śmierci.

— Doprawdy, Board — odezwał się doktor Mayfield — pańskie poczucie humoru jest wyjątkowo niesmaczne.

— Nie da się jej skremować, to pewne — ciągnął doktor Board. — A przedsiębiorca pogrzebowy, który upchnie tę bryłę w trumnie, będzie prawdziwym geniuszem. Chociaż można by ją pewnie trochę obtłuc młotkiem.

Doktor Cox zemdlął w kącie.

— Chyba się jeszcze napiję — powiedział słabym głosem profesor Baxendale.

Doktor Mayfield nalał mu podwójną whisky. Kiedy na powrót odwrócił się do okna, Judy znów wystawała z wykopu. - Normalnie balsamowanie dużo kosztuje — podjął doktor Board. — Nie mówię, że to coś jest idealnie podobne do Evy Wilt, jaką pamiętam...

* W. Szekspir, *Hamlet*. (Tłum. J. Paszkowski.)

— Na litość boską, długo pan tak może? — warknął doktor Mayfield, ale doktor Board nie dał się uciszyć.

— Pomijając już nogi, coś jest chyba nie tak z piersiami. Wiem, że pani Wilt miała duże, ale te wyglądają jak nadmuchane. To pewnie wina gazów. Są produktem rozkładu.

Kiedy wizytatorzy przeszli na lunch, nie mieli już apetytu i większość była pijana.

Inspektor Flint miał mniej szczęścia. W ogóle nie lubił być obecny przy ekshumacjach, a już na pewno nie wtedy, kiedy zwłoki, w których imieniu występował, przejawiały tak wyraźną skłonność do wracania, skąd przyszły. Poza tym nie mógł się zdecydować, czy są to zwłoki czy nie. Obiekt wyglądał jak zwłoki i zachowywał się jak zwłoki, aczkolwiek bardzo ciężkie, ale kształt i układ nóg sugerowały, że pod względem anatomicznym nie wszystko jest tak, jak być powinno. Kolana były dziwnie cienkie i łydki odginały się od nich do góry pod kątem prostym, jakby pani Wilt straciła nie tylko życie, lecz także obie rzepki. To właśnie czyniło zadanie Barneya tak trudnym i wyjątkowo nieprzyjemnym. Gdy Judy opadła do wykopu po raz czwarty, zszedł na dół, aby usprawnić operację.

— Jak ją, dranie, upuścicie — zawołał z głębi — będziecie tu mieli dwa trupy, więc ciągnijcie tę linę do góry, żeby nie wiem co! Zawiążę ją jej wokół szyi.

Inspektor Flint zajął się wykopem.

— Boże broń! — krzyknął. — Nie chcę, żeby urwała jej się głowa. Musimy ją wyciągać w całości.

— Ona jest cholerną całością — dobiegł go stłumiony głos Barneya. — O to jedno nie musi się pan martwić.

— Nie może pan zawiązać liny wokół czegoś innego?

— Mogę — przyznał Barney — ale nie mam zamiaru. Noga urwie się prędzej niż głowa i nie chciałbym być pod spodem, kiedy to się stanie.

— W porządku — odparł inspektor. — Mam nadzieję, że wie pan, co pan robi.

— Powiem panu jedno. Drań, który ją tu wrzucił, na pewno wiedział, co robi.

Ale ta piąta próba również się nie powiodła i Judy została opuszczona na dno wykopu, gdzie spoczęła ciężko na stopie Barneya.

— Dajcie tu ten cholerny dźwig! — zawołał. — Mam tego dość.

— Ja też — mruknął inspektor Flint, który nadal nie był pewien, co właściwie ekshumuje: lalkę wyglądającą jak pani Wilt czy panią Wilt wyglądającą jak nie dokończony dzieło obłąkanego rzeźbiarza. Pozbył się natomiast wszelkich wątpliwości co do stanu umysłowego Wilta. Człowiek, który potrafił posunąć się tak daleko, aby zmasakrować i ukryć przed światem nieważne, swoją żonę czy plastikową lalkę z pochwą, musiał być nienormalny.

Sierżant Yates ubrał myśli inspektora w słowa.

— Nie wmówi mi pan teraz, że drań nie jest szurnięty — powiedział, kiedy dźwig podjechał nad wykop i szyja Judy została obwiązana liną.

— Do góry z nią! — krzyknął Barney.

W jadalni tylko doktor Board delektował się lunchem. Ósemka wizytatorów nawet go nie tknęła. Nie spuszczała wzroku z placu budowy.

— Można chyba powiedzieć, że była *in statu pupillari* — stwierdził doktor Board, sięgając po kolejną cytrynową bezę — co sytuuje nas *in loco parentis*. Niezbyt przyjemna myśl, panowie. Co prawda, nigdy nie była specjalnie bystrą studentką. Chodziła kiedyś na mój wieczorowy kurs literatury francuskiej. Nie wiem, ile rozumiała z *Kwiatów zła*, ale pamiętam, jak pomyślałem, że Baudelaire...

— Doktorze Board — wybełkotał podпиты doktor Mayfield — jak na tak zwanego kulturalnego człowieka jest

pan wyjątkowo nieczuły.

— Pani Wilt również, sądząc z tego, co widzę — odparł doktor Board, zerkając przez okno. — A skoro nadal o niej mowa, chyba zbliżamy się do finału.

Nawet doktor Cox, świeżo oczucony i nakłoniony do zjedzenia kawałka baraniny, wyjrzał przez okno. Kiedy dźwig powoli uniósł Judy do góry, wykładowcy i wizytatorzy wstali i poszli popatrzeć. Widok nie był budujący. U szczytu wykopu lewa noga Judy utknęła w jakiejś szczelinie, a jej stercząca ręka wbiła się w glinę.

— Stój! — krzyknął Barney, ale było już za późno.

Zdeprimowany charakterem ładunku lub błędnie przekonany, że kazano mu ciągnąć mocniej, operator dźwigu poderwał Judy do góry. Pętla zacisnęła się z upiornym trzaskiem i przez chwilę wyglądało na to, że przepowiednia inspektora Flinta się spełni. Inspektor martwił się jednak niepotrzebnie. Judy była bardziej wytrzymała, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Podczas gdy jej zabetonowana, wciąż przykryta peruką, głowa sunęła do góry, a ciało tkwiło nieporuszenie w wykopie, szyja stanęła na wysokości zadania. Rozciągnęła się.

— Mój Boże! — wykrzyknął profesor Baxendale. — Czy to się nigdy nie skończy?

Doktor Board przypatrywał się zjawisku z rosnącym zainteresowaniem.

— Na to wygląda — odparł. — Zalecamy przecież naszym studentom, aby byli elastyczni, prawda, Mayfield?

Doktor Mayfield nie odpowiedział. Gdy Judy upodobniła się do strusia, który przez roztargnienie schował głowę w wiadrze z cementem, zrozumiał, że los interdyscyplinarnego magisterium jest przesądzony.

— Muszę oddać pani Wilt sprawiedliwość — ciągnął doktor Board. — Ma naprawdę wysmukłą szyję. Modigliani byłby zachwycony.

— Na litość boską, niech pan przestanie! — wrzasnął histerycznie doktor Cox. — Traci pan miarę.

— A pani Wilt głowę — zauważył niedelikatnie doktor Board.

W tym momencie rozległ się kolejny paskudny trzask: ciało Judy wreszcie wyrwało się z wykopu. Opryskując wszystko dookoła gliną, śmignęło w górę, aby odnowić bliższy kontakt z głową, po czym, uwolnione od ubrania i betonu, zawisło nagie, różowe i niezwykle realistyczne na końcu liny jakieś dwadzieścia stóp nad ziemią.

— Powiem jedno — odezwał się doktor Board, spoglądając z upodobaniem na pochwę Judy — nekrofilia nigdy mnie zbyt nie pociągała, ale teraz zaczynam dostrzegać jej uroki. Oczywiście to tylko ciekawostka historyczna, niemniej w czasach elżbietańskich był to jeden z przywilejów kata...

— Board! — ryknął doktor Mayfield. — Znałem w życiu paru pieprzonych bydlaków, ale...

Doktor Board dolał sobie kawy.

— W slangu mówi się chyba na to „lubić zimne mięso”.

Stojący pod dźwigiem inspektor Flint stał błoto z twarzy i podniósł wzrok na paskudny przedmiot, który dyndał nad jego głową. Widział teraz, że jest to tylko lalka. Rozumiał też, dlaczego Wilt chciał ohydztwo zakopać.

— Spuść ją na dół. Na miłość boską, spuść ją na dół! — krzyknął, gdy otoczyli go fotoreporterzy.

Operator dźwigu stracił jednak głowę. Zamknął oczy, nacisnął niewłaściwą dźwignię i Judy znów ruszyła do góry.

— Przestań, przestań, to pieprzony dowód rzeczowy! — wrzasnął inspektor, ale było już za późno.

Kiedy końcówka liny nawinęła się na blok, Judy podążyła za nią. Jej betonowa czapka rozkruszyła się na kawałki, głowa weszła między kółka i ciało zaczęło nabrzmiwać, począwszy od nóg.

— Często się zastanawiałem, jak wygląda słoniowaczna — powiedział doktor Board. — Podobno Shelley odczuwał przed nią chorobliwy lęk.

Doktor Cox odczuwał go na pewno. Bełkotał coś kącie, a wicedyrektor mobilizował go, aby wziął się w garść.

— Trafna nazwa — zauważył doktor Board wśród ogólnych westchnień przerażenia, podczas gdy Judy, teraz najwyraźniej w dwunastym miesiącu ciąży, kontynuowała swą transformację. — Wczesny styl minojski, nie sądzisz, Mayfield?

Doktor Mayfield nie był w stanie odpowiedzieć. Wpatrywał się błędnym wzrokiem w pochwę długości jakichś czternastu cali i szerokości ośmiu. Coś puknęło i pochwa zmieniła się w członek, w ogromny członek, który rósł i rósł. To nie mogło się dziać naprawdę. Miał halucynacje.

— W pale się nie mieści — stwierdził doktor Board. — Słyszałem o operacjach zmiany płci, ale...

— W pale? — wrzasnął doktor Mayfield. — W pale? Możesz tu stać i z zimną krwią mówić o...

Rozległ się huk. Judy doszła do kresu swej wytrzymałości. Doktor Mayfield również. Członek pękł pierwszy, doktor Mayfield drugi. Gdy z Judy uszło powietrze, skoczył na doktora Boarda, ale zaraz usunął się na ziemię. Doktor Board zignorował kolegę.

— Kto by pomyślał, że baba miała w sobie tyle pary? — wymamrotał i dopił kawę.

Kiedy wicedyrektor wyprowadził doktora Mayfielda z sali, doktor Board odwrócił się do profesora Baxendale'a.

— Proszę wybaczyć Mayfieldowi — powiedział. — Obawiam się, że to interdyscyplinarne magisterium było ponad jego siły, a prawdę mówiąc, zawsze uważałem, że jest lekko pomyłony. Przypadek *dementia post Cox*, że tak powiem.

Inspektor Flint jechał do komisariatu policji w stanie bliskim pomieszania zmysłów.

— Wyszliśmy na idiotów — warknął do sierżanta Yatesa. — Widziałeś, jak rechotali. Słyszałeś drani. -- Najbardziej rozwścieczyli go fotoreporterzy, którzy chcieli, żeby pozował im do zdjęć ze sflaczałymi szczątkami Judy. — Zostaliśmy publicznie ośmieszeni i, na Boga, ktoś za to zapłaci.

Wyskoczył z samochodu i pognął korytarzem do pokoju przesłuchań.

— W porządku, Wilt! — krzyknął. — Dowcip ci się udał. A teraz kończymy z subtelnościami i przechodzimy do konkretów.

Wilt przyjrzał się podartemu kawałkowi plastiku.

— Tak wygląda lepiej — powiedział. — Bardziej naturalnie, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

— Zaraz sam będziesz wyglądał naturalnie, jeśli nie zaczniesz gadać! — ryknął inspektor. — Gdzie ona jest?

— Kto? — zapytał Wilt.

— Pieprzona pani Wilt. Gdzie ją ukryłeś?

— Mówiłem panu, że nigdzie jej nie ukryłem.

— A ja ci mówię, że ukryłeś. I albo mi powiesz gdzie, albo to z ciebie wyduszę.

— Może mnie pan dusić, jeśli pan chce — odparł Wilt — ale nic to panu nie da.

— Oj, da, da — mruknął inspektor, zdejmując płaszcz.

— Chcę się widzieć z adwokatem — rzucił pospiesznie Wilt.

Inspektor Flint włożył płaszcz.

— Czekałem, aż to powiesz. Henry Wilt, niniejszym oskarżam cię o...

16.

Eva powitała świt nowego dnia w trzcinach, po raz dziesiąty nadmuchując materac. Albo zrobiła się w nim dziura, albo miał nieszczelny korek. W każdym razie wszystko szło bardzo powoli i w końcu była zmuszona schronić się w trzcinach. Tam spędziła bezsenność noc, schodząc z materaca, aby go nadmuchać i wchodząc na niego z powrotem, aby spróbować zmyć muł i wodorosty, które ją oblepiły, gdy stała w wodzie. Straciła przy tym dół swojej cytrynowej piżamy i podarła górę, toteż o świcie przypominała raczej mistrzynię wagi ciężkiej w damskich zapasach w błocie niż wzorową gospodynię domową z Parkview Avenue 34. Poza tym okropnie zmarzła i ucieszyła się, gdy wzeszło słońce, niosące obietnicę gorącego letniego dnia. Musi już tylko *znaleźć* otwartą wodę albo łódź i poprosić kogoś... Nagle dotarło do niej, jakiego narobi sobie wstydu. Cytrynowa piżama była dostatecznie ekstrawagancka w całości; teraz, gdy zostały z niej strzępy, tym bardziej nie wypadało pokazać się w niej publicznie. Z drugiej strony, nie mogła siedzieć w trzcinach cały dzień. Ruszyła naprzód, ciągnąc materac za sobą, trochę płynąc, ale głównie brnąc przez muł. W końcu wyszła z trzcin na otwartą przestrzeń i zobaczyła po drugiej stronie kanału jakiś dom, ogród schodzący ku wodzie i kościół. Kanał był szeroki i nie widziała w pobliżu żadnej łodzi. Będzie musiała go przepłynąć i mieć nadzieję, że w domu mieszka kobieta na tyle miła i, co ważniejsze, duża, że pożyczy jej jakieś ubranie na powrót do domu. W tym momencie Eva odkryła, że zostawiła w trzcinach torebkę. Pamiętała, że miała ją w nocy, ale widocznie spadła z materaca. Cóż, nie było sensu po nią wracać. Po prostu zadzwoni do Henry'ego i poprosi, żeby przyjechał po nią samochodem. I przywiózł jej jakieś ubranie. Tak, to dobry pomysł.

Eva Wilt wspięła się na materac i powiosłowała przez kanał. W połowie drogi materac siadł po raz jedenasty. Eva porzuciła go i wbiła się w kapok. Ale kapok też spowalniał jej ruchy, więc w końcu postanowiła go ściągnąć. Położyła się na wodzie, rozpięła go i nie bez wysiłku zdjęła. Spadły z niej przy tym resztki cytrynowej piżamy, toteż kiedy wyszła na brzeg, była nie tylko wyczerpana, lecz także zupełnie naga. Wpełzła pod zwisające gałęzie wierzby płaczącej i przez chwilę leżała na ziemi, ciężko dysząc. Kiedy odpoczęła, wstała i rozejrzała się dookoła. Znajdowała się u stóp ogrodu, a dom stał sto jardów wyżej. Z tego, co widziała, był to bardzo duży dom, w którym nie czułaby się swobodnie nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. Na przykład miał na tyłach dziedzińiec ze stajniami, co dla Evy, czerpiącej wiedzę o wiejskich posiadłościach wyłącznie z telewizji, oznaczało służbę, ziemiańskość i etykietę, która nie pozwala na składanie wizyt nago. Z drugiej strony, posesja wyglądała na bardzo podupadłą. Ogród był nieporządkny i zarośnięty; ozdobne krzewy, niegdyś przycięte na podobieństwo ptaków i zwierząt, przybrały dziwaczne, niemal monstrualne kształty; z nie strzyżonej trawy boiska

do krykieta sterczały zardzewiałe, przechylone bramki; siatka tenisowa zwisała smętnie między słupkami, a pusta oranżeria miała tylko kilka omszałych szyb. Do tego dochodziła przystań ze zniszczoną budką i jedną wiosłową łodzią. Całość robiła przytłaczająco ponure wrażenie, które potęgowała jeszcze obecność małego kościoła ukrytego wśród drzew po lewej stronie i zaniedbanego cmentarza ogrodzonego starym żelaznym parkanem. Eva wyrzła z gałęzi i miała już opuścić swą kryjówkę, kiedy otwarto się oszklone drzwi, na taras wyszedł jakiś mężczyzna i popatrzył przez lornetkę w kierunku Karpiego Kanału. Miał na sobie czarną sutannę i koloratkę. Eva schowała się z powrotem za drzewo, aby rozważyć niezręczność swego położenia. Co za okropny ambaras. Za nic w świecie nie pójdzie do tego domu, na plebanię, nago. Parkview Avenue nie przygotowało jej na taką sytuację.

Rossiter Grove nie przygotowało Gaskella na sytuację, jaką zastał, gdy Sally obudziła go rano słowami:

— Noe, dzióbasku, potop się skończył. Czas wyfrunąć z klatki.

Gaskell otworzył drzwi kabiny i wyszedł na pokład, gdzie odkrył, że Eva już wyfrunęła, zabierając ze sobą materac i kapoki.

— Zostawiłaś ją na całą noc na dworze? — zapytał. — Teraz siedzimy nie tylko w mule, ale i w gównie. Bez wiosła, bez materaca, bez kapoków, bez niczego.

— Skąd mogłam wiedzieć, że jej odbije i ucieknie ze wszystkim — broniła się Sally.

— Tobie też by odbiło, gdyby ktoś zostawił cię na dworze w ulewnym deszczu. Pewnie zamarzyła już na śmierć. Albo utonąła.

— Próbowałaś mnie zabić. Po czymś takim miałam ją wpuścić do kabiny? Zresztą to twoja wina, bo chlapnąłeś o tej lalce.

— Powiedz to glinom, kiedy wyłowią z kanału jej zwłoki. Ciekawe, jak im wyjaśnisz, dlaczego opuściła jacht w czasie burzy.

— Po prostu chcesz mnie nastraszyć — odparła Sally. — Przecież jej nie wypędziłam ani nic.

— Mówię tylko, że jeśli coś jej się stało, będzie to wyglądało podejrzanie. I powiedz mi, jak mamy się stąd teraz wydostać. Jeżeli myślisz, że popłynę po pomoc bez kapoka, to grubo się mylisz. Nie jestem Markiem Spitzem.

— Mój bohater — mruknęła Sally.

Gaskell poszedł do kabiny i zajrzał do szafki w kambuzie.

— Jeszcze jedno. Kończy nam się jedzenie. I woda.

— Ty nas w tę kabałę wpakowałeś, ty nas z niej wyciągnij — powiedziała Sally.

Gaskell usiadł na koi i spróbował się zastanowić. Musiał być jakiś sposób, aby dać znać, że tu są i mają kłopoty. Łąd nie mógł być daleko. Nie zdziwiłby się, gdyby dzieliły ich od niego tylko trzciny. Wyszedł na pokład i wspiął się na dach kabiny, ale oprócz kościelnej wieży w oddali niczego nie wypatrzył. Może gdyby pomachali jakąś szmatą, ktoś by to zauważył. Przyniósł powłoczkę na poduszkę i przez dwadzieścia minut machał nią nad głową i krzyczał. Potem wrócił do kabiny, wyjął mapę i poślęczał nad nią dłuższą chwilę, na próżno usiłując odgadnąć, gdzie są. Właśnie ją składał, gdy zauważył wciąż leżące na stoliku kostki scrabble'a. Litery. Pojedyncze litery. Mogłoby napisać SOS na czymś, co uniosłoby się w powietrze. Jak latawiec. Gaskell zastanowił się, czy umie zrobić latawiec, i porzucił ten pomysł. Może jednak najlepsze będą sygnały dymne. Wziął z kambuza pustą puszkę, napełnił ją ropą i wgramolił się na dach kabiny. Podpałił zamoczoną w ropie chusteczkę do nosa i włożył ją do puszek, ale dymu było z tego niewiele, za to puszka tak się rozgrzała, że nie mógł jej utrzymać. Wrzucił ją do wody i płomień zgasł z sykiem.

— Dzióbasku — powiedziała Sally — jesteś genialny.

— Jak wymyślisz coś praktycznego, daj mi znać.

— Możesz popłynąć.

— Możesz się utopić — odburknął Gaskell.

— Mógłbyś zrobić tratwę czy coś.

— Mógłbym porąbać jacht. Scheimacher się ucieszy.

— Widziałam kiedyś na filmie, jak jacyś kowboje czy Rzymianie, czy ktoś tam, chcieli się przeprawić przez rzekę i użyli świńskich pęcherzy — powiedziała Sally.

— Na szczęście nie mamy tu świń — odparł Gaskell.

— Ale mamy worki na śmieci — zauważyła Sally.

Gaskell przyniósł plastikowy worek, nadmuchał go i związał koniec sznurkiem. Potem go ścisnął. Worek pękł.

Gaskell padł zniechęcony na koję. Musiał istnieć jakiś prosty sposób wezwania pomocy. Nie miał najmniejszego zamiaru płynąć przez tę mulistą wodę z nadmuchanym workiem na śmieci w ręku. Przełożył kilka kostek scrabble'a i znów przyszył mu na myśl latawce. Albo baloniki. Baloniki.

— Masz te swoje gumy? — zapytał nagle.

— Chryste — jęknęła Sally. — Staje ci w takim momencie? Zapomnij o seksie. Wymyśl, jak nas stąd wyciągnąć.

— Wymyśliłem — odparł Gaskell. — Daj mi gumy.

— Chcesz spłynąć w dół rzeki pontonem z prezerwatyw?

— Baloniki — wyjaśnił Gaskell. — Nadmuchamy gumy, namalujemy na nich litery i wypuścimy je na wiatr.

— Naprawdę jesteś genialny — stwierdziła Sally. Poszła do łazienki i wróciła z kosmetyczką. — Proszę. A już myślałam, że mnie pragniesz.

— Skończyła się sielanka — oświadczył Gaskell. — Przypomnij mi, żebym się z tobą rozwiódł.

Rozdarł paczuszkę, nadmuchał jeden kondom i zawiązał go na supeł.

— Na jakiej podstawie?

— Na takiej, że jesteś lesbijką — odrzekł Gaskell, podnosząc do góry sztuczny członek. — Plus kleptomania, plus zwyczaj wsadzania obcych facetów w lalki. Mało ci? Dołożę jeszcze nimfomanię.

— Nie odważysz się. Twoja rodzina i taki skandal?

— Zobaczymy — mruknął Gaskell i nadmuchał następnego kondom.

— Zboczeniec.

— Lesba.

Sally zmrużyła oczy. Zaczynała podejrzewać, że Gaskell mówi o rozwodzie serio, a jeśli rozwiedzie się z nią w Anglii, jakie dostanie alimenty? Mizerne. Nie mieli dzieci i słyszała, że brytyjskie sądy są skąpe w takich przypadkach. Jak Gaskell i jego rodzina. Bogaci i skąpi. Siedziała na koi i mierzyła go wzrokiem.

— Gdzie masz lakier do paznokci? — zapytał Gaskell, kiedy skończył i w kabynie walało się dwanaście nadmuchanych prezerwatyw.

— Idź do diabła — odburknęła Sally i wyszła na pokład, żeby się zastanowić. Utkwiła spojrzenie w ciemnej wodzie i pomyślała o szczurach i o śmierci, i o byciu znów biedną i wyzwoloną. Szczury jako paradygmat. Świat to parszywe miejsce. Ludzie są przedmiotami, które się wykorzystuje i odrzuca. Tak brzmiała filozofia Gaskella i oto teraz odrzucał Sally. A tymczasem jeden nieostrożny krok po śliskim pokładzie mógł rozwiązać jej problemy. Wystarczy, że Gaskell się pośliznie i utonie, a będzie wolna i bogata i nikt się o niczym nie dowie. Wypadek. Śmierć naturalna. Ale Gaskell umie pływać i nie wolno jej popełnić błędu. Musi jej się udać za pierwszym razem, bo na drugi nie będzie szans. Gaskell będzie miał się na baczości. Musi to być coś pewnego i naturalnego.

Gaskell wyszedł z prezerwatywami na pokład. Związał je razem i na każdej namalował lakierem do paznokci jedną literę, tak że całość brzmiała SOS POMOCY SOS. Wspiął się na dach kabiny i wypuścił je w powietrze. Uniosły się na chwilę, po czym boczny wiatr zepchnął je na wodę. Gaskell ściągnął je za sznurek i spróbował jeszcze raz. Znowu opadły na wodę.

— Zaczekam, aż będzie większy wiatr — powiedział Gaskell i przywiązał sznurek do relingu. Potem wrócił do kabiny i położył się na koi.

— Co będziesz teraz robił? — zapytała Sally.

— Spał. Obudź mnie, jak zerwie się wiatr.

Zdjął okulary i przykrył się kocem. Na pokładzie Sally usiadła na schowku i zaczęła myśleć o przypadkowym utonięciu. W łóżku.

— Panie mecenasie — powiedział inspektor Flint — znamy się od ładnych paru lat i myślę, że mogę być z panem szczerzy. Nie wiem.

— Ale oskarżył go pan o morderstwo — odparł pan Gosdyke.

— W poniedziałek stanie przed sądem. Tymczasem będę go dalej przesłuchiwał.

— Ale przecież to, że przyznaje się do ukrycia plastikowej lalki...

— Ubranej w rzeczy jego żony, mecenasie. W rzeczy jego żony. Niech pan o tym nie zapomina.

— To też trochę za mało. Czy jest pan absolutnie pewien że popełniono morderstwo?

— Trzy osoby znikają bez śladu z powierzchni ziemi. Zostawiają dwa samochody, dom nie sprzątnięty po przyjęciu. Powinien pan zobaczyć ten bałagan oraz łazienkę i korytarz zachlapane krwią.

— Mogli wyjechać cudzym samochodem.

— Mogli, ale nie wyjechali. Doktor Pringsheim nie lubił być przez nikogo wożony. Wiemy to od jego kolegów z Wydziału Biochemii. Żył głęboką awersją do brytyjskich kierowców. Niech mnie pan nie pyta dlaczego, ale tak było.

— Pociągi? Autobusy? Samoloty?

— Sprawdzone na wszystkie strony. Nikt, kto odpowiadałby ich rysopisowi, nie opuścił miasta żadnym środkiem publicznego ani prywatnego transportu. A jeśli chce pan zasugerować, że wybrali się na wycieczkę rowerową, to też pudło. Rower doktora Pringsheima stoi w garażu. Nie ma mowy o żadnym wyjeździe. Oni nie

żyją i ten cwaniak Wilt dobrze o tym wie.

— Nadal nie rozumiem, jak może pan być tego pewien — powiedział pan Gosdyke.

Inspektor Flint zapalił papierosa.

— Przyjrzyjmy się jego działaniom, jego dowiedziony działaniom, i zobaczymy, jaki tworzą obraz. Bierze lalkę naturalnej wielkości...

— Skąd?

— Twierdzi, że dała mu ją żona. Nie ma znaczenia, skąd ją wziął.

— Mówi, że po raz pierwszy zobaczył ją w domu Pringsheimów.

— Być może. Jestem gotów w to uwierzyć. Skądkolwiek ją jednak wziął, pozostaje faktem, że przebrał ją za panią Wilt, po czym wrzucił do wykopu na budowie, wykopu, o którym wiedział, że ma zostać zabetonowany. Pokazuje się dozorca w porze, gdy college jest zamknięty. Zostawia rower ze swoimi odciskami palców i podpisaną książką w koszyku. Rozsypuje notatki wokół wykopu. Zjawia się u pana Braintree o północy, umazany błotem, i mówi, że zmieniał koło, co nie jest prawdą. Nie powie mi pan chyba, że nie działał według jakiegoś planu.

— Mówi, że usiłował się pozbyć tej lalki.

— Mnie powiedział, że przymierzał się do zabójstwa żony.

— Tak, ale wyłącznie w wyobraźni. Mnie powiedział, że chciał się pozbyć lalki — obstawał przy swoim pan Gosdyke.

— Więc dlaczego ją nadmuchał, ubrał i zostawił na wierzchu, żeby ją zauważono podczas betonowania? Dlaczego nie przysypał jej ziemią, żeby nikt jej nie znalazł? Dlaczego zwyczajnie cholerstwa nie spalił albo nie wrzucił w jakieś krzaki? To po prostu nie ma sensu, chyba że jest zasłoną dymną dla prawdziwej zbrodni. — Inspektor zamilkł na chwilę. — Moim zdaniem, na tym przyjęciu wydarzyło się coś, o czym nie wiemy. Może Wilt przyłapał żonę w łóżku z doktorem Pringsheimem i zabił ich oboje. Pani Pringsheim była tego świadkiem, więc sprzątnął i ją.

— W jaki sposób? — zapytał pan Gosdyke. — Nie znaleźliście aż tyle krwi.

— Uduśli ją. Uduśli swoją żonę. Zatłukł Pringsheima na śmierć. Potem ukrył gdzieś zwłoki, wrócił do domu i zrobił tę machlojkę z lalką. A w niedzielę pozbył się prawdziwych trupów.

— Jak?

— Nie wiem, ale się dowiem. Jestem pewien jednego: człowiek, który potrafił uknuć taki plan, musiał wymyślić jakiś szatański sposób pozbycia się ofiar. Nie byłbym zaskoczony, gdyby się okazało, że w niedzielę nielegalnie wykorzystał krematorium. Cokolwiek zrobił, dam sobie rękę uciąć, że zrobił to dokładnie.

Pan Gosdyke wciąż nie dawał się przekonać.

— Naprawdę nie pojmuję, skąd ma pan tę pewność — powiedział.

— Proszę pana — odparł inspektor ze znużeniem w głosie — pan spędził ze swoim klientem dwie godziny. Ja spędziłem z nim niemal cały tydzień i dowiedziałem się przynajmniej tyle, że bydlak wie, co robi. Każdy normalny człowiek w jego położeniu byłby zaniepokojony czy wręcz przerażony. Każdy niewinny człowiek w obliczu zaginięcia żony i niezbitych dowodów morderstwa doznałby załamania nerwowego. Ale nie Wilt. O nie, on siedzi tam niewzruszony jak głaz i poucza mnie, jak mam prowadzić dochodzenie. To przekonuje mnie w zupełności, że drań jest winny na sto procent. Zabił ich i ja o tym wiem. Co więcej, zamierzam tego dowieść.

— Teraz wygląda na zaniepokojonego — zauważył pan Gosdyke.

— Ma powody — mruknął inspektor. — Wie, że do poniedziałku rano wyciągnę z niego prawdę, choćby miało to zabić nas obu.

— Panie inspektorze — odparł pan Gosdyke, podnosząc się z krzesła — uprzedzam pana, że poradziłem mojemu klientowi, aby się do niczego nie przyznawał, a jeśli pojawi się w sądzie ze śladami pobicia...

— Panie mecenasie, przecież mnie pan zna. Nie jestem kompletnym idiotą i jeśli pański klient będzie miał w poniedziałek rano jakieś ślady, to na pewno nie powstałe w wyniku pobicia go przeze mnie czy któregoś z moich ludzi. Może pan być spokojny.

Pan Gosdyke opuścił komisariat z zamętem w głowie. Musiał się zgodzić z inspektorem, że opowieść Wilta nie była zbyt przekonująca. Nie miał dużego doświadczenia z mordercami, ale podejrzewał, że ludzie, którzy przyznają się do fantazjowania o zabijaniu żon, na ogół wprowadzają te fantazje w czyn. Poza tym, nie udało mu się nakłonić Wilta do zeznania, że wrzucił lalkę do wykopu, aby zrobić kawał kolegom. Wilt nie chciał kłamać, a pan Gosdyke nie przywykł do klientów, którzy obstają przy mówieniu prawdy.

Inspektor Flint wrócił do pokoju przesłuchań i popatrzył na Wilta. Potem przystawił sobie krzesło i usiadł.

— Henry — powiedział z fałszywą uprzejmością — utniemy sobie pogawędkę.

— Jeszcze jedną? — zdziwił się Wilt. — Pan Gosdyke poradził mi, żebym nic nie mówił.

— Zawsze to robi — odparł słodko inspektor — kiedy wie, że klient jest winny. Będziesz mówił?

— Czemu nie? Nie jestem winny, a przy pogawędce czas szybciej płynie.

17.

W ten piątek, jak w każdy inny dzień tygodnia, mały kościół w Waterswick był pusty. I jak w każdy inny dzień tygodnia pastor, wielebny St. John Froude, był pijany. Te dwie rzeczy, brak wiernych i nietrzeźwość pastora, szły ze sobą w parze. Była to stara tradycja sięgająca czasów przemytu, kiedy „brandy dla proboszcza” stanowiła jedyny powód, dla którego w tej odciętej od świata osadzie w ogóle urzędował pastor, i jak wiele innych angielskich tradycji nie chciała wygasnąć. Władze kościelne dbały o to, aby do Waterswick trafiali zdziwaczali zeloci nie nadający się na proboszczów w większych parafiach, a ci, próbując sobie wynagrodzić tę izolację i brak zainteresowania wiernych sprawami ducha, wpadali w alkoholizm. Wielebny St. John Froude podtrzymywał tę tradycję. Spełniał swe duszpasterskie obowiązki z tym samym fundamentalistycznym anglokatolickim zapałem, przez który musiał opuścić poprzednią placówkę, i przymykał pijane oko na działalność nielicznych parafian, którzy, jako że na brandy nie było już wielkiego popytu, zadowalali się okazjonalnymi ładunkami nielegalnych imigrantów z Indii.

Tego ranka, skończywszy śniadanie złożone z ajerkoniaku i kawy po irlandzku i przeczytawszy w gazecie z poprzedniej niedzieli o bezceństwach swych co bardziej zepsutych kolegów, z przestrachem zauważył, że coś kiwa się nad trzcinami na Karpim Kanale. Wyglądało to jak pęk baloników, białych baloników w kształcie parówek, na moment podfrunęło wyżej i zniknęło. Wielebny St. John Froude wzdygnął się, zamknął oczy, otworzył je ponownie i pomyślał o zaletach abstynencji. Jeśli się nie mylił, a nie wiedział, czy chce się mylić czy nie, poranek został sprofanowany przez pęk prezerwatyw, nadmuchanych prezerwatyw, kiwających się nierytmicznie tam, gdzie jak wskazywała logika, nie powinny się kiwać żadne prezerwatywy. To znaczy, miał nadzieję, że jest ich kilka. Tak często bowiem widział rzeczy podwójnie, że nie mógł być pewien, czy coś, co wygląda jak pęk nadmuchanych prezerwatyw, nie jest w rzeczywistości jedną albo wręcz żadną.

Przyniósł z gabinetu lornetkę i wyszedł na taras, żeby lepiej im się przyjrzeć, ale tymczasem zjawisko zniknęło. Wielebny St. John Froude pokręcił żałośnie głową. Musiało już być naprawdę niedobrze, zwłaszcza z jego wątroba, jeśli ma halucynacje tak wcześnie rano. Wrócił do pokoju i spróbował się skupić na sprawie archidiacona z Ongar, który poddał się operacji zmiany płci i uciekł ze swoim kościelnym. Był to materiał na kazanie, jeśli tylko znajdzie w Biblii odpowiedni werset.

Eva Wilt obserwowała z głębi ogrodu poczynania pastora i zastanawiała się, co robić. Nie mogła pójść na plebanię w takim stanie. Potrzebowała ubrania albo przynajmniej jakiegoś okrycia. Rozejrzała się za czymś takim i jej wybór padł na bluszcz oplatający cmentarny parkan. Nie spuszczać oka z plebanii, wyszła spod wierzyby, popędziła do parkanu i wpadła przez bramę na cmentarz. Tam zdarła kilka pędów bluszczu z pnia jakiegoś drzewa i trzymając je niezdarnie przed sobą, ruszyła zarośniętą ścieżką w stronę kościoła. Przez większą część drogi zasłaniały ją od plebanii drzewa, ale raz czy dwa musiała przykucnąć i przemknąć od nagrobka do nagrobka. Kiedy dopadła kościelnej kruchty, ciężko dyszała, a jej poczucie niestosowności wzrosło dziesięciokrotnie. Jeśli perspektywa pojawienia się nago w cudzym domu razila ją na gruncie form towarzyskich, wejście na golasa do kościoła było po prostu świętokradztwem. Stała w kruchcie, usiłując zdobyć się na odwagę, żeby otworzyć drzwi. W zakrystii musiały być komże dla chóru, a ubrana w komżę będzie mogła pójść na plebanię. Ale czy na pewno? A jeśli komże mają jakieś znaczenie i proboszcz się zezłości? Boże, jaka żenująca sytuacja. W końcu pchnęła drzwi i weszła. W środku było zimno, wilgotno i pusto. Przyciskając do siebie bluszcz, podbiegła do drzwi zakrystii i szarpnęła za klamkę. Były zamknięte. Drżąc z zimna, spróbowała zebrać myśli. Ostatecznie wyszła na dwór i stanęła w słońcu, aby się rozgrzać.

W pokoju nauczycielskim w college'u doktor Board bawił kolegów rozmową.

— Zważywszy wszystko, sędzę, że wyszliśmy z całej sprawy obronną ręką — powiedział. — Dyrektor stale powtarzał, że chce wypromować college, i trzeba przyznać, że przy pomocy kolegi Wilta wreszcie mu się to udało. Prasa nie mogła nam zrobić większej reklamy. Nie będę zaskoczony, jeśli studenci zaczną do nas walić drzwiami i oknami.

— Przedstawiciele ministerstwa nie zatwierdzili naszego kursu — zauważył pan Morris — więc nie może pan mówić, że ich wizyta była w pełni udana.

— Według mnie powinni być zadowoleni — odparł doktor Board. — Nie codziennie człowiek ma sposobność zobaczyć jednocześnie ekshumację i egzekucję. Ta druga zazwyczaj poprzedza pierwszą, a oglądanie, jak coś, co ze wszech miar przypomina kobietę, staje się w ciągu kilku sekund mężczyzną, z pewnością było przeżyciem, od którego, używając współczesnego idiomu, lasuje się mózg.

— *A propos* biednego Mayfielda — odezwał się kierownik Geografii — podobno nadal przebywa na oddziale psychiatrycznym.

— W pokoju bez klamki? — zapytał doktor Board z nadzieją w głosie.

— W depresji. Jest też krańcowo wyczerpany.
— Wcale się nie dziwię. Ktoś, kto tak kaleczy język, sam szuka guza. Strukturyzacja podejścia, też coś.
— Wiązał z tym interdyscyplinarnym magisterium wielkie nadzieje i fakt, że zostało odrzucone...
— Zupełnie słusznie — wtrącił się doktor Board. — Nie widzę walorów edukacyjnych w zaznajamianiu drugorzędnych studentów z pięciorzędnymi ideami dotyczącymi dziedzin tak od siebie odległych jak poezja średniowieczna i socjologia miasta. Znacznie lepiej spożytkują swój czas, patrząc, jak policja wykopuje z betonu rzekome zwłoki kobiety, rozciąga jej szyję, zdiera z niej całe ubranie, wiesz ją i wreszcie nadmuchuje, póki nie pęknie. Oto prawdziwie pouczające doświadczenie. Łączy archeologię z kryminologią, zoologię z fizyką i anatomię z teorią ekonomii, a przy tym niepodzielnie angażuje uwagę studentów. Jeżeli już musimy prowadzić interdyscyplinarne kursy, niech będą równie wciągające. I równie praktyczne. Zastanawiam się, czy nie kupić sobie takiej lalki.
— Nie wyjaśniła się jednak kwestia zniknięcia pani Wilt — powiedział pan Morris.
— Ach, droga Eva — westchnął marząco doktor Board. — Zobaczywszy tyle czegoś, co miało być nią, jeśli kiedykolwiek będę miał przyjemność znów ją spotkać, potraktuję ją z najwyższym szacunkiem. Zdumiewająco wszechstronna kobieta, a jak ciekawie zbudowana! Chyba nazwę moją lalkę Eva.
— Ale policja nadal jest zdania, że pani Wilt nie żyje.
— Taka kobieta nie umiera do końca — odparł doktor Board. — Może eksplodować, ale pamięć o niej żyje wiecznie.

Siedzący w swoim gabinecie wielebny St. John Froude podzielał opinię doktora Boarda. Było mało prawdopodobne, aby kiedykolwiek udało mu się wymazać z pamięci obraz dużej i ewidentnie nagiej niewiasty, która wyłoniła się zza wierzby w głębi jego ogrodu niczym jakaś obrzydliwie przerośnięta nimfa i przemknęła przez cmentarz. A to, że zobaczył ją tuż po ukazaniu się nadmuchanych prezerwatyw, utwierdziło go w obawach, iż trochę przesadza z alkoholem. Porzuciwszy pracę nad kazaniem o odszczepieńczym archidiakonie z Ongar — zamierzał oprzeć je na wersecie „Poznacie ich po ich owocach” — wstał, popatrzył przez okno w stronę kościoła i właśnie się zastanawiał, czy nie powinien pójść i sprawdzić, czy nie ma tam dużej, grubej, nagiej kobiety, gdy dostrzegł coś nad trzcinami po drugiej stronie kanału. Diabelstwa znów się pojawiły i tym razem nie było żadnych wątpliwości, czym są. Chwycił lornetkę i wbił w nie wściekłe spojrzenie. Widział je teraz dużo wyraźniej i wyglądały dużo bardziej złowieszczo. Słońce stało już wysoko i z Karpiego Kanału podniosła się mgła, toteż prezerwatywy nabrały świetlistego połysku i sprawiały wrażenie niemal niematerialnych. Co gorsza, był na nich jakiś napis, dobrze widoczny, acz niezrozumiały. Brzmiał SOSPOM. Wielebny St. John Froude odłożył lornetkę, sięgnął po butelkę whisky i zastanowił się, co może znaczyć ektoplazmatyczne SOSPOM widniejące na niebie. Zanim wychylił trzecią szybką szklaneczkę i stwierdził, że w spirytyzmie jednak coś jest, choć nie pojmuje, dlaczego nawiązał kontakt z Włoszką podającą skrócony przepis na spaghetti, wiatr przestawił litery. Gdy spojrzał na nie ponownie, napis brzmiał MOCOSPY. Pastora przeszły ciarki. Czyżby Bóg znowu zamierzał ukarać ludzkość zarazą?

— Grzechy ducha — powiedział z wyrzutem do czwartej szklaneczki whisky, po czym raz jeszcze poradził się wyroczni. Odpowiedziała mu POCOMOSO, potem SOMOPC, a potem SSSYMPSO, co było jeszcze gorsze. Wielebny St. John Froude odłożył lornetkę i butelkę i ukleknął, aby pomodlić się o ratunek albo chociaż wskazówkę, jak ma zinterpretować przesłanie. Ilekroć jednak wstawał, aby sprawdzić, czy Bóg spełnił jego prośbę, układ liter był równie bezsensowny jak przedtem lub wręcz przerażający. Co, na przykład, znaczyło PSYSS? Albo SYPOMO? W końcu, postanowiwszy osobiście zbadać istotę zjawiska, włożył sutanne i zygzakiem ruszył przez ogród ku przystani.

— Będą przeklinać ten dzień — mruknął, gdy wgramolił się do łódki i chwycił za wiosła. Jako anglikatolik, wielebny St. John Froude był zdecydowanym przeciwnikiem antykoncepcji.

Na jachcie Gaskell smacznie spał, a Sally czyniła przygotowania. Rozebrała się i włożyła plastikowe bikini. Wyjęła z torebki jedwabną apaszkę i położyła ją na stoliku. Przyniosła z kuchni dzbanek i, wychyliwszy się przez burtę, napełniła go wodą. Na koniec poszła do łazienki i zrobiła sobie makijaż. Kiedy wyszła, miała przyklejone sztuczne rzęsy, jej usta były krwistoczerwone, a bladą twarz pokrywała gruba warstwa fluidu. W rękę trzymała czepek kąpielowy. Stała w progu kabiny i wysunęła do przodu biodro.

— Gaskell, dzióbasku! — zawołała.

Gaskell otworzył oczy i spojrzał na nią.

— Co jest, do diabła?

— Podobam ci się, skarbie?

Gaskell włożył okulary. Wbrew sobie musiał przyznać, że mu się podoba. Nawet bardzo.

— Jeśli myślisz, że mnie udobruchasz, to nic z tego.

Sally uśmiechnęła się.
— Za dużo mówisz. Pragnę cię, biodegradowalny dzióbasku.
Usiadła obok niego na koi.
— Co chcesz zrobić?
— Chcę ci zrobić dobrze. — Popieściła go delikatnie. — Jak za dawnych czasów. Pamiętasz?
Gaskell pamiętał i chwycił go dziwna słabość. Sally nachyliła się i przycisnęła go do koi.
— Sztuczna Sally — powiedziała, rozpinając mu koszulę.
Gaskell zaczął się wiercić.
— Jeśli myślisz...
— Nie myśl, zboczku — przerwała mu Sally i rozpięła rozporek jego dzinsów. — Twardziej.
— O Boże — westchnął Gaskell.
Perfumy, plastik, maska twarzy i jej dłonie budziły stare fantazje. Leżał bezwładnie, patrząc na nią, i pozwalał się rozbierać. Nie zaprotestował nawet wtedy, gdy przetoczyła go na twarz i wykręciła mu ręce do tyłu.
— Mój masoszek — wyszeptala i sięgnęła po jedwabną apaszkę.
— Nie, Sally, nie — zaproponował słabym głosem.
Sally uśmiechnęła się ponuro i związała mu ręce, starannie przeplótłszy apaszkę między nadgarstkami, zanim zacisnęła węzeł. Kiedy skończyła, Gaskell jęknął.
— To boli.
Sally przekręciła go na wznak.
— Uwielbiasz, jak cię boli — powiedziała i pocałowała go w usta, a potem znów zaczęła pieścić. — Stawiaj maszt, dzióbasku. Unieś mnie do nieba.
— Och, Sally.
— Grzeczny chłopczyk. A teraz guma.
— Nie trzeba. Wolę bez.
— Ale ja wolę z. Na dowód, że mnie kochałeś, póki nas śmierć nie rozłączyła.
Pochyliła się i założyła mu prezerwatywę. Gaskell wytrzeszczył na nią oczy. Coś było nie tak.
— I jeszcze to.
Sięgnęła po czepek kąpielowy.
— Czepek? — zdziwił się Gaskell. — Po co? Nie chcę czepka.
— Ależ chcesz, złotko. Będiesz w nim wyglądał jak dziewczynka. — Włożyła mu czepek na głowę. —
A teraz w Sallię inter allię.
Zdjęła dół bikini i usiadła na nim. Gaskell wpatrywał się w nią, lekko pojękując. Wyglądała cudownie. Dawno nie była dla niego taka dobra. Nadal jednak się bał. Jej oczy miały wyraz, jakiego nigdy dotąd nie widział.
— Rozwiąż mnie — poprosił. — Boli mnie ramię.
Ale Sally tylko się uśmiechnęła i zakotłosała.
— Kiedy skończysz, dzióbasku. Kiedy się skończysz. — Poruszyła biodrami. — Szybciej, leniu, szybciej.
Gaskell zadygotał.
— Finito?
Skinął głową.
— Finito — westchnął.
— Na dobre, dzióbasku, na dobre — odparła Sally. — To był twój ostatni raz.
— Dlaczego ostatni?
— Skończyłeś i skończyłeś się. Charon już czeka.
— Jaki Charon?
— C jak cmentarz, H jak Hades, A jak agonia, R jak raz dwa, O jak otchłań i N jak nicność. Zostało tylko to.
Sięgnęła po dzbanek z mulistą wodą. Gaskell odwrócił głowę i spojrzał na niego.
— Co to jest?
— Dla ciebie, dzióbasku. Woda niezycia. — Przesunęła się i usiadła mu na piersi. — Otwórz buzię.
Gaskell Pringsheim wytrzeszczył na nią przerażone oczy i zaczął się wić.
— Zwariowałaś? Odbiło ci!
— Leż spokojnie, a nic nie poczujesz. Zaraz będzie po wszystkim, skarbie. Śmierć naturalna przez utonięcie.
W łóżku. Przejdziesz do historii.
— Ty suko, ty mordercza suko...
— Pozdrów ode mnie Cerbera — powiedziała Sally i nalała mu wody do ust. Potem odstawiała dzbanek i naciągnęła mu czepek na twarz.

Wielebny St. John Froude wiosłował zdumiewająco równo jak na człowieka, który ma w żołądku pół butelki

whisky, a w sercu gniew, zwłaszcza że w miarę jak zbliżał się do prezerwatyw (widział już, że nie są urojeniem) gniew ten rósł. Nie chodziło nawet o to, że zupełnie niepotrzebnie zląkł się o swoją wątrobę, tylko o wyznawaną przezeń doktrynę seksualnej nieinterwencji. Zdaniem wielebnego St. Johna Froude, jeśli Księga Rodzaju mówiła prawdę, Bóg stworzył idealny świat, który od tamtej pory zszedł na psy. A Księga Rodzaju musiała mówić prawdę, bo inaczej dalszy ciąg Biblii nie miałby żadnego sensu. Wyszedszy od tej fundamentalistycznej przesłanki, doszedł, klucząc przez Blake'a, Hawkera, Leavisa i paru obskurantkich teologów do wniosku, że cuda współczesnej nauki są dziełem szatana, że zbawienie można osiągnąć, jedynie odrzucając wszelki postęp techniczny, jaki dokonał się od czasów renesansu, a nawet od jeszcze wcześniej, i że przyroda jest nieskończenie mniej okrutna niż nowoczesny *homo mechanicus*. Krótko mówiąc, był przekonany, że zbliża się koniec świata pod postacią nuklearnego holocaustu i że jako chrześcijanin ma obowiązek oznajmić to bliźnim. Właśnie przez swoje przerażająco obrazowe kazania na ten temat znalazł się na wygnaniu w Waterswick. Wiosłując teraz Karpim Kanałem, pomstował w myślach na antykoncepcję, aborcję i rozpustę seksualną. To one były przejawami i przyczynami moralnego chaosu, jaki zapanował na Ziemi. One i wycieczkowicze. Wielebny St. John Froude nienawidził wycieczkowiczów. Plugawili mały Eden jego parafii swymi łodziami, tranzystorami i nieokiełznaną radością życia. A wycieczkowicze, którzy sprofanowali widok z okna jego gabinetu nadmuchiwanymi prezerwatywami z bezsensownym przesłaniem, byli pomiotem szatana. Kiedy zobaczył jacht, jego gniew osiągnął stan wrzenia. Wściekle dowiosłował do burty, przycumował łódkę i, zakasawszy sutannę do kolan, wszedł na pokład.

W kabine Sally wpatrywała się w czepek, który powiększał się i kurczył, podnosił się i znów opadał na twarz Gaskella. Sally wyla się z rozkoszy. Była najbardziej, ale to najbardziej wyzwoloną kobietą na świecie. Gaskell umierał, zostawiając jej milion dolarów, i nikt się o niczym nie dowie. Kiedy skona, zdejmie mu czepek, rozwiąże ręce i wepchnie ciało do wody. Gaskell Pringsheim umrze naturalną śmiercią przez utonięcie. W tym momencie otworzy się drzwi kabiny i w progu stanął wielebny St. John Froude.

— Co jest? — mruknęła Sally i zeskoczyła z Gaskella.

Wielebny St. John Froude lekko się stropił. Przypłynął tu, żeby pałać kazanie i zaraz je palnie, ale najwyraźniej przeszkodził jakiejś bardzo nagiej kobiecie z paskudnie wymalowaną twarzą w uprawianiu seksu z mężczyzną, który, na pierwszy rzut oka, wydawał się w ogóle nie mieć twarzy.

— Proszę państwa... — zaczął i urwał, bo mężczyzna spadł z koi na podłogę i wił się w bardzo niezwykle sposób. Wielebny St. John Froude patrzył na niego osłupiały. Facet nie tylko był pozbawiony twarzy, lecz także miał związane ręce.

— Ależ drogi panie — powiedział pastor, przerażony tą sceną, i spojrzał na nagą kobietę, w nadziei, że coś mu wyjaśni.

Wpatrywała się weń demonicznie, trzymając oburącz duży kuchenny nóż. Kiedy ruszyła ku niemu, wielebny St. John Froude cofnął się do kokpitu. Najwyraźniej była obłąkana. Mężczyzna również. Tarzał się po podłodze i kręcił głową. W końcu udało mu się pozbyć czepka, ale pastor już tego nie widział, bo gramolił się przez burłę do swojej łódki. Odwiązał cumę w momencie, gdy upiorna kobieta rzuciła się w jego stronę, i chwycił za wiosła, całkowicie zapomniawszy o swej misji. Kobieta stała w kokpicie, miotając wyzwiska pod jego adresem, a za nią, w drzwiach kabiny, pojawił się mężczyzna. Pastor z ulgą odnotował, że ma już twarz, niezbyt miłą, właściwie okropną, ale zawsze twarz. Podkradał się do kobiety w jakichś niecznych zamiarach. Jakie to zamiary, wyjaśniło się w następnej chwili. Mężczyzna runął na kobietę, nóż upadł na pokład, kobieta przeleciała przez reling i wpadła do wody. Wielebny St. John Froude nie czekał dłużej. Powiosłował przed siebie najszybciej, jak mógł. Nie chciał mieć nic wspólnego z żadną perwersyjną orgią seksualną, a wymalowane kobiety z nożami wyzywające go, między innymi, od jebanych synów liżypizdy nie zasługiwały na współczucie, gdy obiekt ich wyuzdanych namiętności wepchnął je do wody. Poza tym byli Amerykanami, a wielebny St. John Froude nienawidził Amerykanów. Ucieleśniali wszystko, co go mierzilo we współczesnym świecie. Przepelniony świeżym wstrętem do teraźniejszości i potrzebą napicia się whisky, dopłynął do domu i zacumował łódź przy pomoście.

Tymczasem na jachcie Gaskell przestał krzyczeć. Ksiądz, który uratował mu życie, zignorował jego ochryple błagania o dalszą pomoc, a Sally stała obok jachtu w wodzie po pas. Niech sobie tam stoi. Poszedł do kabiny, odwrócił się, żeby zaryglować drzwi związanymi rękami i poszukał wzrokiem czegoś, czym mógłby przeciąć jedwabną apaszkę. Nadal był śmiertelnie przerażony.

— W porządku — powiedział inspektor Flint. — A co zrobiłeś potem?

— Wstałem i przeczytałem niedzielne gazety.

— A potem?

— Zjadłem talerz płatków i napiłem się herbaty.

— Herbaty? Jesteś pewien? Przedtem mówiłeś, że kawy.
— Kiedy przedtem?
— Kiedy o tym mówiłeś.
— Napilem się herbaty.
— A potem?
— Dałem Clemowi puszkę.
— Jaką puszkę?
— Chappie.
— Przedtem mówiłeś, że Bonzo.
— A teraz mówię, że Chappie.
— Zdecyduj się. Jaka to była puszka?
— A jakie to, kurwa, ma znaczenie?
— Dla mnie ma.
— Chappie.
— A jak już nakarmiłeś psa?
— Ogotłem się.
— Przedtem mówiłeś, że wziąłeś kąpiel.
— Wziąłem kąpiel, a potem się ogoliłem. Nie mówiłem o kąpeli, żeby oszczędzić na czasie.
— Nie martw się o czas, Wilt, mamy go w bród.
— A która jest godzina?
— Zamknij się. Co zrobiłeś potem?
— Na litość boską, jakie to ma znaczenie? Po co mam w kółko powtarzać to samo?
— Zamknij się.
— Dobrze — odparł Wilt. — Zamknę się.
— Co zrobiłeś, jak już się ogoliłeś?
Wilt nic nie odpowiedział.
— Co zrobiłeś?

Wilt uparcie milczał. W końcu inspektor Flint wyszedł z pokoju i posłał po sierżanta Yatesa.

— Zaniemówił — poinformował go znużonym głosem. — Co robimy?

— Próbujemy lekkiej perswazji fizycznej?

Flint potrząsnął głową.

— Gosdyke go widział. Jeśli w poniedziałek w sądzie będzie miał choć jeden włos nie na miejscu, oskarży nas o brutalne traktowanie. Trzeba wymyślić inny sposób. Bydlak musi mieć jakiś słaby punkt, ale za cholere nie mogę go znaleźć. Jak on to robi?

— Co?

— Mówi bez przerwy, ale nie mówi nic. Nic sensownego. Drań ma więcej opinii na każdy cholerny temat pod słońcem niż ja włosów na głowie.

— Jeśli nie damy mu spać przez następne czterdzieści osiem godzin, w końcu się rozsypie.

— A ja razem z nim — odparł Flint. — Obaj wystąpimy w sądzie w kaftanach bezpieczeństwa.

W pokoju przesłuchań Wilt położył głowę na stole. Za chwilę wrócą z dalszymi pytaniami, ale nawet chwila snu była lepsza niż nic. Sen. Gdyby tylko pozwolili mu się przespać. Co powiedział Flint? „Jak tylko podpiszesz zeznanie, będziesz mógł spać, ile chcesz”. Wilt zastanowił się nad tą uwagą i możliwościami, jakie otwierała. Zeznanie. Musiałoby być na tyle wiarygodne, żeby zaczęli je sprawdzać i dali mu odpocząć, a jednocześnie tak nieprawdopodobne, żeby sąd je odrzucił. Chodzi o to, żeby zająć ich do czasu, kiedy Eva wróci i dowiedzie jego niewinności. To tak jakby dać drugiej monterskiej *Jeźdźca znikąd* do czytania, a potem móc siedzieć i rozmyślać o wrzuceniu Evy do wykopu. Powinien wymyślić coś skomplikowanego, co zajmie policję bez reszty. Jak ich zabił? Zatłukł na śmierć w łazience? Za mało krwi. Sam Flint to przyznał. Więc jak? Jak można łatwo i przyjemnie wyprawić kogoś na tamten świat? Biedaczek Pinkerton wybrał łagodną śmierć, wsadzając gumowy wąż w rurę wydechową swojego samochodu... To było to. Ale dlaczego? Potrzebował motywu. Nakrył Evę w łóżku z doktorem Pringsheimem? Z tym durniem? Niemożliwe. Eva nawet by nie spojrzała na Gaskella. Ale Flint tego nie wiedział, A co z tą suką Sally? Zabawiali się w trójkacie? To by wyjaśniało, dlaczego zabił wszystkich troje, i dostarczyło motywu, jaki Flint był w stanie pojąć. A poza tym pasowało do tego przyjęcia. Więc wziął wąż... Jaki wąż? Nie potrzebował węża, bo byli w garażu. Schronili się tam przed resztą gości. Nie, źle. Musieli być w łazience. Może Eva i Gaskell robili to w wannie? Tak lepiej. Wyłamał drzwi w przypiływie zazdrości. Dużo lepiej. A potem ich utopił. Sally weszła na górę, więc musiał zabić i ją. Stąd wzięła się krew. Szarpał się z Sally. Nie chciał jej zabić, ale wpadła do wanny. Na razie dobrze. Ale gdzie ukrył zwłoki? Musi

wymyślić jakieś dobre miejsce. Flint nie uwierzy w żadną rzekę. I trzeba pamiętać o lalce. Flint ubrdał sobie, że wrzucenie jej do wykopu było taktyką dywersyjną. Co oznacza, że pozbycie się zwłok wymagało czasu.

Wilt wstał i powiedział, że chce iść do ubikacji. Jak zwykle posterunkowy poszedł razem z nim i stanął pod drzwiami kabiny.

— Czy to konieczne? — zapytał Wilt. — Nie powieszę się na łańcuszku.

— Mam pilnować, żebyś nie międlil parowy — odburknął posterunkowy.

Wilt usiadł na sedesie. Międlil parowę. Co za wyrażenie. Kojarzyło mu się z pierwszą mięsną. Pierwsza mięsna? Na Wilta spłynęło natchnienie. Wstał i spuścił wodę. Tak, z pierwszą mięsną będą mieli pełne ręce roboty. Wrócił do bladezielonego pokoju z brzęczącą jarzeniówką. Flint już na niego czekał.

— Będiesz mówił? — zapytał.

Wilt potrząsnął głową. Jeśli jego przyznanie się do winy ma być przekonujące, muszą wyciągnąć je zeń powoli. Musi się wahać, zaczynać mówić, urywać, zaczynać znowu, prosić Flinta, żeby przestał go męczyć, i mówić dalej. Tę rybkę trzeba znieść. No cóż, przynajmniej pomoże mu to opanować senność. - Chce pan zacząć jeszcze raz od początku? — zapytał.

Inspektor Flint uśmiechnął się jadowniczo.

— Od samego początku.

— Dobrze — odparł Wilt — niech będzie. Tylko proszę mnie nie pytać, czy dałem psu Chappie czy Bonzo. Nie chcę rozmawiać o psiej karmie.

Inspektor Flint połknął haczyk.

— Dlaczego?

— Działa mi to na nerwy — odrzekł Wilt, wzdygając się. Inspektor pochylił się do przodu.

— Rozmowa o psiej karmie działa ci na nerwy?

Wilt zrobił żalostną minę.

— Niech pan przestanie — powiedział. — Proszę, niech pan przestanie.

— Więc co mu dałeś, Bonzo czy Chappie? — zapytał inspektor, wietrząc krew.

Wilt ukrył twarz w dłoniach.

— Nic panu nie powiem. Nic. Dlaczego ciągle pyta mnie pan o jedzenie? Niech pan mi da spokój.

Jego głos podniósł się histerycznie, podsycając nadzieje Flinta. Inspektor potrafił poznać, kiedy trafił w czuły punkt. Był na dobrym tropie.

18.

— Mój Boże — jęknął sierżant Yates. — Przecież jedliśmy wczoraj paszteciki wieprzowe na lunch. To okropne.

Inspektor Flint przepłukał usta czarną kawą i splunął do umywalki. Wymiotował już dwa razy i czuł, że może zwymiotować trzeci.

— Byłem pewien, że to będzie coś takiego — powiedział, wzdygając się. — Byłem pewien. Człowiek, który potrafił wyciąć ten numer z lalką, musiał mieć w zanadru coś naprawdę paskudnego.

— Ale do tej pory wszystkie mogły już zostać zjedzone — zauważył sierżant.

Flint popatrzył nań złowrogo.

— A dlaczego, twoim zdaniem, skierował nas na fałszywy trop? Żeby ludzie zdążyli je skonsumować. To jego słowo, „skonsumować”, nie moje. Wiesz, jaką przydatność do spożycia ma pasztecik wieprzowy?

Yates potrząsnął głową.

— Pięć dni. Pięć dni. Trafiły do sklepów we wtorek, więc mamy jeden dzień, żeby odszukać te, których jeszcze nie sprzedano. Niech nasi ludzie zbiorą wszystkie paszteciki wieprzowe we wschodniej Anglii. Niech znajdą i przyniosą wszystkie cholerne parówki i paszteciki wołowo-nerkowe, które wyszły w tym tygodniu z zakładów mięsnych Sweetbreads. I wszystkie puszki karmy dla psów.

— Karmy dla psów?

— Słyszałeś — mruknął inspektor Flint, wytaczając się z łazienki. — A przy okazji karmy dla kotów. Z Wiltem nic nie wiadomo. Mógł nas okłamać w jednym ważnym szczególe.

— Ale skoro zrobił z nich paszteciki wieprzowe, o co chodzi z tą karmą dla psów?

— A gdzie, twoim zdaniem, wpakował resztki? — zapytał rozwścieczony inspektor Flint. — Miał ryzykować, że ludzie będą przychodzić i narzekać, że znaleźli w paszteciku od Sweetbreads ząb albo paznokieć? Nie Wilt. Bydlak pomyślał o wszystkim. Utopił ich w wannie. Włożył zwłoki do plastikowych worków na śmieci i zamknął worki w garażu, a potem poszedł do domu i wrzucił tę pieprzoną lalkę do wykopu. W niedzielę wrócił, zabrał worki i spędził cały dzień w pustych zakładach mięsnych... Jeśli chcesz wiedzieć, co tam robił, przeczytaj

jego zeznanie. To nie na mój żołądek.

Inspektor zawrócił pospiesznie do łazienki. Żywił się pasztecikami wieprzowymi od poniedziałku. Prawdopodobieństwo tego, że skosztował pani Wilt, było bardzo duże.

*

Kiedy o ósmej rano otwarto zakłady przetwórstwa mięsnego Sweetbreads, inspektor Flint i sierżant Yates czekali już pod bramą. Popędzili prosto do biura i inspektor zażądał widzenia z dyrektorem.

— Jeszcze go nie ma — powiedziała sekretarka. — Może ja mogłabym w czymś pomóc?

— Chcę dostać listę wszystkich placówek, do których dostarczacie paszteciki wieprzowe, paszteciki wołowo-nerkowe, parówki i karmę dla psów — oświadczył inspektor.

— Nie mogę udzielić panu tej informacji — odparła sekretarka. — Jest zastrzeżona.

— Zastrzeżona? Co to znaczy?

— Nie wiem, co to znaczy. Ale nie mogę na własną odpowiedzialność zdradzić panu poufnych danych...

Sekretarka urwała. Inspektor Flint wpatrywał się w nią z okropnym wyrazem twarzy.

— Proszę pani — odezwał się w końcu — skoro mówimy o poufnych danych, powinna pani wiedzieć, że zawartość waszych pasztecików wieprzowych bynajmniej nie budzi zaufania.

— Nie budzi zaufania? Nie rozumiem, o co panu chodzi. Produkujemy nasze paszteciki wyłącznie ze zdrowych składników.

— Zdrowych? — krzyknął inspektor. — Nazywa pani trzy trupy zdrowymi? Nazywa pani spalone, zmielone i ugotowane szczątki trzech ofiar morderstwa zdrowymi?

— Używamy wyłącznie... — zaczęła sekretarka, po czym spadła zemdlna z krzesła.

— Na litość boską! — wrzasnął inspektor. — Kto by pomyślał, że głupia suka, która pracuje w rzeźni, będzie taka delikatna. Dowiedz się, gdzie mieszka dyrektor, i natychmiast go tu ściągnij.

Inspektor Flint usiadł na krześle, a sierżant Yates zaczął przetrząsać szuflady biurka.

— Pobudka — warknął Flint, trącając sekretarkę nogą. — Jeżeli ktoś miałby prawo wylegiwać się w pracy, to ja. Nie spałem trzy doby i jestem współwinny morderstwa.

— Współwinny? — zdziwił się sierżant Yates. — Nie rozumiem dlaczego.

— Nie rozumiesz? A jak nazwiesz pomoc w pozbyciu się ciał ofiar? To ukrywanie dowodów przestępstwa.

— Nie myślałem o tym w ten sposób — odparł Yates.

— A ja owszem — mruknął inspektor. — Nie mogę myśleć o niczym innym.

W swojej celi Wilt wpatrywał się spokojnie w sufit. Był zdumiony, że tak łatwo mu poszło. Wystarczy powiedzieć ludziom coś, co chcą usłyszeć, a uwierzą ci, choćby to było najbardziej nieprawdopodobne. Poza tym trzy doby bez snu solidnie osłabiły nieufność inspektora Flinta, a Wilt wahał się niezwykle przekonująco i uczynił swe ostateczne wyznanie wyważoną mieszanką pychy i rzeczowości. Szczegóły morderstwa podał z zimną precyzją, a opisując usuwanie zwłok, mówił jak fachowiec dumny ze swego dzieła. W trudniejszych miejscach uciekał w gorączkową arogancję, rzucając chełpliwe, a zarazem trwożliwe uwagi w rodzaju: „Niczego mi nie udowodnicie. Nie został po nich żaden ślad”. Wykorzystał nawet harpick. Wzmianka o nim zaprawiła obraz spływających do ścieku dowodów rzeczowych makabrycznym realizmem. Kiedy Eva to usłyszy, będzie zachwycona. Czego nie dało się powiedzieć o inspektorze Flincie. Nie dostrzegł nawet ironii w stwierdzeniu, że cały czas miał Pringsheimów pod nosem. A najbardziej rozdrażniła go rada, żeby na przyszłość trzymał się zdrowej żywności. Tak, mimo zmęczenia Wilt dobrze się bawił, obserwując, jak wyraz nabiegłych krwią oczu inspektora przechodzi od radości i złośliwej satysfakcji w jawne zdumienie i wreszcie w obrzydzenie. Kiedy Wilt zaczął się chwalić, że bez dowodów nie będą mogli postawić go przed sądem, Flint nie wytrzymał.

— Owszem, będziemy mogli! — wrzasnął ochryple. — Choćby z całej tej partii został tylko jeden pasztecik, odszukamy go, damy do analizy...

— I znajdziecie w nim wyłącznie wieprzowinę — dokończył Wilt, zanim wywleczono go z pokoju.

To akurat była prawda i jeśli Flint w nią nie wierzył, jego sprawa. Chciał usłyszeć wyznanie winy i usłyszał je, dzięki uprzejmości pierwszej mięsnej, rzeźników-praktykantów, którzy przez długie godziny przedmiotów ogólnokształcących objaśniali Wiltowi działanie zakładów Sweetbreads, a pewnego popołudnia nawet go tam zabrali, żeby zobaczył wszystko na własne oczy. Kochane chłopaki. A tak ich kiedyś nie znosił. Co tylko dowodziło, jak bardzo można się co do kogoś mylić. Wilt zaczął się zastanawiać, czy nie pomylił się co do Ewy, i czy na pewno nic jej nie jest, ale w tym momencie usnął.

Eva przyglądała się z cmentarza, jak wielebny St. John Froude schodzi na przystań i zaczyna wiosłować w stronę trzciny. Gdy tylko zniknął jej z oczu, skierowała się do domu. Pod nieobecność pastora była gotowa

zaryzykować spotkanie z jego żoną. Wśliznęła się przez bramę na dziedziniec i rozejrzała dookoła. Teren był zaniedbany, a stos pustych butelek w rogu, butelek po whisky i ginie, kazały przypuszczać, że pastor nie jest żonaty. Wciąż zasłaniając się bluszczem, Eva podeszła do kuchennych drzwi i zapukała. Nikt nie odpowiedział. Zajrzała przez okno do środka. Kuchnia była duża i panował w niej typowy kawalerski bałagan. Eva ponownie zapukała do drzwi i właśnie się zastanawiała, co ma począć, gdy usłyszała nadjeżdżający samochód.

Zawahała się i nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły. Weszła do środka i zamknęła drzwi w chwili, gdy na dziedziniec wjechała furgonetka mleczarza. Kiedy mleczarz postawił butelki i odjechał, ruszyła korytarzem do frontowej sieni. Jeśli znajdzie telefon, będzie mogła zadzwonić do Henry'ego, żeby po nią przyjechał. Zaczeka na niego w kościele. Ale w sieni telefonu nie było. Zajrzała ostrożnie do kilku pokoi, zupełnie pustych albo z pokrowcami na meblach. Nie odznaczały się też czystością. Pastor zdecydowanie był kawalerem. Wreszcie znalazła jego gabinet. Na biurku stał telefon. Podeszła do biurka, podniosła słuchawkę i wykręciła Ipford 66066. Długi sygnał. No tak, Henry jest w college'u. Wykręciła numer college'u i poprosiła pana Wilta.

— Wilita? — powtórzyła dziewczyna z centrali. — Henry'ego Wilita?

— Tak — potwierdziła szeptem Eva.

— Niestety, nie ma go — odparła dziewczyna.

— Nie ma? Ależ musi być!

— Ale go nie ma.

— Ale ja koniecznie muszę się z nim skontaktować.

— Przykro mi, nie mogę pani pomóc — powiedziała dziewczyna.

— Ale... — zaczęła Eva i spojrzała w okno. Pastor już wrócił i szedł ścieżką w stronę domu. — O Boże — wymamrotała, pospieszenie odkładając słuchawkę. Odwróciła się i w popłochu wybiegła z pokoju. Dopiero gdy dopadła kuchni, zorientowała się, że zostawiła w gabinecie bluszcz. W korytarzu dały się słyszeć kroki. Eva rozejrzała się gorączkowo dookoła, odrzuciła myśl o wyjściu na dziedziniec i wbiegła po schodach na piętro. Tam przystanąła i zaczęła nasłuchiwać. Serce waliło jej jak młotem. Utknęła nago w obcym domu, sam na sam z pastorem, Henry'ego nie było w college'u, kiedy powinien tam być, a dziewczyna z centrali miała bardzo dziwny głos, niemal jakby nie wypadało prosić go do telefonu. Teraz Eva już zupełnie nie wiedziała, co robić.

W kuchni wilebny St. John Froude doskonale wiedział, co chce zrobić: na zawsze wymazać z pamięci obraz piekła, do którego zwały go te fruujące plugastwa z bezsensownym napisem. Wyjął z kredensu nową butelkę Teachersa i poszedł z nią do gabinetu. To, co zobaczył na jachcie, było tak groteskowe, tak okropne, tak ewidentnie szatańskie, że znów zaczął się zastanawiać, czy nie doznał koszarnej halucynacji. Mężczyzna bez twarzy, ze związanymi na plecach rękami, wymalowana kobieta z nożem, ten język... Wilebny St. John Froude otworzył butelkę i miał już nalać sobie whisky, gdy zauważył bluszcz, który Eva zostawiła na krześle. Pospieszenie odstawił butelkę i utkwiał w nim wzrok. Kolejna intrygująca zagadka. W jaki sposób pęd bluszczu trafił na krzesło w jego gabinecie? Na pewno go tam nie było, kiedy wychodził z domu. Podniósł go ostrożnie i położył na biurku. Potem usiadł, kontemplując zjawisko z rosnącym niepokojem. Działo się na tym świecie coś, czego nie rozumiał. I co z tą dziwną istotą, która przemknęła między nagrobkami? Zupełnie o niej zapomniał. Wilebny St. John Froude wstał, wyszedł na taras i ruszył ścieżką w stronę kościoła.

— W niedzielę? — wykrzyknął dyrektor zakładów mięsnych Sweetbreads. — W niedzielę nie pracujemy. Nikogo tu nie ma. Zakłady są zamknięte.

— W zeszłą niedzielę były otwarte i ktoś tu pracował, panie Kidney* — odparł inspektor Flint.

— Kidley — poprawił go dyrektor. — Kidley, z „I” w środku.

Inspektor skinął głową.

— Panie Kidley, mówię panu, że ten Wilt był tutaj w zeszłą niedzielę...

— Jak dostał się do środka?

— Po drabinie przez okno od strony parkingu.

— W biały dzień? Ktoś by go zauważył.

— O drugiej w nocy, panie Kidney?

— Kidley, inspektorze, Kidley.

— Panie Kidley, jeżeli mając takie nazwisko, pracuje pan w takim miejscu, sam się pan o to prosi.

Pan Kidley posłał Flintowi wojownicze spojrzenie.

— Jeżeli pan insynuuje, że jakiś cholerny wariat przyszedł tu w zeszłą niedzielę z trzema trupami i posługując się naszym sprzętem, przerobił je na artykuły spożywcze spełniające normy Instytutu Żywności, to sam jest pan chory na głowę. A właśnie, co zrobił z głowami? Niech mi pan to powie.

* Kidney (ang.) — nerka.

— Co zazwyczaj robicie z głowami, panie Kidley? — zapytał inspektor.
— To zależy. Niektóre wysyłamy razem z odpadkami do działu karmy dla zwierząt...
— Właśnie. Wilt mówi, że to właśnie z nimi zrobił. Przechowujecie te odpadki w chłodni numer dwa. Zgadza się?

Pan Kidley smętnie skinął głową.

— Tak, zgadza się — powiedział i nagle wlepił oczy w inspektora. — Ale głowa świni bardzo się różni od...
— Owszem — wtrącił pospiesznie inspektor. — I zapewne pan sądzi, że ktoś by zauważył tę różnicę.
— Ależ oczywiście.
— No więc pan Wilt powiedział mi, że macie niezwykle skuteczną maszynkę do mięsa.
— Nie! — krzyknął rozpaczliwie pan Kidley. — Nie wierzę w to. To niemożliwe. To...
— Twierdzi pan, że nie mógł...
— Nie twierdę, że nie mógł. Mówię tylko, że nie powinien był. To potworne.
— Owszem, to potworne — przyznał inspektor. — Niemniej pozostaje faktem, że użył tej maszynki.
— Ale my utrzymujemy nasz sprzęt w nieskazitelnej czystości!
— Wszystko się zgadza. Wilt powiedział, że starannie ją później wyczyścił.
— Musiał być bardzo staranny — odparł pan Kidley. — W poniedziałek rano wszystko leżało na swoim miejscu. Słyszał pan, co mówił brygadzysta.

— Słyszałem też, co mówił ten bydlak Wilt. Zapisywał sobie, skąd co bierze, żeby móc odłożyć to potem na miejsce. Pomyślał o wszystkim.

— A nasza reputacja? O niej nie pomyślał. Od dwudziestu pięciu lat słyniemy z doskonałej jakości naszych wyrobów, a teraz coś takiego. Jesteśmy głównym... — Pan Kidley nagle zamilkł i usiadł.

— Mniejsza o to — odezwał się inspektor. — Muszę wiedzieć, kogo zaopatrujecie. Wycofamy ze sklepów wszystkie paszteciki wieprzowe i parówki...

— Wycofacie? Nie da się ich wycofać! — wrzasnął pan Kidley. — Jest już po nich.

— Po nich? Jak to, po nich?

— Tak to. Zjedzono je albo poszły na przemiał.

— Na przemiał? Nie powie mi pan chyba, że nic z nich nie zostało. Opuściły wasze zakłady zaledwie pięć dni temu.

Pan Kidley zebrał się w sobie.

— Panie inspektorze, jesteśmy staroświecką firmą i stosujemy tradycyjne metody produkcji. Pasztecik wieprzowy Sweetbreads jest prawdziwym pasztecikiem, nie jakimś erzacem nafaszerowanym konserwantami.

Teraz inspektor Flint osunął się na krzesło.

— Mam rozumieć, że wasze pieprzone paszteciki się psują?

Pan Kidley skinął głową.

— Są przeznaczone do natychmiastowego spożycia — powiedział z dumą. — „Dziś w sklepie, jutro na stole”. To nasza dewiza. Na pewno widział pan nasze reklamy.

Inspektor Flint nie widział.

— „Dzisiejsze paszteciki o wczorajszym smaku, tradycyjne paszteciki z domowym farszem”.

— Rzeczywiście, z domowym — odparł inspektor Flint.

Pan Gosdyke popatrzył na Wilta z dezaprobatą i potrząsnął głową.

— Powinien pan być mnie posłuchać. Radziłem panu nic nie mówić.

— Musiałem coś powiedzieć — odparł Wilt. — Nie pozwalali mi się przespać i na okrągło zadawali te same głupie pytania. Nie ma pan pojęcia, co się robi z człowiekiem. Można naprawdę zbzikować.

— Sądząc po pańskim zeznaniu, musiał pan być „zbzikowany” już wcześniej. Człowiek, który z własnej i nieprzymuszonej woli mówi policji...

— Kiedy to nieprawda — przerwał mu Wilt. — Wszystko to wymyśliłem.

— Z takim bogactwem odrażających szczegółów? Trudno mi w to uwierzyć. Naprawdę trudno. Ten fragment o biodrach i goleniach... Mdlę mnie na samą myśl.

— Przecież to z cytat Biblii — odrzekł Wilt. — Musiałem dołożyć trochę makabry, inaczej by mi nie uwierzyli. Pamięta pan, jak mówię, że przepiłowałem...

— Panie Wilt, na litość boską...

— Od razu widać, że nie uczył pan pierwszej mięsnej. Wszystkie fachowe szczegóły wzięłem od nich, a kiedy się ich uczyło, nic nie może już człowieka zaskoczyć.

Pan Gosdyke uniósł brew.

— Czyżby? Chyba potrafię wyprowadzić pana z błędu — powiedział uroczystym tonem. — W świetle zeznania, które pan złożył wbrew moim życzliwym radom, i w związku z moim głębokim przekonaniem, że każde

słowo w tym zeznaniu jest prawdą, nie mogę dłużej pana reprezentować. — Zebrał swoje papiery i wstał. — Będzie pan musiał znaleźć sobie innego adwokata.

— Naprawdę wierzy pan w tę bzdurę, że wsadziłem Evę w paszteciki wieprzowe? — zapytał Wilt.

— Czy w to wierzę? Człowiek, któremu może przyjść do głowy tak ohydna myśl, jest zdolny do wszystkiego. Owszem, wierzę, a co ważniejsze, wierzy w to policja. Przetrzęsają w tej chwili sklepy, puby, supermarkety i śmietniki w całym kraju w poszukiwaniu pasztecików wieprzowych.

— Nawet jeśli jakieś znajdą, nic im z tego nie przyjdzie.

— Może zainteresuje też pana wiadomość, że zarekwirowali pięć tysięcy puszek Rekxa, tyleż samo puszek Mruczka, i zaczęli rozkładać na czynniki pierwsze ćwierć tony Przednich Parówek Sweetbreadsa. Gdzieś w tej górze mięsa muszą znaleźć jakiś ślad po pani Wilt, nie mówiąc o doktorze Pringsheimie i jego żonie.

— Cóż, mogę tylko powiedzieć, że życzę im powodzenia — odparł Wilt.

— Ja również — wycedził z niesmakiem pan Gosdyke i wyszedł z pokoju.

Wilt westchnął. Niechże ta Eva wreszcie wróci. Gdzie, do diabła, mogła się podziać?

Siedzący w policyjnym laboratorium inspektor Flint zaczął się niecierpliwić.

— Nie można by tak trochę szybciej? — zapytał.

Szef laboratorium potrząsnął głową.

— To szukanie igły w stogu siana — powiedział, spoglądając znacząco na świeżo wniesioną partię parówek.

— Na razie ani śladu. To może potrwać kilka tygodni.

— Nie mam na to kilku tygodni — odparł inspektor. — W poniedziałek staję przed sądem.

— To tylko rozprawa wstępna, a poza tym ma pan jego zeznanie.

Ale inspektor Flint zaczął powątpiewać w przydatność tego zeznania. Przyjrawszy mu się dokładniej, zauważył kilka nieścisłości, których zmęczenie, obrzydzenie oraz paląca konieczność zamknięcia tego ohydneho protokołu, zanim zwymiotuje, nie pozwoliły mu zauważyć od razu. Na przykład, niewyraźny podpis Wilta wyglądał przy bliższym rozpoznaniu jak Al Jolson, obok widniało QNED, które Flint sprytnie rozszyfrował jako Quod Non Erat Demonstrandum, a poza tym, jak na jego policyjny gust, było tam trochę za dużo wzmianek o karmie dla psów, i to psów gończych. Najnowsza informacja, że Wilt zamówił na lunch dwa paszteciki wieprzowe, koniecznie od Sweetbreadsa, sugerowała obłąkany kanibalizm, który może i pasował do całości, ale wydawał się lekką przesadą. Flintowi przyszło na myśl słowo „prowokacja”, a od epizodu z lalką był uczulony na złą prasę. Przeczytał zeznanie raz jeszcze, ale wciąż nie mógł się zdecydować, co ma o nim sądzić. Jedno było pewne. Wilt wiedział, jak funkcjonują zakłady Sweetbreadsa. Dowodziło tego bogactwo szczegółów, które podał. Z drugiej strony, niedowierzenie pana Kidleya w kwestii głów i maszynki do mięsa okazało się w pełni uzasadnione. Flint obejrzał tę maszynę piekielną i musiał przyznać, że jest mało prawdopodobne, aby nawet ktoś taki jak Wilt w napadzie morderczego szału mógł... Inspektor odpedził tę myśl i postanowił uciąć sobie kolejną pogawędkę z Henrym. Czując się jak zreanimowany nieboszczyk, wrócił do pokoju przesłuchań i posłał po Wilta.

— Jak wam idzie? — zawołał Wilt od drzwi. — Znaleźliście coś w tych frankfurterkach? Zawsze możecie jeszcze spróbować szczęścia z kaszanką...

— Wilt — przerwał mu inspektor — dlaczego podpisałeś to zeznanie Al Jolson?

Wilt usiadł.

— Więc wreszcie pan to zauważył? Cóż za spostrzegawczość.

— Zadałem ci pytanie.

— Rzeczywiście — przyznał Wilt. — Powiedzmy, że wydało mi się to odpowiednie.

— Odpowiednie?

— Bo śpiewałem, chyba tak się to nazywa w slangu, żebyście dali mi się przespać, a poza tym jest to niezły dżez, więc...

— Chcesz powiedzieć, że wszystko to zmyśliłeś?

— A co pan sobie, do diabła, wyobraża? Nie sądzi pan chyba, że naraziłbym Bogu ducha winnych konsumentów na spożycie Pringsheimów i Evy w formie pasztecików wieprzowych? Pańska łatwowierność musi mieć jakieś granice.

Inspektor Flint przeszył go wściekłym spojrzeniem.

— Na Boga, Wilt — powiedział — jeśli się okaże, że z rozmysłem sfabrykowałeś tę historię...

— To co mi pan zrobi? — zapytał Wilt. — Oskarżył mnie pan już o morderstwo. Czemu jeszcze pan chce? Przywozicie mnie tutaj, poniżacie mnie, krzyczycie na mnie, nie dajecie mi spać, bombardując mnie pytaniami o psią karmę, oznajmiacie światu, że pomagam wam w dochodzeniu w sprawie wielokrotnego zabójstwa, przez co wszyscy mieszkańcy tego kraju dochodzą do wniosku, że zarząłem żonę, jakiegoś piekielnego biochemika i...

— Zamknij się! — ryknął Flint. — Mam gdzieś, co myślisz. Obchodzi mnie to, co zrobiłeś, i to, co powiedziałaś, że zrobiłeś. Dołożyłeś wszelkich starań, żeby wprowadzić mnie w błąd...

— Nic podobnego — odparł Wilt. — Do wczoraj mówiłem samą prawdę, ale pan jej nie akceptował. Wczoraj, pod absurdalną postacią pasztecika wieprzowego, zafundowałem panu kłamstwo, w które chciał pan

uwierzyć. Jeżeli lubi pan bajki i stosuje nielegalne metody w rodzaju pozbawiania człowieka snu, żeby je usłyszeć, nie może pan mieć do mnie pretensji. To nie mój problem, że jest pan głupi. Zamiast przychodzić tu z pogrozkami, niech pan lepiej poszuka mojej żony.

— Zróbcie coś, bo zabiję drania! — wrzasnął Flint, wybiegając z pokoju. Poszedł do swojego gabinetu i posłał po sierżanta Yatesa. — Odwołaj akcję pasztecik — powiedział. — To kompletny klops.

— Klops? — powtórzył niepewnie sierżant.

— Fiasko — wyjaśnił Flint. — Znowu to zrobił.

— To znaczy...

— To znaczy, że ten gnojek znowu wyprowadził nas w pole.

— Ale skąd wiedział tyle o zakładach i tak dalej?

Flint podniósł na sierżanta żalosne spojrzenie.

— Jeśli chcesz wiedzieć, dlaczego jest chodzącą encyklopedią, idź i spytaj go o to.

Sierżant Yates poszedł i wrócił po pięciu minutach.

— Pierwsza mięsna — oznajmił enigmatycznie.

— Pierwsza mięsna?

— Rzeźnicy-praktykanci, których kiedyś uczył. Oprawdzili go po zakładach.

— Chryste — jęknął Flint. — Czy jest ktoś, kogo ten bydlak nie uczył?

— Mówi, że dużo mu to dało.

— Yates, zrób coś dla mnie. Wróć tam i wyciągnij z niego nazwy wszystkich grup, z którymi miał zajęcia. Będziemy przynajmniej wiedzieli, czego się spodziewać.

— Słyszałem, jak wspominał o drugiej tynkarskiej i pierwszej monterskiej...

— Wszystkie, Yates, wszystkie. Nie chcę, żeby zaskoczył mnie bajeczką o utopieniu pani Wilt w szambie, bo uczył kiedyś drugą gównianą.

Inspektor wziął do ręki wieczorną gazetę i zerknął na nagłówki. POLICJA PRZESZUKUJE PASZTECIKI.

— O Boże — westchnął. — Nie wpłynie to za dobrze na nasz publiczny wizerunek.

W college'u dyrektor wyrażał tę samą opinię na zebraniu kierowników sekcji.

— Staliśmy się publicznym pośmiewiskiem — powiedział. — Po pierwsze, zapanowało ogólne przekonanie, że mamy zwyczaj zatrudniać wykładowców, którzy grzebią swoje niechciane żony w fundamentach nowych budynków. Po drugie, straciliśmy wszelkie szanse na uzyskanie statusu politechniki w związku z odrzuceniem przez ministerstwo naszego interdyscyplinarnego magisterium z racji tego, że nie zapewniamy warunków, które byłyby godne wyższej uczelni. Profesor Baxendale wypowiedział się w tej kwestii bardzo stanowczo. Szczególnie zbulwersowała go wzmianka jednego ze starszych wykładowców o nekrofilii.

— Powiedziałem tylko... — zaczął doktor Board.

— Wszyscy wiemy, co pan powiedział. I może zainteresuje pana informacja, że doktor Cox w swych rzadkich przeblyskach świadomości wciąż odmawia spożywania zinnego mięsa. Doktor Mayfield złożył już rezygnację. A do tego wszystkiego mamy to...

Dyrektor podniósł do góry gazetę z wydrukowanym u szczytu strony nagłówkiem SEMINARIA Z SEKSU.

— Mam nadzieję, że zwróciliście wszyscy uwagę na zdjęcie — powiedział kwaśno dyrektor, wskazując dużą i zrobioną pod niefortunnym kątem fotografię Judy zwisającej z dźwigu. — Artykuł podaje... Mniejsza z tym. Możecie go przeczytać sami. Ja chciałbym tylko uzyskać odpowiedzi na kilka pytań. Po pierwsze, kto zlecił zakup trzydziestu egzemplarzy *Kompleksu Portnoya* na użytek ślusarzy i tokarzy?

Pan Morris spróbował sobie przypomnieć, kto uczył ślusarsko-tokarską.

— Chyba Watkins — powiedział. — Opuścił nas w zeszłym semestrze. Pracował na pół etatu.

— Bogu dzięki, że nie na cały — stwierdził dyrektor. — Po drugie, który wykładowca ma zwyczaj radzić przedszkolankom, żeby cały czas nosiły... hmm... krążki dopochwowe.

— Pan Sedgwick jest ich wielkim sympatykiem — odparł pan Morris.

— Przedszkolankę czy krążków? — zapytał dyrektor.

— Może przedszkolankę z krążkami? — zasugerował *sotto voce* doktor Board.

— Jest przeciwnikiem pigulek — dodał pan Morris.

— Niech pan poprosi pana Sedgwicka, żeby stawił się w moim gabinecie w poniedziałek o dziesiątej rano. Chcę mu wyjaśnić, na jakich warunkach jest tu zatrudniony. I po trzecie, którzy wykładowcy używają pomocy audiowizualnych do wyświetlania starszym sekretarkom filmów pornograficznych?

Pan Morris energicznie potrząsnął głową.

— Nikt z mojej sekcji — powiedział.

— Tu jest napisane, że wyświetlano takie filmy — ciągnął dyrektor — w godzinach przeznaczonych na prasówkę.

— Wentworth faktycznie pokazał im *Zakochane kobiety* — przyznał kierownik Filologii Angielskiej.
— Dobrze, mniejsza już o to. Chcę poruszyć jeszcze jedną kwestię. Nie poprowadzimy wieczorowego kursu pierwszej pomocy ze szczególnym uwzględnieniem przypadków uwięzienia przepukliny brzusznej, do którego to celu mieliśmy nabyć nadmuchiwaną lalkę. Odtąd będziemy musieli krajać tak, jak nam materii staje.
— Z powodu inflacji? — zapytał doktor Board.
— Z powodu tego, że Rada Szkolna od lat szukała okazji, żeby obciąć nam budżet — wyjaśnił dyrektor. — I teraz ją znalazła. Fakt, że wyświadczamy społeczeństwu przysługę, zapewniając zajęcie, cytuję pana Morrisa, „dużej liczbie niezrównoważonych psychicznie i potencjalnie groźnych psychopatów”, koniec cytatu, najwyraźniej uszedł ich uwagi.
— Zapewne miał na myśli słuchaczy kursów doksztalających — powiedział litościwie doktor Board.
— Niestety nie — odparł dyrektor. — Niech mnie pan poprawi, jeśli się mylę, Morris, ale czy nie chodziło panu o wykładowców z Sekcji Przedmiotów Ogólnokształcących?
Kiedy zebranie się skończyło, pan Morris poszedł do swego gabinetu, aby napisać rezygnację.

19.

Z okna pustej sypialni na piętrze Eva Wilt patrzyła, jak wielebny St. John Froude idzie zadumany ścieżką prowadzącą do kościoła. Gdy tylko znikł jej z oczu, zeszała na dół do gabinetu. Jeszcze raz zadzwonił do Henry'ego. Skoro nie ma go w college'u, musi być w domu. Podeszła do biurka i właśnie miała podnieść słuchawkę, gdy jej wzrok padł na bluszcz. O Boże, zupełnie o nim zapomniała, a zostawiła go w takim miejscu, że pastor na pewno go zobaczył. To wszystko było okropnie żenujące. Zadzwoiła na Parkview Avenue 34 i odczekała chwilę. Nikt nie odbierał, więc nacisnęła widelki i wykręciła numer college'u. A cały czas obserwowała cmentarną bramę, na wypadek gdyby pastor wrócił.

— Fenlandzki College Nauk Humanistycznych i Technicznych — zgłosiła się dziewczyna z centrali.
— To znowu ja — powiedziała Eva. — Chcę mówić z panem Wiltem.
— Bardzo mi przykro, ale pana Wilta nie ma.
— To gdzie jest? Dzwoniłam do domu i..
— Jest w komisariacie.
— Gdzie? — zapytała Eva.
— W komisariacie. Pomaga policji w dochodzeniu..
— W jakim dochodzeniu? — wrzasnęła Eva.
— Nie wie pani? — zdziwiła się dziewczyna. — Pisały o tym wszystkie gazety. Wziął i zamordował swoją żonę.

Eva odsunęła słuchawkę od ucha i popatrzyła na nią z przerażeniem. Dziewczyna mówiła dalej, ale do Ewy już nie docierało. Henry zamordował swoją żonę. Przecież to ona jest jego żoną. To niemożliwe. Nie mogła zostać zamordowana. Przez jedną straszliwą chwilę Eva Wilt miała wrażenie, że traci rozum. Potem znów przysunęła słuchawkę do ucha.

— Słyszysz mnie pani? — zapytała dziewczyna.
— Ja jestem jego żoną! — krzyknęła Eva.
Na linii zapadła długa cisza, a potem Eva usłyszała, jak dziewczyna mówi do kogoś, że dzwoni jakaś wariatka, która twierdzi, że jest panią Wilt, i co ma z nią zrobić.
— Naprawdę jestem panią Wilt. Eva Wilt! — wrzasnęła Eva, ale połączenie zostało przerwane.
Eva bezsilnie odłożyła słuchawkę. Henry jest w komisariacie... Henry ją zamordował... Boże. Cały świat oszalał. A ona tkwi naga na plebanii w... Nie miała pojęcia, gdzie jest. Wykręciła 999.

— Połączenia alarmowe. Z jakim wydziałem? — zapytała telefonistka.
— Z policją — odparła Eva.
Usłyszała prztyk, a potem słuchawce odezwał się męski głos.
— Policja.
— Mówi Wiltowa — powiedziała Eva.
— Wiltowa?
— Eva Wilt. Czy to prawda, że mój mąż zamordował... To znaczy, czy mój mąż... O Boże, nie wiem, co powiedzieć.
— Mówi pani, że jest pani panią Wilt? Evą Wilt? — zapytał mężczyzna.
— Tak — potwierdziła Eva, kiwając głową.
— Aha — mruknął mężczyzna z wyraźnym powątpiewaniem — Jest pani pewna, że jest panią Wilt?
— Oczywiście, że jestem pewna. Właśnie dlatego dzwonię.

— A mogę wiedzieć, skąd pani dzwoni?
— Nie wiem — odparła Eva. — Widzi pan, jestem w tym domu i nie mam ubrania i... O Boże.
Pastor zbliżał się do tarasu.
— Gdyby mogła pani podać nam adres...
— Muszę kończyć — rzuciła Eva i odłożyła słuchawkę.
Zawahała się przez chwilę, a potem porwała bluszcz z biurka i wypadła z pokoju.

— Mówię panu, że nie wiem, gdzie ona jest — powiedział Wilt. — Chyba naprawdę zginęła. Przeszła ze sfery materialnej w abstrakcyjną.

— Co, do diabła, przez to rozumiesz? — zapytał inspektor, sięgając po kubek z kawą.

Była niedziela, jedenasta rano, ale on wciąż trwał na posterunku. Miał dwadzieścia osiem godzin na dotarcie do prawdy.

— Ostrzegałem ją, że medytacja transcendentálna może być niebezpieczna — ciągnął Wilt, który również przebywał na ziemi niczyjej między jawą i snem. — Ale nadal to robiła.

— Co robiła?

— Medytowała transcendentálnie. W pozycji lotosu. Może tym razem poszła za daleko. Mogła się transmutować.

— Trans co? — zapytał podejrzliwie inspektor Flint.

— W jakiś magiczny sposób zmienić w coś innego.

— Jezu, Wilt, jeśli znów wyjedziesz z pasztecikami...

— Myślałem o czymś bardziej duchowym, inspektorze, o czymś pięknym.

— Wątpię.

— Niech się pan zastanowi. To, że siedzę teraz z panem w tym pokoju, jest bezpośrednim skutkiem mojego chodzenia na spacer z psem i snucia mrocznych myśli o zamordowaniu żony. Przez te czcze fantazje zyskałem opinię mordercy, nie popełniając morderstwa. Kto wie, czy Eva, której myśli były jednostajnie piękne, nie otrzymała odpowiednio pięknej nagrody? Przekładając to na pański język, inspektorze, każdy dostaje to, na co zasłużył.

— Mam taką nadzieję, Wilt — odparł inspektor. — Gorącą nadzieję.

— No właśnie — podjął Wilt. — Ale gdzie ona jest? Niech mi pan to powie. Czyste spekulacje nie wystarczą.

— Ja mam powiedzieć tobie?! — krzyknął inspektor, przewracając kubek z kawą. — To ty wiesz, w którą dziurę w ziemi ją wrzuciłeś albo w którym piecu spaliłeś!

— Mówiłem metaforycznie — wyjaśnił Wilt. — A raczej retorycznie. Próbowalem sobie wyobrazić, kim byłaby Eva, gdyby jej myśli przybrały kształt rzeczywisty. Ja marzyłem skrycie o tym, żeby stać się człowiekiem czynu, człowiekiem bezwzględnym, zdecydowanym, pozbawionym wątpliwości moralnych i wyrzutów sumienia, Hamletem przeobrażonym w Henryka V bez jego patriotycznego zapału, z którego można wnosić, że nie pochwalalby Wspólnego Rynku, Cezarem...

Inspektor Flint usłyszał już dość.

— Wilt — warknął — mam gdzieś, kim chciałeś się stać. Interesuje mnie to, co się stało z twoją żoną.

— Do tego zmierzam — odparł Wilt. — Najpierw jednak musimy ustalić, kim jestem.

— Wiem, kim jesteś, Wilt. Cholernym rajfurem słów, werbalnym akrobatą, pieprzonym zabójcą logiki, lingwistycznym Houdinim, encyklopedią niechcianych informacji...

Flintowi skończyły się metafory.

— Brawo, inspektorze, brawo. Sam nie ująłbym tego lepiej. Jestem zabójcą logiki, ale nie żony. Kontynuując to rozumowanie, Eva, mimo wszystkich swych pięknych myśli i medytacji, pozostała równie nie zmieniona jak ja. Nie dla niej to, co eteryczne. Nirwana wyslizguje jej się z palców. Piękno i prawda są poza jej zasięgiem. Ściga absolut z packą na muchy i leje harpick w otchłań samego piekła...

— Dziesiąty raz wspomniałeś o harpicku — przerwał mu inspektor, dostrzegłszy nagle nową, straszliwą możliwość. — Chyba nie...

Wilt pokręcił głową.

— Znowu to samo. Zupełnie jak biedna Eva. Dosłowny umysł, który chce uchwycić nieuchwytnie i dusi fantazję za nie istniejące gardło. To cała Eva. Nigdy nie zatańczy w *Jeziorku Łabędzim*. Żaden kierownik teatru nie pozwoliłby jej napełnić sceny wodą ani zainstalować podwójnego łóżka, a Eva by nalegała.

Inspektor Flint wstał.

— W ten sposób do niczego nie dojdziemy.

— Zgadza się — odparł Wilt — nie dojdziemy. Jesteśmy, kim jesteśmy, i nie zmienimy tego, choćbyśmy nie wiem, co robili. Nie rozbijemy formy, w której kształtują się nasze charaktery. Nazwijmy to dziedzicznością, nazwijmy to przypadkiem...

— Nazwijmy to stekiem bzur — rzucił Flint i wyszedł z pokoju. Potrzebował snu i zamierzał zaspokoić tę potrzebę.

W korytarzu spotkał sierżanta Yatesa.

— Mielіśmy telefon od kobiety, która podała się za panią Wilt — oznajmił sierżant.

— Skąd dzwoniła?

— Tego nie powiedziała — odparł Yates. — Oświadczyła, że nie wie, gdzie jest, i że nie ma ubrania...

— Jakaś cholerna wariatka — stwierdził inspektor. — Po kiego diabła marnujesz mój czas? I bez tego mamy dość na głowie.

— Pomyślałem, że powinien pan o tym wiedzieć. Jeśli zadzwoni jeszcze raz, spróbujemy ją namierzyć.

— A namierzajcie sobie — odrzekł Flint i oddalił się pospiesznie w poszukiwaniu straconego snu.

Wielebny St. John Froude nie miał dobrego dnia. Inspekcja kościoła nie ujawniła wprawdzie niczego zdrożnego, żadnych oznak, że odprawiono tam jakiś obsceniczny rytuał w rodzaju Czarnej Mszy, a wracając na plebanię z przyjemnością odnotował, że niebo nad Karpim Kanalem jest puste. Ale oprócz prezerwatyw zniknął też bluszcz z jego biurka. Pastor z niepokojem przyjrzał się miejscu, w którym leżał, i nalał sobie whisky. Mógłby przysiąc, że kiedy wychodził, był tam pęd bluszczu. Gdy opróżnił butelkę do końca, w głowie roіło mu się od fantastycznych przypuszczeń. Na plebanii było dziwnie głośno. Słyszał skrzypienie schodów i tajemnicze dźwięki na piętrze, jakby ktoś poruszał się tam ukradkiem, ale kiedy poszedł na górę, wszystko momentalnie ucichło. Zajrzał do kilku pustych sypialni, po czym zszedł na dół i postać chwilę w sieni, nasłuchując. Wróciwszy do gabinetu, próbował skupić się na kazaniu, ale uczucie, że nie jest sam, nie dawało mu spokoju. Czyżby na plebanii były duchy? W każdym razie działo się coś bardzo dziwnego. O pierwszej poszedł do kuchni na lunch i odkrył, że ze spiżarni zniknęła butelka mleka oraz resztki szarlotki przyniesionej przez panią Snape, która dwa razy w tygodniu przychodziła sprzątać. Zadowolili się pieczoną fasolą na grzance, a potem poczłapał na górę, żeby uciąć sobie popołudniową drzemkę. I właśnie leżąc w sypialni, po raz pierwszy usłyszał głosy. A raczej jeden głos, który wydawał się dochodzić z gabinetu. Wielebny St. John Froude usiadł na łóżku. Jeśli słuch go nie zawodził, a wobec dziwacznych wydarzeń poranka był skłonny sądzić, że go zawodzi, mógłby przysiąc, że ktoś rozmawia przez telefon. Pastor wstał i włożył buty. Ktoś płakał. Wyszedł na schody i zaczął nasłuchiwać. Płacz ucichł. Zszedł na parter i zajrzał do wszystkich pokoi, ale zauważył tylko to, że z jednego z foteli w nie używanej bawialni zdjęto pokrowiec. Miał już wrócić do sypialni, kiedy zadzwonił telefon. Poszedł więc do gabinetu i podniósł słuchawkę.

— Plebania w Waterswick — wybełkotał.

— Tu policja fenlandzka — powiedział jakiś mężczyzna. — Przed chwilą dzwoniła do nas od pana niejaka pani Wilt.

— Pani Wilt? — powtórzył wielebny St. John Froude. — Musiała zająć pomyłka. Nie znam żadnej pani Wilt.

— Na pewno dzwoniła z pańskiego telefonu, sir.

Wielebny St. John Froude zastanowił się chwilę.

— To doprawdy bardzo osobliwe — powiedział. — Mieszkam sam.

— Jest pan pastorem?

— Oczywiście, że jestem pastorem. To jest plebania, a ja jestem pastorem.

— Rozumiem, sir. A pańskie nazwisko?

— Wielebny St. John Froude. F-R-O-U-D-E.

— Zgadza się, sir. I na pewno nie ma u pana kobiety?

— Oczywiście, że nie ma u mnie kobiety. Cóż za niestosowna sugestia. Jestem...

— Wybacz pan, musiałem się upewnić. Mielіśmy telefon od pani Wilt, a w każdy razie od kobiety podającej się za panią Wilt, i na pewno dzwoniła od pana.

— Kim jest ta pani Wilt? Nie słyzałem o żadnej pani Wilt.

— No więc, pani Wilt... Trochę trudno to wyjaśnić. Przypuszczamy, że została zamordowana.

— Zamordowana? — wykrzyknął wielebny St. John Froude. — Powiedział pan „zamordowana“?

— Z pewnością zaginęła w podejrzanych okolicznościach. Zatrzymaliśmy jej męża do wyjaśnienia.

Wielebny St. John Froude pokręcił głową.

— Cóż za nieszczęście — wymamrotał.

— Dziękuję za pomoc, sir — powiedział policjant. — Przepraszam, że pana niepokoiłem.

Wielebny St. John Froude w zamyśleniu odłożył słuchawkę.

Nie zamierzał dzielić się z policjantem informacją, że w jego domu przebywa duch niedawno zamordowanej kobiety. I bez tego był dostatecznie szeroko znany ze swej ekscentryczności. Z drugiej strony, to, co widział na jachcie na Karpim Kanale nosiło, jeśli się zastanowić, wszelkie znamiona morderstwa. Może jakimś niezwykłym sposobem był świadkiem tragedii, która już się wydarzyła, miał pośmiertne *déjà vu*, jeśli można tak to ująć. Skoro mąż został zatrzymany, do morderstwa musiało dojść wcześniej... A w takim razie... Wielebny St. John Froude sformułował kilka mętnych teorii, w których główną rolę odgrywał Czas przez duże C i dochodzące z za grobu

wołania o pomoc. Być może powinien poinformować policję, co widział. Właśnie się zastanawiał, co ma zrobić, gdy znów usłyszał płacz, tym razem zupełnie wyraźnie. Dobiegał zza ściany. Pastor wstał, wzmocnił się kolejnym łykiem whisky i poszedł do sąsiedniego pokoju. Stała tam jakaś duża kobieta z potarganymi włosami i znękaną twarzą. Była ubrana w coś, co wyglądało jak całun. Wielebny St. John Froude wpatrywał się w nią dłuższą chwilę z rosnącym przerażeniem. A potem padł na kolana.

— Módlmy się — wymamrotał ochryple.

Upiorna zjawa osunęła się ciężko na podłogę, przyciskając całun do piersi. Zatopili się we wspólnej modlitwie.

— Sprawdzić? Co, do diabła, mam „sprawdzić”? — wrzasnął inspektor Flint, wściekły, że wyrывa się go z drzemki, kiedy nie spał przez trzydzieści sześć godzin i dopiero zaczął nadrabiać zaległości. — Budzisz mnie z powodu jakiegoś przekłętogo pastora, który nazywa się Zygmund Freud...

— St. John Froude — sprostował sierżant Yates.

— Wszystko jedno. To nieprawdopodobne. Jeśli cholernik mówi, że jej tam nie ma, to jej tam nie ma. Co miałbym w związku z tym zrobić?

— Pomyślałem tylko, że powinniśmy wysłać patrol, żeby to sprawdzić.

— Dlaczego sądzisz...

— Mieliliśmy telefon od kobiety, która podała się za panią Wilt. Na pewno dzwoniła stamtąd i to już dwa razy. Nagraliśmy drugą rozmowę. Podała dane personalne, które się zgadzają. Data urodzenia, adres, miejsce pracy Wilta, nawet imię ich psa i to, że mają w salonie żółte zasłony.

— Każdy głupi może to wiedzieć. Wystarczy przejść obok domu.

— Podała imię psa. Sprawdziłem, rzeczywiście wabi się Clem.

— Nie wyjaśniła przypadkiem, gdzie się podziewała przez ostatni tydzień?

— Powiedziała, że była na jachcie — odparł Yates. — Potem się rozłączyła.

Inspektor Flint usiadł na łóżku.

— Na jachcie? Na jakim jachcie?

— Nie wiem. Aha, jeszcze jedno. Powiedziała, że nosi dziesiąty numer buta. To prawda.

— Cholera — mruknął Flint. — Dobrze, zaraz przyjdę.

Wstał z łóżka i zaczął się ubierać.

W celi Wilt wpatrywał się w sufit. Po tylu godzinach przesłuchań w jego głowie wciąż dźwięczały pytania. „Jak ją zabiłeś? Gdzie ukryłeś zwłoki? Co zrobiłeś z bronią?” Bezsensowne pytania powtarzane na okrągło w nadziei, że w końcu się załamię. Ale Wilt się nie załamał. Wręcz przeciwnie, zatriumfował. Pierwszy raz w życiu miał niezłomną pewność, że ma rację, a wszyscy inni się mylą. Przedtem zawsze dręczyły go wątpliwości. Tynkarze mogli przecież mieć słuszość, że w kraju jest za dużo brudasów. I może wieszanie rzeczywiście było środkiem prewencyjnym. Wilt tak nie uważał, ale nie był pewien swego zdania. Tylko czas mógł to pokazać. Natomiast w sprawie królowa kontra Wilt i zabójstwo pani Wilt nie było żadnej dyskusji. Mogli go osądzić, uznać winnym i skazać, i nic by to nie zmieniło. Był niewinny i gdyby skazano go na dożywocie, ogrom wyrządzonej mu krzywdy jedynie utwierdziłby go w przekonaniu o własnej niewinności. Po raz pierwszy w życiu Wilt czuł się wolny. Został oczyszczony z pierwotnego grzechu bycia Henrym Wiltem z Parkview Avenue 34 w Ipsford, wykładowcą przedmiotów ogólnokształcących w Fenlandzkim College'u Nauk Humanistycznych i Technicznych, mężem Evy Wilt i niczym ojcem. Cały balast nawyków, majątku, zarobków i statusu, cały towarzyski konformizm, wszelkie subtelności, według których, naśladowując Evę, oceniał siebie i innych ludzi, wszystko to zniknęło. Zamknięty w celi Wilt odzyskał wolność bycia sobą. I cokolwiek się stanie, już nigdy nie będzie przeproszał, że żyje. Po jawnej pogardzie i wściekłości inspektora Flinta, po słuchaniu przez tydzień obelg i wyzwisk, na co mu czyjaś aprobata? Niech sobie wsadzą swoje zdanie o nim. Wilt obierze niezależny kurs i zrobi dobry użytek ze swych niewątpliwych predyspozycji do nielogiczności. Jeśli dadzą mu dożywocie i postępowego naczelnika więzienia, w ciągu miesiąca doprowadzi faceta do szału słodką irracjonalnością odmowy przestrzegania więziennych przepisów. Nie powstrzyma go nawet osadzenie w ciemnicy o chlebie i wodzie, jeżeli taka kara jeszcze istnieje. Jeśli darują mu wolność, wykorzysta swe nowo odkryte talenty w college'u. Będzie z radością chodził na zebrania i zmieniał je w kłótnie, nieznużenie zajmując stanowisko całkowicie sprzeczne z opinią ogółu. W końcu to nie chryząm bieg się udawał*, tylko niestrudzenie niekonsekwentnym, a życie było przypadkowe, bezplanowe i chaotyczne. Reguły ustalano po to, żeby je łamać, i człowiek o umyśle konika polnego wyprzedzał wszystkich pozostałych o jeden skok. Sformułował tę nową regułę, Wilt przewrócił się na bok i spróbował usnąć, lecz sen nie przychodził. Zmienił bok, ale nic to nie pomogło. W głowie kłębiły mu się myśli, pytania, nedorzeczne odpowiedzi i urojone dialogi. Zaczął liczyć owce i przypomniał sobie o Evie. Kochana Eva, przekłeta Eva, porywcza Eva i Eva niepohamowanie entuzjastyczna. Jak on szukała Absolutu, Wiecznej Prawdy, która oszczędziłaby jej trudu samodzielnego myślenia. Szukała jej

w garniarstwie, w medytacji transcendentalnej, w dzudo, na trampolinie i, co było największym absurdem, w tańcu orientalnym. A w końcu próbowała ją znaleźć w emancypacji seksualnej, wyzwoleniu kobiet i Sakramencie Orgazmu, w którym mogłaby się zatracić bez reszty. Co, jeśli się zastanowić, najwyraźniej zrobiła, zabierając ze sobą tych cholernych Pringsheimów. No cóż, będzie się miała z czego tłumaczyć, kiedy i jeśli wróci. Wilt uśmiechnął się do siebie na myśl o reakcji Evy, gdy odkryje, do czego doprowadził jej ostatni flirt z Nieskończonością. Już on dopilnuje, żeby go żalowała do końca swoich dni.

* Księga Koheleta 9,11. „A dalej widziałem pod słońcem, że to nie chylimy się i nie walczyliśmy w walce zwyciężając”. (Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Wydawnictwo Pallottinum, wyd. IV, Poznań-Warszawa 1986.)

Kłęcząc na podłodze bawialni probostwa w Waterswick, Eva Wilt walczyła z narastającym w niej przekonaniem, że jej dni już się skończyły. Niewątpliwie wszystkie osoby, z którymi się zetknęła, uważały ją za zmarłą. Policjant, z którym rozmawiała przez telefon, nie chciał uwierzyć jej zapewnieniom, że żyje i ma się względnie dobrze, i zażądał, aby dowiodła swej tożsamości. To przeżycie poważnie zachwiało jej wiarę we własne istnienie, a reakcja wielebnego St. Johna Froude na jej pojawienie się na plebanii dopełniła miary nieszczęścia. Jego gorączkowe apele do Wszechmogącego, aby uwolnił duszę naszej drogiej siostry, nieboszczki Evy Wilt, z powłoki cielesnej, wstrząsnęły Evą do głębi. Kłęczała na dywanie i łkała, a pastor patrzył na nią ponad okularami, zamykał i otwierał oczy, podnosił drżący głos w modlitwie, dygotał na całym ciele i w ogóle zachowywał w sposób obliczony na przywiedzenie domniemyanych zwłok do rozpaczy i zwątpienia. Kiedy podejmując ostatnią desperacką próbę nakłonienia nieboszczki Evy Wilt do zajęcia właściwego dla niej miejsca w niebiańskim chórze, urwał cytując z Księgi Hioba, że „Człowiek zrodzony z niewiasty ma krótkie i bolesne życie”, i zaintonował fałszywie *Stój przy mnie, Panie**; Eva przestała nad sobą panować i zawyla „Szybko zapada zmierzch” z wielkim uczuciem. Gdy doszli do „Dusza ma pragnie cię w każdej godzinie”, wielebny St. John Froude był całkowicie przeciwnego zdania. Wyszedł chwiejnym krokiem z pokoju i schronił się w gabinecie. Za ścianą Eva Wilt, wcieliwszy się w rolę nieboszczki z entuzjazmem, jaki poprzednio budziły w niej trampoliny, dzudo i garniarstwo, pytała: „Gdzież jest, o śmierci, twoje zwycięstwo, gdzież jest, o śmierci, twój oścień”. „A skąd mam, do diabła, wiedzieć” — wymamrotał pastor i sięgnął po butelkę whisky, by stwierdzić, że jest już pusta. Usiadł i zakrył uszy dłońmi, żeby nie słyszeć tego okropnego hałasu. Zamiast *Stój przy mnie* powinien był wybrać hymn *Na wzgórzu za miastem***.

Trudniej było go opacznie zinterpretować. Kiedy hymn wreszcie się skończył, pastor poczuł wielką ulgę. Miał już iść sprawdzić, czy w spizarni nie ma jeszcze jednej butelki, gdy rozległo się pukanie i do gabinetu weszła Eva.

— Ojcze, zgrzeszyłam — oznajmiła, dokładając wszelkich starań, aby jednocześnie zgrzytać zębami i jęczeć.

Wielebny St. John Froude chwycił się poręczy fotela i spróbował przełknąć ślinę. Nie było to łatwe. Potem, przezwyciężywszy uzasadniony lęk, że zniemacka dopadło go *delirium tremens*, wydobył z siebie głos.

— Wstań, córko — wychrypiał do wijącej się przed nim na dywanie Evy. — Wysłucham twojej spowiedzi.

* Hymn H.F. Lyte'a (1793-1847). ** Hymn C.F. Alexander (1818-1895).

20.

Inspektor Flint wyłączył magnetofon i spojrzał na Wilta

— I co?

— Co co? — zapytał Wilt.

— Czy to ona? Czy to pani Wilt?

Wilt skinął głową.

— Niestety tak.

— Jak to, niedobrze? Cholerna baba żyje. Powinieneś się, kurwa, cieszyć. A ty mówisz „niedobrze”.

Wilt westchnął.

— Pomyślałem o przepaści dzielącej to, jak kogoś pamiętamy, od tego, jaki jest w rzeczywistości. Zaczynałem ją czule wspominać, a teraz...

— Byłeś kiedyś w Waterswick?

Wilt potrząsnął głową.

— Nigdy.

— Znasz tamtejszego pastora?

— Nie wiedziałem nawet, że jest tam pastor.

— I nie wiesz, jak twoja żona się tam dostała?

— Słyszał pan — odparł Wilt. — Przyplłynęła jachtem.

— I nie znasz nikogo, kto miałby jacht?

— W moich kręgach ludzie nie miewają jachtów, inspektorze. Może to jacht Pringsheimów.

Inspektor Flint odrzucił tę możliwość. Sprawdzili wszystkie przystanie i Pringsheimowie nie mieli jachtu ani też go nie wynajęli.

W umyśle inspektora zaczynało kiełkować podejrzenie, iż padł ofiarą jakiegoś gigantycznego oszustwa, skomplikowanego spisku, którego celem było zrobienie zeń idioty. Z poduszczenia tego piekielnego Wilta zarządził ekshumację nadmuchiwaną lalki i został z nią sfotografowany dokładnie w chwili, gdy zmieniała płęć. Zorganizował polowanie na paszteciki wieprzowe nie mające precedensu w historii kraju. Nie byłby wcale zaskoczony, gdyby Sweetbreads podał go do sądu o narażenie na szwank nieskazitelnej dotąd reputacji firmy. A w dodatku trzymał przez tydzień w areszcie całkowicie niewinnego człowieka i zostanie zapewne pociągnięty do odpowiedzialności za opóźnienie budowy nowego gmachu administracji w college'u i zwiększenie jej kosztów. Prawdopodobnie wisiały nad nim również inne przerażające konsekwencje, ale tyle mu na razie wystarczyło. I mógł winić tylko siebie. Albo Wilta. Spojrzał na niego jadowicie.

Wilt uśmiechnął się.

— Wiem, co pan myśli — powiedział.

— Nie wiesz — odparł inspektor. — Nie masz zielonego pojęcia.

— Że rządzi nami przypadek, nic nie jest takie, jak się wydaje, więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie...

— To się jeszcze okaże — mruknął inspektor.

Wilt wstał.

— Chyba nie będę już potrzebny — powiedział — więc pójdę do domu.

— Nic podobnego. Pojedziesz z nami po panią Wilt.

Wyszli na dziedziniec i wsiedli do policyjnego samochodu. Kiedy minęli podmiejskie osiedla, stacje benzynowe i fabryki i wyjechali na moczary, Wilt skulił się na tylnym siedzeniu, czując, że poczucie wolności, którym cieszył się w komisariacie, zaczyna zeń ulatywać. I z każdą milą ulatywało coraz bardziej, wypierane przez okrutną rzeczywistość przymusu dokonywania wyborów i zarabiania na życie, nudy i nie kończących się domowych kłótni, sobotniego brydża z Mottramami i niedzielnych przejażdżek z Evą. Siedzący obok w posepnym milczeniu inspektor Flint stracił swój dotychczasowy urok. Z opoki Wiltowej pewności siebie i tła dla jego nielogiczności stał się współtowarzyszem życiowych niedoli, niemal lustrzanym odbiciem niejakości samego Wilta. A gdzieś za tym płaskim, ponurym krajobrazem z czarną ziemią i pochmurnym niebem czekała Eva i życie będące pasmem wyjaśnień i kontroskarżeń. Przez moment Wilt miał ochotę krzyknąć: „Zatrzymajcie samochód, wysiadam!” — ale wziął się w garść. Cokolwiek przyniesie przyszłość, nauczy się z tym żyć. Nie po to odkrył paradoksalną naturę wolności, aby znów popaść w niewolę Parkview Avenue, college'u i trywialnych pasji Evy. Był Wilem, człowiekiem o umyśle konika polnego.

*

Eva była pijana. Wielebny St. John Froude zareagował na jej straszliwą spowiedź przerwaniem się z whisky na stu pięćdziesięcioprocentowy polski spirytus, który trzymał na czarnej godzinę, i Eva, pomiędzy biciem się w piersi i wyznawaniem sensacyjnych grzechów, również go pociągała. Ośmielona jego działaniem, skamieniałą życzliwością uśmiechu pastora i rosnącym przekonaniem, że jeśli umarła, osiągnięcie życia wiecznego wymaga aktu absolutnej skruchy, a jeśli żyje, pozwoli jej on uniknąć składania kłopotliwych wyjaśnień, co właściwie robi nago w cudzym domu, spowiadała się z entuzjazmem, który wynikał z jej najgłębszych potrzeb. Tego właśnie szukała w dżudo, garnkarstwie i tańcu orientalnym: orgiastycznej ekspiacji za swoje winy. Wyznawała grzechy, które popełniła, i których nie popełniła; grzechy, które przyszły jej na myśl, i o których zapomniiała. Zdradzała Henry'ego i życzyła mu śmierci i pożądała innych mężczyzn, była cudzołożnicą, była lesbijką, była nimfomanką. A z tymi grzechami nieczystości przeplatały się grzechy zaniedbania. Eva nie pominęła niczego. Ani zimnych kolacji Henry'ego i jego samotnych spacerów z Clemem, ani tego, że nie doceniała jego starań i nie była dobrą żoną, ani swej obsesji na punkcie harpicku... Wielebny St. John Froude siedział w fotelu, jednostajnie kiwając głową niczym pies-zabawka na tylnej półce samochodu, podniósł na nią wzrok, gdy przyznała się do nimfomanii, i gwałtownie go opuścił na wzmiankę o harpicku, i cały czas rozpaczliwie usiłował zrozumieć, co spowodowało do jego domu grubą i nagą — całun ciągle z niej spadał — kobietę z objawami manii religijnej.

— Czy to już wszystko, moje dziecko? — zapytał, gdy Evie wreszcie wyczerpał się repertuar.

— Tak, ojciec — zaskalała Eva.

— Dzięki Bogu — powiedział żarliwie wielebny St. John Froude i zaczął się zastanawiać, co dalej. Jeśli choć połowa tego, co usłyszał, była prawdą, miał do czynienia z tak wielką grzesznicą, że eks-archidiakon z Ongar wyglądał przy niej jak święty. Z drugiej strony, jej wyznanie było pełne sprzeczności, które musiał wyjaśnić,

zanim udzieli rozgrzeszenia. Kłamstwa w czasie spowiedzi nie były znakiem prawdziwej skruchy.

— Rozumiem, że jesteś zamężna — zaczął niepewnie — i że Henry jest twoim ślubnym małżonkiem?

— Tak — odparła Eva. — Kochany Henry.

Biedaczysko, pomyślał pastor, ale miał zbyt wiele taktu, aby powiedzieć to głośno.

— I opuściłaś go?

— Tak.

— Dla innego mężczyzny?

Eva potrząsnęła głową.

— Żeby dać mu nauczkę — oświadczyła z nagłą wojowniczością.

— Nauczkę? — powtórzył pastor, gorączkowo próbując sobie wyobrazić, czego nieszczęsny pan Wilt mógłby się nauczyć pod jej nieobecność. — Powiedziałaś „nauczkę”?

— Tak — odparła Eva. — Chciałam mu udowodnić, że beze mnie nie da sobie rady.

Wielebny St. John Froude z namysłem wypił łyk spirytusu. Jeśli choć ćwierć spowiedzi pani Wilt była prawdą, mąż dawał sobie bez niej radę śpiewając.

— A teraz chcesz do niego wrócić?

— Tak — potwierdziła Eva.

— Ale on nie chce cię przyjąć?

— Nie może. Został aresztowany.

— Aresztowany? — zdziwił się pastor. — A można spytać za co?

— Policja uważa, że mnie zamordował — odrzekła Eva.

Wielebny St. John Froude znów popatrzył na nią z przerażeniem. Teraz już wiedział, że pani Wilt postradała zmysły. Rozejrzał się, szukając czegoś, czego w razie potrzeby mógłby użyć jako broni, i mając do wyboru gipsowe popiersie Dantego oraz butelkę polskiego spirytusu, chwycił butelkę. Eva nadstawiła szklanekę.

— Ojciec jest niemożliwy — powiedziała. — Chce mnie ojciec ululać?

— Nie, nie chcę — mruknął pastor i pospiesznie odstawił butelkę. Wystarczyło, że był sam w domu z dużą, pijaną, półnągą kobietą, która uroiła sobie, że zamordował ją własny mąż, i która wyznała grzechy, o jakich dotąd tylko czytał. Lepiej, żeby nie sądziła, iż próbuje ją upić. Wielebny St. John Froude nie miał ochoty zostać bohaterem następnego wydania „Gońca niedzielnego”.

— Powiedziałaś, że twój mąż cię zamor...

Pastor umilkł. Drażnienie tego tematu było bezproduktywne.

— Jak mógł mnie zamordować? — spytała Eva. — Przecież jestem tu duszą i ciałem.

— Nie da się ukryć — przyznał pastor — nie da się ukryć.

— No właśnie — ciągnęła Eva — a poza tym Henry nie mógłby zamordować nikogo. Nie potrafiłby. Nie umie nawet zmienić korków. Wszystkie takie rzeczy muszę robić sama. — Spojrzała wilkiem na pastora. — Ojciec jest żonaty?

— Nie — odparł wielebny St. John Froude, szczerze tego żałując.

— Co ojciec wie o życiu, jeśli nie jest żonaty? — spytała zaczepnie Eva. Pod wpływem polskiego spirytusu ogarnęło ją okropne poczucie krzywdy. — Mężczyźni. Nie ma z nich żadnego pożytku. Nie potrafią nawet utrzymać domu w czystości. Niech ojciec spojrzy na ten pokój. — Zamachała rękami i spadł z niej pokrowiec. — Niech tylko ojciec spojrzy.

Ale wielebny St. John Froude zobaczył już dość, by uznać, że jego życie jest w niebezpieczeństwie. Zerwał się z fotela, staranował podręczny stolik, przewrócił kosz na papiery i wypadł do sieni. Chciał uciekać dalej, ale zadzwonił dzwonek u frontowych drzwi. Pastor otworzył je i stanął oko w oko z inspektorem Flintem.

— Bogu dzięki, że pan przyjechał — wysapał. — Jest tam.

Inspektor i dwaj umundurowani policjanci ruszyli przez sieni. Wilt podążył niepewnie za nimi. Tego momentu się obawiał. Powitanie z Evą wypadło jednak lepiej, niż można było oczekiwać, choć nie dla inspektora Flinta. Po wejściu do gabinetu inspektor zobaczył dużą, nagą kobietę.

— Pani Wilt... — zaczął, ale Eva wpatrywała się w dwóch mundurowych.

— Gdzie jest mój Henry? — krzyknęła. — Macie mojego Henry'ego?

Rzuciła się naprzód, a inspektor nieroztropnie spróbował ją zatrzymać.

— Zechce pani...

Cios w skroń zakończył zdanie.

— Ręce przy sobie! — wrzasnęła Eva i, wykorzystując swą znajomość chwytów dzudo, grzmotnęła inspektorem o podłogę. Zamierzała zrobić to samo z mundurowymi, ale Wilt wystąpił naprzód.

— Tu jestem, kochanie — powiedział.

Eva raptownie przystanąła, zadrżała, a inspektor Flint ze swego miejsca na podłodze przez chwilę odnosił wrażenie, jakby miała stopnieć.

— Och, Henry! — zawołała. — Co oni ci zrobili?

— Nic, kochanie — odparł Wilt. — Ubierz się. Jedziemy do domu.

Eva rzuciła okiem na swoje ciało, zadygotała i pozwoliła się wyprowadzić z pokoju.

Powoli i ze znużeniem inspektor Flint wstał z podłogi. Wiedział już, dlaczego Wilt wrzucił tę cholerną lalkę do wykopu, i dlaczego cały czas odczuwał taką pewność siebie. Po dwunastu latach małżeństwa z Evą Wilt chęć popełnienia zabójstwa, choćby na jej atrapie, musiała być nieprzeparta. A co do odporności Wilta na krzyżowy ogień pytań... sprawa była oczywista. Inspektor wiedział jednak również, że nie będzie w stanie nikomu tego wytłumaczyć. Pewne zagadki związków międzyludzkich wymykały się analizie. A Wilt stał tam spokojnie i kazał jej się ubrać.

Z uczuciem niechętnego podziwu Flint wyszedł do sieni. Musiał przyznać, że co jak co, ale drań miał jaja.

Wracali na Parkview Avenue w milczeniu. W tyle samochodu Eva, owinięta kocem, spała z głową na ramieniu Wilta, a Wilt siedział dumny u jej boku. Kobieta, która potrafiła uciszyć inspektora Flinta jednym szybkim ciosem w głowę, była warta tyle złota, ile waży, a poza tym scena na plebanii dała mu do ręki broń, jakiej potrzebował. Naga i pijana w gabinecie pastora... Nie będzie żadnych pytań o to, dlaczego wrzucił tę lalkę do wykopu. Żadnych oskarżeń, żadnych wyrzutów. Cała historia pójdzie w zapomnienie. A razem z nią znikną wszelkie zastrzeżenia co do jego męskości i zdolności działania. Trzymali się nawzajem w szachu. Wilt popadł nawet na chwilę w sentymentalizm i pomyślał o miłości, ale zaraz przypomniał sobie, jak groźny jest to temat. Bezpieczniej będzie nie ujawniać żadnych uczuć.

— Lepiej nie wywoływać wilka z lasu — wymamrotał.

Opinię tę podzielali Pringsheimowie. Przesiadając się z jachtu na policyjną motorówkę, wychodząc na brzeg i wyjaśniając sceptycznemu inspektorowi Flintowi, w jaki sposób utknęli na tydzień na Karpim Kanale w jachcie, który należał do kogoś innego, byli dziwnie niekomunikatywni. Nie, nie wiedzieli, kto wyważył drzwi łazienki. Tak, może zdarzył się jakiś wypadek. Byli zbyt pijani, żeby coś pamiętać. Lalka? Jaka lalka? Trawa? To znaczy marihuana? Nie mają pojęcia. W ich domu?

W końcu inspektor Flint ich puścił.

— Wezwę państwa, kiedy sformułujemy zarzuty — powiedział ponurym tonem.

Pringsheimowie pojechali na Rossiter Grove, żeby się spakować i następnego ranka odlecieli z Heathrow do Ameryki.

21.

Dyrektor usiadł za biurkiem i popatrzył na Wilta z niedowierzaniem.

— Awans? — powiedział. — Użył pan słowa „awans”?

— Owszem — potwierdził Wilt. — Co więcej, użyłem słów „kierownik Przedmiotów Ogólnokształcących”.

— Po wszystkim, co pan zrobił? Ma pan czelność przyjść tutaj i zażądać, abym mianował pana kierownikiem Sekcji Przedmiotów Ogólnokształcących?

— Tak — odparł Wilt.

Dyrektor szukał słów, które wyrażałyby jego uczucia. Nie było to łatwe. Naprzeciw niego siedział człowiek odpowiedzialny za serię katastrof, które położyły kres jego wspaniałym nadziejom. College nigdy nie będzie politechniką. Odrzucenie interdyscyplinarnego magisterium przesądziło sprawę. Do tego dochodziła zła prasa, cięci a budżetowe, jego potyczki z Radą Szkolną, upokarzający przydomek lalkofila...

— Zwalniam pana! — wykrzyknął.

Wilt się uśmiechnął.

— Nie sądzę — powiedział. — Oto moje warunki...

— Pańskie co?

— Warunki — powtórzył Wilt. — W zamian za nominację na kierownika Sekcji Przedmiotów Ogólnokształcących nie wytoczę panu sprawy o krzywdzące zwolnienie z pracy, sprawy, która cieszyłaby się wielkim zainteresowaniem mediów. Wycofam pozew przeciwko policji o bezprawne aresztowanie. Moja umowa z „Sunday Post” na cykl artykułów o prawdziwej naturze przedmiotów ogólnokształcących — zamierzałem go zatytułować „Kontakt z prymitywizmem” — pozostanie nie podpisana. Nie wystąpię też w najbliższy poniedziałek w „Panoramie”. Krótko mówiąc, wyrzeknę się przyjemności i korzyści płynących z publicznego rozgłosu...

Dyrektor podniósł drżącą dłoń.

— Wystarczy — powiedział. — Zobaczę, co się da zrobić.

Wilt wstał.

— Proszę dać mi odpowiedź przed lunchem — odparł. — Będę w moim gabinecie.

— W pańskim gabinecie? — zdziwił się dyrektor.

— Należał dotąd do pana Morrisa — wyjaśnił Wilt, zamykając za sobą drzwi.

Dyrektor chwycił za telefon. Wilt nie rzucał swych pogroźek na wiatr. Trzeba się było pospieszyć.

Wilt powędrował korytarzem do Sekcji Przedmiotów Ogólnokształcących i zatrzymał się przy regałach z książkami. Planował zmiany. *Władca Much* pójdzie na makulaturę, a z nim *Jeździec znikąd*, *Zakochane kobiety*, *Eseje Orwell* a i *Buszujący w zbożu*, wszystkie te przejawy intelektualnego protekcjonalizmu, te przynęty wrażliwości. Od tej pory pierwsza moneterska i druga mięsna będą się uczyć „jak”, a nie „dlaczego”. Jak czytać i pisać. Jak warzyć piwo. Jak fałszować zeznania podatkowe. Jak radzić sobie z policją w przypadku aresztowania. Jak żyć w niedobranym małżeństwie i przetrwać. Te dwa ostatnie kursy Wilt poprowadzi osobiście. Wykładowcy będą protestować, może nawet grozić odejściem, ale nic to nie zmieni. Chętnie przyjmie rezygnację przeciwników jego pomysłów. W końcu nie trzeba mieć dyplomu z literatury angielskiej, żeby uczyć monterów, jak się coś robi. Jeśli się zastanowić, oni nauczyli więcej jego niż on ich. Dużo więcej. Wszedł do pustego gabinetu pana Morrisa, usiadł za biurkiem i zaczął komponować okólnik do personelu sekcji. Opatrzył go nagłówkiem „System samokształcenia dla słuchaczy kursów dokształcających” i właśnie po raz piąty użył przymiotnika „niehierarchiczny”, gdy zadzwonił telefon. Był to dyrektor.

— Dziękuję — powiedział nowy kierownik Przedmiotów Ogólnokształcących.

Eva Wilt szła radośnie Parkview Avenue. Wracała od lekarza. Podała Henry'emu śniadanie, odkurzyła dywan w pokoju od frontu, wyfroterowała podłogę w korytarzu, umyła okna i spryskała muszlę klozetową harpickiem, wpadła do klubu osiedlowego „Jedność”, gdzie pomogła kserować apel w sprawie nowej grupy przedszkolnej, zrobiła zakupy, zapłaciła mleczarzowi i zajrzała do lekarza, żeby spytać, czy to branie hormonów coś dało, i okazało się, że tak. „Rzecz jasna trzeba jeszcze zrobić próby — powiedział lekarz — ale według mnie wynik będzie pozytywny. Grozi pani co najwyżej to, że urodzi sześcioraczkę”. Dla Ewy nie była to groźba. Zawsze chciała mieć dom pełen dzieci, i to od razu. Henry się ucieszył. Tak więc słońce świeciło jaśniej, niebo było bardziej niebieskie, kwiaty w ogródkach bardziej różowe i nawet sama Parkview Avenue wyglądała jakoś inaczej i weselej. Był to jeden z lepszych dni Ewy Wilt.